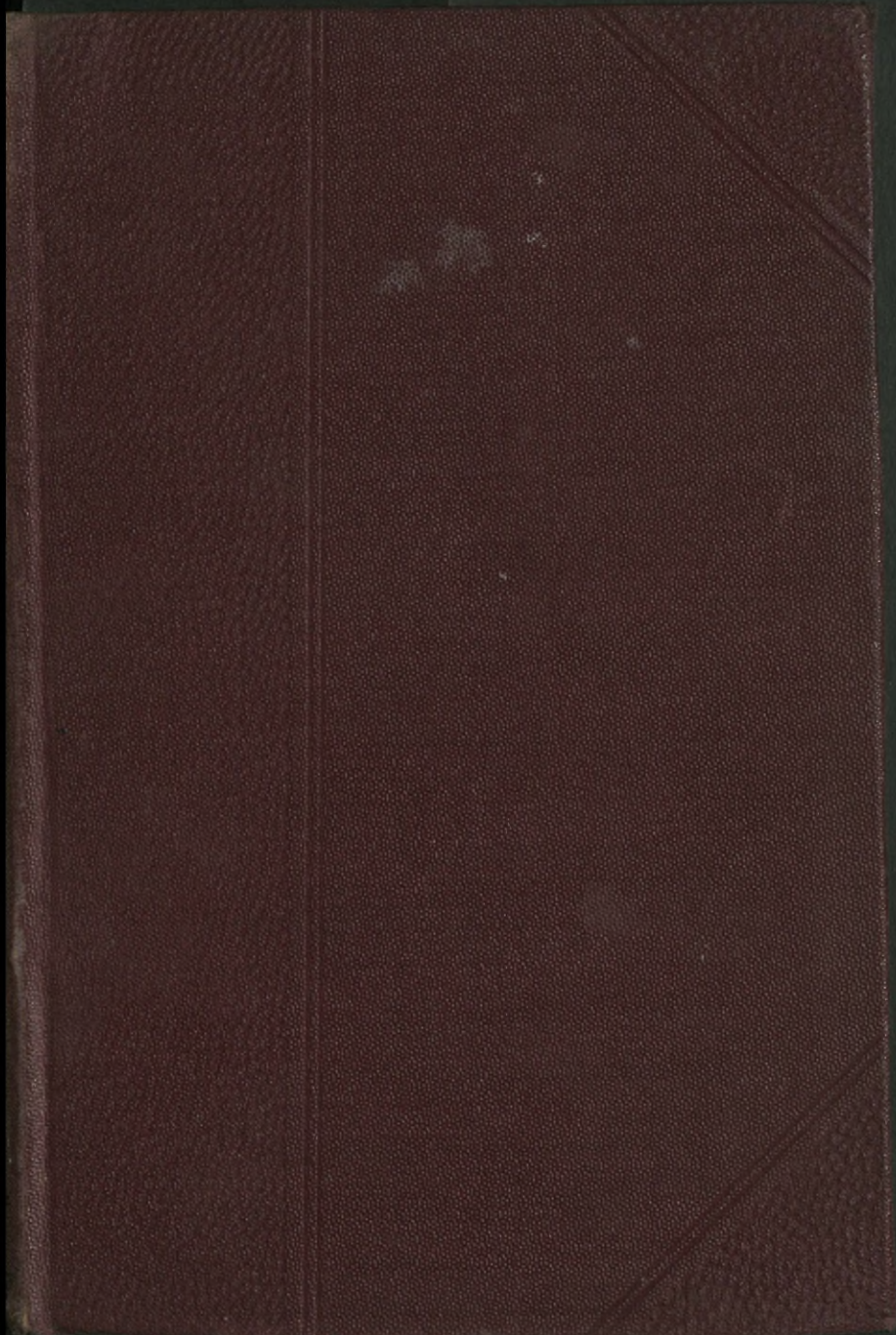




Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



Colour Chart #13

Blue

Cyan

Green

Yellow

Red

Magenta

White

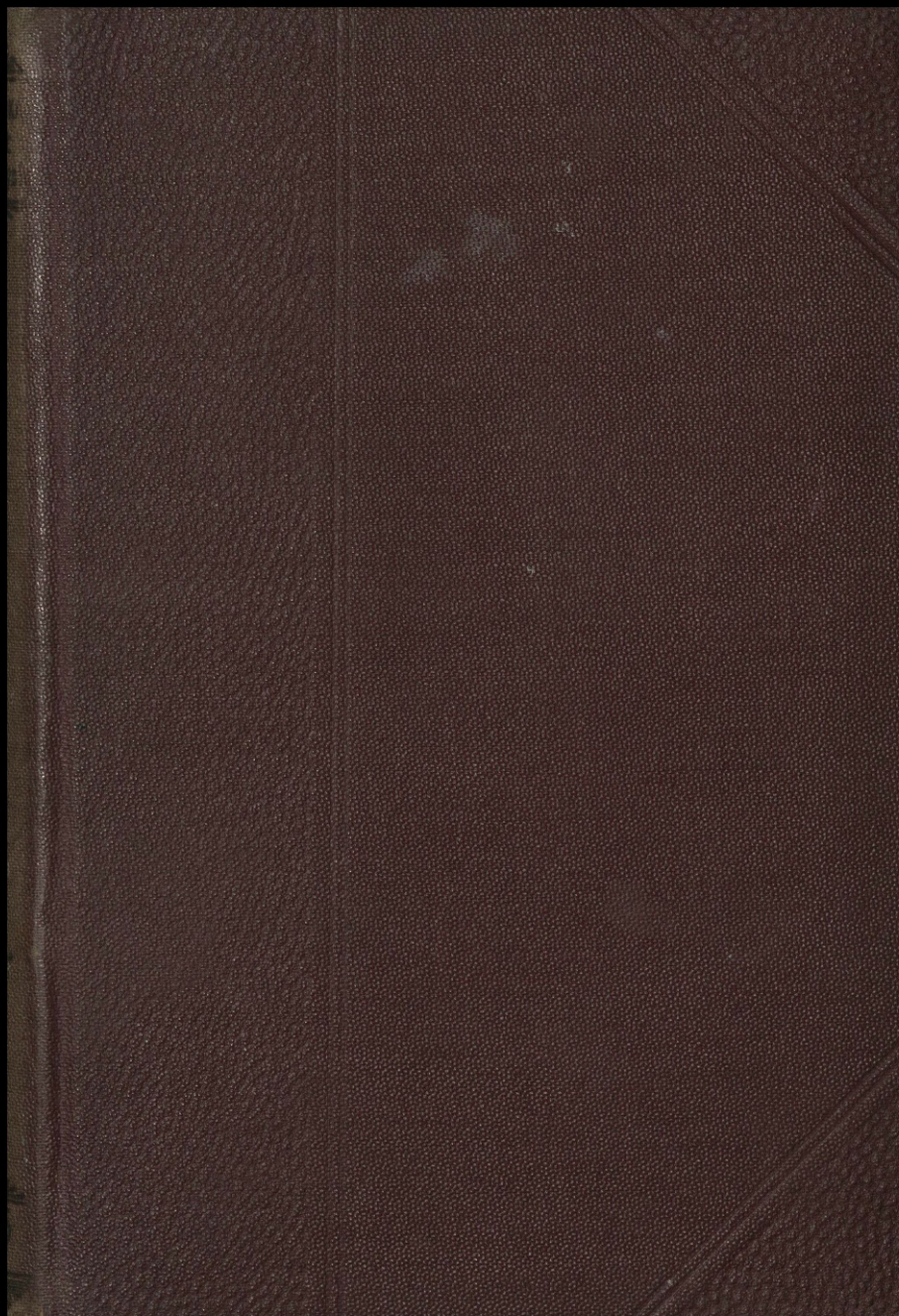
3/Color

Black

Centimetres

Inches

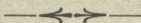




BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

wychodzi co tydzień

w objętości jednego tomu.

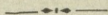


WARUNKI PRENUMERATY

we Lwowie i całym Państwie Austryackim

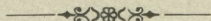
Rocznie . . (52 tomy) . . .	złr. 14
Półrocznie . (26 tomów) . .	„ 7
Kwartalnie (13 tomów) . .	„ 3 cent. 50
Miesięcznie (4—5 tomów) . .	„ 1 „ 20

Cena każdego tomu 30 cent.



REDAKTOR I WYDAWCA

Franc. Jul. Granowski.



Redakcyja i Administracyja: Warszawa, Nowy-Świat 47.—Telefonu 167.
we Lwowie Plac Maryacki l. 4.

Drukarnia A. T. Jesierskiego, Nowy-Świat 47.

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

№ 255.

PAMIĘTNIKI

HRABIEGO de MORIOLLES

O EMIGRACYI, POLSCE
I DWORZE WIELKIEGO KSIĘCIA KONSTANTEGO
(1789—1833)



Z DRUGIEGO WYDANIA FRANCUSKIEGO

Ułomaczyła

Zofia Przyborowska.

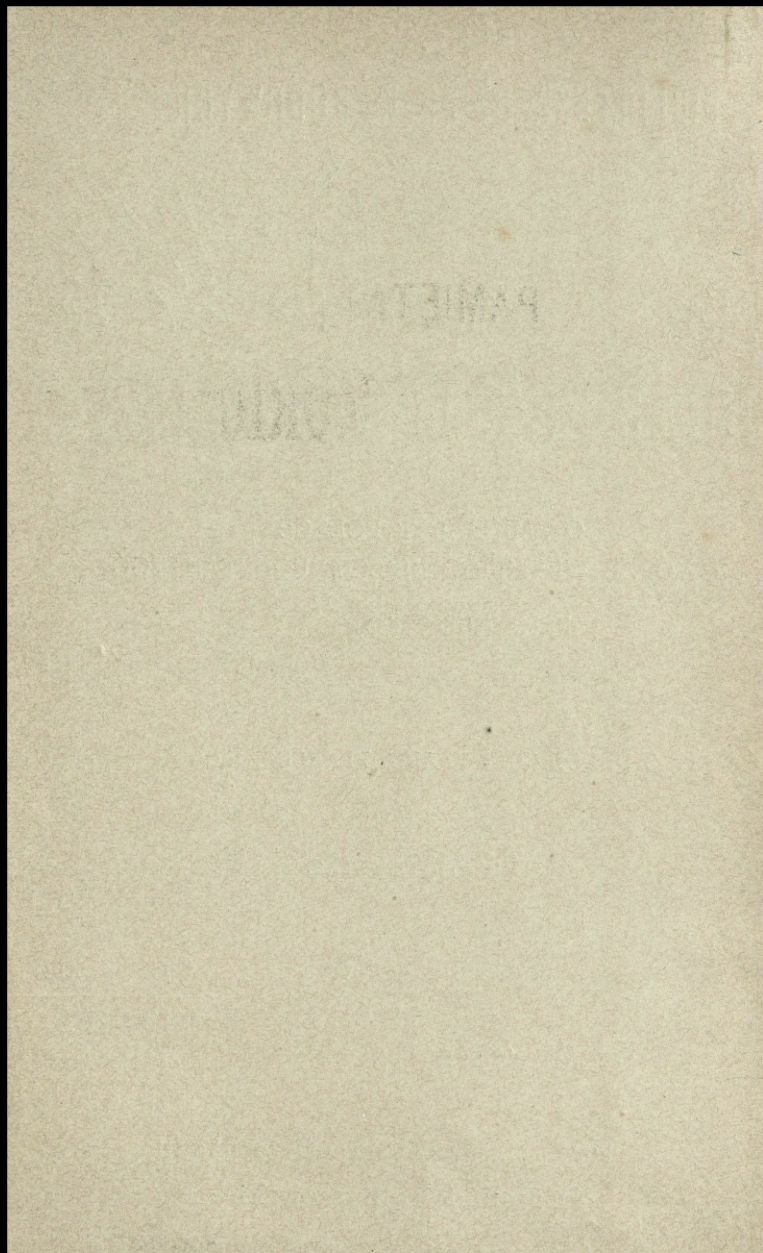
Cena 30 cent.

W prenum. 26^o/₁₀ cent.

ODPOWIEDZIALNY ZA REDAKCYĘ WE LWOWIE

Edmund Kolbuszowski.

Adres wydawnictwa: Lwów, plac Maryacki l. 4.



PAMIĘTNIKI HRABIEGO DE MORIOLLES.

RECEIVED AT THE NATIONAL ARCHIVES

PAMIĘTNIKI
HRABIEGO de MORIOLLES

O EMIGRACYI, POLSCE
I DWORZE WIELKIEGO KSIĘCIA KONSTANTEGO
(1789—1833).



Z DRUGIEGO WYDANIA FRANCUSKIEGO

tlómaczyła

ZOFIA PRZYBOROWSKA.

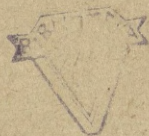


WARSZAWA
DRUKARNIA
A. T. JEZIERSKIEGO
47. Nowy - Świat 47.

840-3:93(438)9

Дозволено Цензурою.
Варшава, 17 Октября 1902 года.

8401/1



PRZEDMOWA

Pamiętniki, których przekład polski podajemy, ukazały się z druku w zeszłym roku w Paryżu i powszechną na siebie zwróciły uwagę przez mnóstwo interesujących szczegółów historycznego znaczenia, oraz przez niewątpliwy talent literacki, z jakim skreślone zostały. Powody, dla których przekład polski tego dzieła został dokonany, wyjaśnia sam tytuł. Trzy czwarte pamiętników poświęconych jest Polsce i rzuca wiele światła na ludzi, rzeczy i wypadki burzliwej epoki od rozbiorów, aż do wybuchu powstania listopadowego. Autor, Aleksander Mikołaj Leonard Karol Marya de Moriolles, urodzony w roku 1760 w Beauclaire w Lotaryngii, należał do arystokratycznej rodziny francuskiej i wskutek pierwszej rewolucji francuskiej emigrował z kraju, brał udział w wyprawach emigracji i sprzymierzonych, a wreszcie, zapoznawszy się z p. Bystrym, szlachcicem polskim z Wołynia, który w wypadkach 1794 roku ode-

grał pewną rolę, zaproszony przezeń, udał się do niego na Wołyń, i od tej chwili pamiętniki Moriolles'a nabierają dla nas znaczenia. Przepędziwszy jakiś czas w charakterze rezydenta u kilku rodzin polskich na Wołyniu, jak u Bystrych, Giżyckich, Morzkowskiego, marząc jakiś czas o założeniu pensjonatu w Żytomierzu, co jednak do skutku nie przyszło, dostał się do Białocerkwi, do ostatniego hetmana koronnego Ksawerego Branickiego. Odmalowawszy w kilku słowach jego postać, nagle w jednym z najciekawszych miejsc, urywa swe pamiętniki, dla przyczyn, których zgoła nie wyjaśnia. Wydawca francuski tych pamiętników, znany literat Fryderyk Maasson, pragnąc zapełnić tę lukę, zasięgnął wiadomości od którejś z pań Branickich, ta zaś zapytała o to pani Adamowej Potockiej, jak wiadomo z domu Branickiej. Otóż pani Potocka pisała: „Moja babka z domu Engelhartówna, która mnie wychowała, miała przy sobie niejaką Annę Jurkieńską (zapewne Jurkowską) późniejszą baronową Franck (działo się to w końcu XVIII wieku). Ta nie opuszczała babki ani Białocerkwi, gdzie też umarła. Otóż opowiadała mi ona w dzieciństwie mojem o tym hrabi Moriolles. Nie wiem, co się z nim stało. Posiadam wiele listów, w których jest wzmianka o hr. Moriolles, ale tylko wzmianka”.

Nie ulega więc wątpliwości, że hr. de Moriolles bawił w Białocerkwi, ale pamiętniki jego bardzo niewiele o tem mówią, dość, że rozpoczynają się one znów z chwilą pobytu pamiętnikarza na dworze Belwederskim Wielkiego Księcia Konstantego Pawłowi-

cza, Naczelnego Wodza wojska polskiego. Bawił on tu od r. 1821 w charakterze gubernera młodego Pawła Aleksandrowicza. Pamiętniki przez to nabierają niezwyklego interesu. Hr. Moriolles opisuje nam postacie z otoczenia W. Księcia, samą wreszcie Księżną Łowicką, której nie jest przyjacielem. Wbrew powszechnej opinii pisarzy tak polskich, jak i rosyjskich o wysokim takcie, czystej duszy i podniosłym charakterze ks. Łowickiej, hr. Moriolles maluje ją nam jako kobietę ambitną, na pół obłąkaną, oddaną mistycyzmowi, pozbawioną taktu. Jenerał Kołaczkowski w III-m tomie swych „Wspomnień” wspomina o Moriolles’ie, że go widywał w Belwederze.

Pamiętnikarz nie jest naszym przyjacielem, sądzi nas surowo i bezwzględnie, ale książka jego, jako opis życia Belwederskiego, skreślony przez naczelnego i umiejącego patrzeć świadka, ma wartość dokumentu historycznego. Dlatego przetłómaczyliśmy ją na język polski dosłownie, opuszczając tylko nudną i powierzchownie skreśloną dysertację o historii polskiej.

Po wybuchu powstania listopadowego, hrabia de Moriolles schronił się do Wrocławia, z kąd nieustannie domagał się wsparcia od Wielkiego Księcia Konstantego, a po jego śmierci od rządu rosyjskiego. Zbyto go milczeniem, na co gorzko się skarży. Nie powinien się być jednak skarżyć, bo dość się nabrał pieniędzy. Wydawca pamiętników znalazł w jego papierach notatkę, z której się pokazało, że przez ośmioletni pobyt na dworze Belwederskim wybrał

36,679 rubli, co wynosi przeszło 4,000 rubli rocznie. Na owe czasy była to bardzo wysoka pensya.

Bądź co bądź pamiętniki te przedstawiają bardzo żywe dla czytelnika polskiego zainteresowanie i nie wątpimy, że mile będą przyjęte przez publiczność naszą.

C Z E Ś Ć I.

(179—1821).

Rewolucya. — Emigracya. — Misya do królowej. — Pobyt w Niemczech. — Wyjazd do Polski. — Pobyt u p. Bystrego, u prezydenta Morzkowskiego i u hr. Branickiego. — Przybycie na dwór Wielkiego Księcia Konstantego.

Wspomnienia życia mego, tak bardzo obfitego w wypadki, powleczone czarną krepą smutku i niedoli, spokoju mi nie dają, przynosząc z sobą żal za minioną przeszłością. Umysł mój, gdy ciało zostało bezczynne, pracuje ciągle, wywołując marę minionych zdarzeń, które męczą mnie strasznie, a od których uwolnić się nie mogę. I w chwili takiej męczarni i zwątpienia przyszła mi myśl zebrania wspomnień, tyjących się mnie osobiście, oraz wypadków, w których brałem udział, a które rozpoczynają się mniej więcej od czasów pierwszej rewolucyi naszej — w jedną całość. Wypadki przesuwają się przed memi oczyma bardzo jasno i dokładnie, pamiętam je lepiej, niż zdarzenia lat ostatnich. Jeżeli w pracy tej nie znajdę ukojenia i nie uwolni mnie ona od pożerającej nudy, zaniecham mego zamiaru, a wtedy życie me stanie się wegetacją i okropnem wyczekiwaniem końca.

Było to w czasie, gdy Marya Antonina, w pełnym rozkwicie urody, zachowywała się przez nieostrożność zbyt swobodnie, a co w kilka lat później miało ją tak nisko postawić w opinii całej Francji. Było to wtedy, gdy przez roztrzepanie, zapominając o swej wysokiej godności, szła, przebrana za subretkę, do ogrodów Wersalu szukać przygód, które naturalnie żadnych następstw mieć nie mogły, a które bawiły ją ogromnie. Zreszłą były to czasy powszechnej wesołości, panującej wszechwładnie na dworze królewskim, lecz jakże dalekie od surowej, cnotliwej etykiety dworu Ludwika XVII! Czas ten przygotował grunt do sprawy naszyjnika i dał powód do oszczerstw, z których Rewolucya skorzystała, aby tron zmieszać z błotem, a władców jego zawieść na szafot. Za przykładem dworu szła i szlachta, pozwalająca sobie często na takie wybryki, o jakich dziś trudno jest mieć pojęcie. Oto przykład:

Pewnego dnia, po obiedzie w Palais Royal, poszedłem trochę odetchnąć świeżem powietrzem do ogrodu. Zmęczony, usiadłem w jednej z bocznych alei i, obserwując tłum spacerujący, pograżyłem się w myślach, gdy naraz dwie damy, w wyszukanych toaletach, siadły obok mnie.

Nie zwróciłem na nie najmniejszej uwagi, nie chcąc wdawać się w rozmowę, ponieważ zrobiły na mnie wrażenie dziewcząt z gminu, których co wieczór pełno było w ogrodach, a z którymi nigdy styczności nie miałem. Tymczasem damy te śmiać się i rozmawiać ze sobą zaczęły w sposób, który widocznie miał na celu skokietowanie mej osoby. Gdy to jednak nie poskutkowało, jedna z nich rzekła

— Pan ten pograżony jest w myślach bardzo poważnych, które każą mu zapomnieć o otaczającym go świecie.

— Widocznie jest zakochany — odezwała się druga — nie przeszkadzajmy mu.

Rozmowa ta wymagała odpowiedzi, przytem ogarnęła mnie nagle chęć pogawędzenia z niemi.

— Tak, moje piękne panie — rzekłem — jestem rzeczywiście zakochany do szaleństwa, lecz wasze osoby łączą to wszystko, co przyprawić może o nie-stałość.

W ten sposób rozpoczęliśmy rozmowę lekką, przeskakującą z przedmiotu na przedmiot, jaką się zwykle prowadzi w podobnych wypadkach. Panie te były bardzo wesołe, żywe, lecz wesołość ta była cokolwiek przytłumioną jakby jakąś wstydlivością, czego nie spodziewałem się spotkać u osób na ich stanowisku. Czas zbiegł nam szybko i bardzo przyjemnie, aż w końcu zaproponowałem im po porcy lodów. Propozycja moja została przyjętą, co przedłużyło naszą rozmowę. To spożyciu lodów jedna z nich rzekła:

— Moja droga, czas już, abyśmy wróciły, oczekują na nas. Pożegnajmy się z panem zakochanym.

— Jakto? mamy się już rozstać — zawołałem z żalem. — Pozwolą mi panie odprowadzić się do domu, abym choć chwilę przedłużyć mógł rozkosz pobytu z niemi. Powóz mój czeka na pań rozkazy.

— Byłoby to nadużycie grzeczności pańskiej, panie de Moriolles.

Zdziwienie moje było zbyt wielkie, abym je mógł ukryć, usłyszawszy swe nazwisko, i spytałem się żywo, jakiemu szczęśliwemu wypadkowi zawdzięczam, że osoba moja jest im znaną i gdzie mógłbym je raz jeszcze spotkać?

— O znamy już pana bardzo dawno i nieomieszkamy podziękować pańskiemu ojcu za grzeczność, jakiej dziś doznałyśmy od pana.

Mówiąc to wstały i zdjęły ze śmiechem kapelusze. Ujrzałem wtedy przed sobą księżnę de Chartres i księżnę de Lamballe, w których towarzystwie jadłem dziś obiad. Wziąwszy mnie pod rękę i do

proceedziwszy do drzwi pałacu, zawołały ze śmiechem:

— Ani kroku dalej—i znikły.

Myślą przenoszę się często do chwil, gdy lubiłem ze wspomnień mych wyrwać piękniejsze kwiaty, by przeciwstawić im smutną terażniejszość. Dziś, gdy przykuty do krzesła, jak Tezeusz do piekła, gdy chwila obecna nic nowego przynieść mi nie może, wspomnienia te ożywiają mnie, rozgrzewają, choć są czasem bardzo błahe. Chcę je raz jeszcze przeżyć, zresztą jest to właściwość wszystkich starców, tylko u jednych objawia się ona w sposób, który staje się męczarnią dla otaczających, gdy zmuszeni są słuchać ich dzień cały, drudzy żyją niemi tylko dla siebie. Do tych ostatnich należę i ja, to też gdy przypadkiem wpadną komu wspomnienia me w ręce, może je rzucić i nie czytać.

Historja, którą powyżej opowiedziałem, dowodzi, że osoba moja znaną była rodzinie Orleańskiej. trochę później będę miał sposobność przedstawić przyczynę, dla której księżne pozwoliły sobie ze mną na ten żart i mistyfikację.

Ojciec mój był paziem hr. de Toulouse, księcia krwi, syna Ludwika XIV i pańi de Montespan, uznanego, jak wogóle wszystkie jej dzieci i króla. Po odbytej służbie pazia, wstąpił do pułku gwardyi, którym dowodził sam książę i który nosił jego imię. Następnie wysłany został z pułkiem do Włoch, gdzie odbył kampanię w armii marszałka de Coigny przeciw Austrii. Po bitwie pod Guastalla otrzymał stopień kapitana. Po odbytej kampanii wstąpił do korpusu gwardyi w tymże stopniu.

Po śmierci hrabięgo de Toulouse, syn jego jedyny, książę de Penthièvre, odziedziczył po nim tytuł i niezmierną fortunę. Lubił bardzo mego ojca i miał do niego ogromne zaufanie, mnie zaś od lat najmłodszych obdarzał swą łaską. Książę ożenił się z ks. de Modène, z którą miał dwoje dzieci: syna,

księcia de Lamballe, ożenionego z ks. de Carignan i starszą córkę, która wyszła za księcia de Chartres. Ten ostatni był skończonym łotrem, czyhał tylko na fortunę swego teścia, a ponieważ życzenia te zgadzały się z życzeniami ks. de Lamballe, postanowił go też użyć do swych celów, korzystając z jego słabego charakteru, żadnego użycia. Ks. de Lamballe zapomniał wkrótce o młodej pięknej żonie dla płatnych kochanek księcia de Chartres, poróżnił się z ojcem — szlachetny charakter, który podobnego postępowania znieść nie mógł — i opuściwszy dom rodzinny zamieszkał osobno.

Ks. de Penthievre użył wszelkich możliwych środków, aby syna naprowadzić na dobrą drogę, lecz wszystko napróżno. Zwrócił się nawet do mego ojca z prośbą, aby wykazał, mu, jak postępowanie jego nie zgadza się z zasadami honoru i obowiązku i że o wszystkim zapomni, byleby tylko poprawił swe życie. Ojciec chętnie się tego podjął i starał się skłonić go wielu argumentami do zmiany postępowania, lecz młody człowiek ani zważał na to.

Tymczasem taki sposób życia zaczął zgubnie oddziaływać na zdrowie księcia, który, czując się coraz słabszym, zastanawiać się zaczął nad zmarnowanymi latami. Ojciec mój mógł w końcu nawrócone dziecię oddać w ręce ks. de Penthievre i w ramiona opuszczonej małżonki. Lecz opamiętanie się przyszło trochę zapóźno, siły księcia były już zbyt wyniszczone i po kilku miesiącach zmarł, pozostawiając nieutulonego w żalu ojca i młodą wdowę, która za ledwie żyć zaczęła, a ks. de Chartres w posiadaniu fortuny, zdobytej środkami zbrodniczymi.

Ks. de Lamballe na czas żałoby schroniła się do opactwa Montmartre. Rodzice moi odwiedzali ją dość często, zabierając mnie czasami z sobą, dlatego to moja znajomość z nią sięga tak odległych czasów. Poznałem wtedy i ks. de Chartres, częstego gościa w pałacu Tuluzyjskim, posiadającym teraz w swych

murach miliony, ponieważ mieści się w nim Bank Francuski. Po skończonej żałobie księżna zamieszkała przy ojcu swego męża.

Żona Delfina, Marya Antonina, zaprzyjaźniła się z nią bardzo, co zresztą nie było dziwnem, zważywszy, że natura obdarzyła obie subtelnym smakiem i pięknymi przymiotami duszy. Gdy Marya Antonina zasiadła na tronie, przyjaźń ich zacieśniła się jeszcze bardziej. Księżna otrzymała godność ochmistrzyni dworu. Królowa odwiedzała często pałac de Toulouse incognito w towarzystwie tylko jednego lokaja, zjawiała się zwykle niespodziewanie, ażeby w ciszy i samotności spędzić z przyjaciółką dzień cały. W takich tylko wypadkach ukazywało się na stole nakrycie z czystego złota, ofiarowane hrabiemu Tuluzy przez Ludwika XIV, a które ks. de Pentièvre szacował bardzo wysoko. Często bywałem świadkiem podobnych odwiedzin i nieraz królowa obdarzyła mnie kilku łaskawemi słowy. Odwiedziny te dały powód do niegodnych plotek.

Wielka ta zażyłość trwała do chwili ukazania się na dworze pięknej hrabiny de Polignac. Kochankiem jej był hr. de Vaudreil, człowiek rzadkich przymiotów umysłu, pięknej postawy i urody niezwyklej. Przychylnie przyjęcie, jakiego doznała hrabina od królowej, wzbudziło w hrabi chęć uczynienia z niej powiernicy królowej, lecz przedtem usunąć trzeba było ks. de Lamballe. Ponieważ nowość i zmiana porciągają dusze nawet najszlachetniejsze, a charakter księżnej był bardzo szczery, niezdatny do intryg i podstępu, nic więc dziwnego, że rywalka jej wkrótce zajęła pierwsze miejsce u boku królowej.

Księżna cierpiała nad tem bardzo i często ze łzami w oczach opowiadała mi o niecej intrydze swych nieprzyjaciół, dla królowej jednak zachowała wdzięczność głęboką za jej dobroć. Stanowisko swe na dworze zachowała, ukazując się co sobota w Wer-

salu na obiadach uroczystych, na które zbierała się cała rodzina królewska.

Tymczasem hr. Julia, zrzęcznie kierowana przez hr. Vaudreil, wkradła się w łaski królowej, tak, że wkrótce obdarzoną została tytułem księżnej. Z łask królowej korzystało i całe otoczenie hrabiny, które przez swe skandaliczne postępowanie naraziło się na nienawiść tłumów od początku rewolucyi. Oburzenie patryotów, na hrabinę szczególnie, było bardzo silne, gdyż przypisywano jej wszystkie błędy królowej, to też za pierwszym silniejszym podmuchem rewolucyjnym porzuciła Francję, zostawiając swą władczynię na los szczęścia.

Królowa dopiero teraz uczuła brak ks. de Lamballe, przebywającej oddawna w Belgii, gdy nie miała komu zwierzyć swych obaw i trosk, gdy nikt nie umiał pocieszyć jej jednym przyjaznym słowem. Napisała do księżnej, prosząc ją o przybycie i przedstawiając swe smutne położenie. Księżna, nie namyślając się ani chwili, porzuciła wszystko, aby śpieszyć na wezwanie tej, która z nią tak niegodnie postąpiła.

Los jednak przygotowywał zemstę królowej, bo w jakiś czas potem pozbawił ją i tej wiernej ostatniej duszy; królowa ujrzała piękną głowę ks. de Lamballe, bujnym pokrytą włosom, nadzianą „a pikę i całą zbryzganą we krwi. Na ten straszny widok musiała królowa uczuć różnicę między poświęceniem odepchniętej, a niewdzięcznością ulubienicy, która uciekła, aby ocalić siebie.

Po wstąpieniu w świat stałem się częstym gościem w pałacu Tuluzyjskim, zdaleka trzymając się od wiru dworskiego pod wpływem księcia de Peuthièvre, który w Paryżu przebywał rzadko i bardzo krótko, a na dworze tylko wtedy, gdy wymagało tego jego stanowisko wielkiego admirała Francyi. Po każdym takim wstąpieniu uciekał do siebie na wieś, do swych zamków, w których murach czuł się tylko



szczęśliwym. Dla swych poddanych był prawdziwym ojcem, czynił im wiele dobrego. Życie jego, pełne cnót i zaparcia się siebie, o obyczajach surowych, było raczej życiem świętego, niż życiem księcia, otoczonego wielkością i bogactwem.

Oprócz książęcej fortuny po ojcu, otrzymał w spadku po hr. d'Eu i księciu de Dombes, zmarłych bezdzietnie, blisko 6 milionów renty. Posiadał zamki de Sceaux, d'Auet, de Châteauvilain, de Rambouillet, de Chateauneuf, d'Eu, de Chateloup, de Vernon i d'Armainvilliers, między którymi było kilka prawdziwie królewskich, umeblowanych wspaniale. Ks. de Peuthièvre, przy swej prostocie charakteru, lubił zbytek otoczenia. Stół musiał być codzień zastawiony, chociaż potrawy były więcej, niż skromne. Wyrzekłszy się w życiu publicznym zaszczytów, w życiu codziennym używał wszystkiego, co mu jego królewskie pochodzenie dać mogło.

Przedstawiony księciu przez ojca, zostałem przyjęty bardzo przychylnie, później zaś, gdy księżę widział, że świat i życie dworskie nie ciągną mnie wcale, że wolę spokój i samotność życia wiejskiego, zaczął obsypywać mnie swemi łaskami. W czasie wycieczek po dobrach swoich, księżę brał mnie często z sobą i wtedy wolno mi było nosić barwy książęce. Większą część roku spędzałem w rezydencji książęcej, widując rzadko kiedy kogoś, coby nie należał do dworu, składającego się z bardzo nielicznej garstki wybranych. Ks. Orleańska, ks. de Lamballe, ks. de Conti dosyć często przebywały po kilka tygodni u boku księcia, a wtedy dwór się zwiększał.

W bliskich stosunkach żyłem z kawalerem de Florian. ulubieńcem księcia, nazwanym przez niego Poliszynem, który mu wszędzie towarzyszył. Księżę dał mu mieszkanie u siebie w pałacu Tuluzyjskim, letnie zaś mieszkanie urządził mu w pałacu de Sceaux, gdzie Florian pisał swe utwory, które otworzyły mu wrota akademii i zaliczyły w poczet

nieśmiertelnych. Florian czytał mi zawsze swe dzieła, a ja nieraz radziłem się go w moich nieśmiałych próbach. On pracował dla sławy i chwały, podczas gdy ja tworzyłem tylko dla siebie.

Pewnego razu, gdyśmy bawili w Auet, podziękowałem mu wierszem za jakąś usługę, którą mi przedtem wyświadczył. Florian natychmiast mi odpowiedział bardzo ładnym wierszykiem, własnoręcznie napisanym. W kilkanaście lat potem, po powrocie moim z emigracyi spotkałem się z temi samemi wierszami, lecz ofiarowanemi p. Didot z datą daleko późniejszą. Przekonania nasze polityczne były tak różne, że Florian, przypuszczając, iż kraj opuściłem na zawsze, nie krępował się wcale i pozbawił mnie swego daru.

Oprócz niego do uprzyjemnienia pobytu mego na dworze księcia przyczynił się wielce wice-hrabia du Authier, paż jego książęcej mości, a z którym księżę rozstać się nie chciał i trzymał go ciągle przy sobie, jako swego mistrza ceremonii. To dało powód do rozmaitych niegodziwych plotek, które jednak nie wywarły najmniejszego wrażenia na opinii publicznej, zanadto głęboko przekonaną o cnotach księcia. Tymczasem położenie wice-hrabiego do bardzo przyjemnych nie należało i nieraz mu się ta niewola dobrze we znaki dała. Starszy brat jego został pułkownikiem kawaleryi, a młodszy otrzymał od księcia duże dobra, sam zaś był kapitanem w gwardyi książęcej. Wice-hrabia pochodził z zubożałej rodziny. Z najprzyjemniejszym charakterem łączył jeszcze wielki i rzadki dar opowiadania.

Długie to przedwstępne opowiadanie skończę zaraz, dorzucając jeszcze słów kilka o ks. de Peuthièvre. Księżę obiecał mi dać jeden ze swych pułków, czekając na to zostałem kapitanem, spodziewając się po latach czterech zostać pułkownikiem. Tymczasem wyszedł rozkaz, zabraniający dowództwa nad

tym pułkiem, w którym przedtem się służyło. Wtedy ksiązę prosił marszałka de Puysegur, ministra wojny, ażeby zamianował mnie majorem w pułku liniowym. Zamianowano mnie do pułku de Cambréris, stojącego w Bayonnie, gdzie służyłem rok, po którego upływie ksiązę przyjął mnie w tymże stopniu do swego pułku dragonów. Wtedy to nastąpiła rewolucya, a mnie przerzucono do Koblencyi.

Muszę jeszcze dodać, że w czasie rewolucyi, a nawet w najstraszniejszych jej chwilach, osoba księcia była zawsze szanowaną i otoczoną miłością ogólną i najsakrajniejsi nigdy inaczej go nie nazywali, jak pocziwym Peuthièvre. Opowiedziałem historję swą przed rewolucją, która, podobnie, jak i wszystkich emigrantów, nie zawiera szczegółów, interesujących ogół.

W okręgu byłem jedynym członkiem szlachty, który godnie mógł reprezentować prowincję na zgromadzeniu stanów, to też uczułem się dumnym z zaufania mych sąsiadów, gdy wybrano mnie na przedstawiciela, zaufanie to zwiększyło się jeszcze po wydaniu przezemnie małej broszurki treści politycznej, bardzo na czasie, gdy wszystkie umysły gorąco się sprawami społecznymi zajmowały. Czułem jednak, że zadaniu temu nie podołam, wykształcenie moje pod tym względem było prawie żadne, doświadczenie jeszcze mniejsze i mogłem się narazić na niejeden krok fałszywy, jednym słowem czułem się nie na siłach do godnego spełnienia powierzonego mi stanowiska, wymagającego dobrej znajomości prawa, historyi, a szczególnie ludzi, których reprezentować miałem. Wszystko to rozważywszy, postanowiłem nie przyjmować ofiarowanej mi godności, tak bardzo upragnionej przez innych, zaślepionych dumą i ambicyą, która często usypia sumienie. Z drugiej znów strony bałem się, abym kroku tego później nie żałował. Spodziewano się, że wybory będą bardzo burzliwe. Umysły były podniecone, stan trzeci domagał

się nowych praw, idee filozofii nowożytnej rozposzechniały się coraz bardziej. Podmuchy przyszłej burzy zaczęły się pojawiać i czułem dobrze, że nigdy pora nie była bardziej niesprzyjająca do złączenia stanów, jak wtedy, i że miejsce, gdzie powinna panować mądrość i patryotyzm, zmieni się na miejsce wybuchu wszystkich namiętności ludzkich. Miejscem wyborów obrano Sedan, gdzie każda prowincya miała obradować osobno nad wyborem swych posłów. Pojechałem i ja ze stanowczym zamiarem nie przyjęcia mandatu, co też natychmiast objawiłem publicznie, dodając, że gdyby jednak współobywatele moi zaszczytili mnie swym wyborem, z żalem chęciom ich zadość uczynić nie będę w stanie. Następnie wmieszałem się w grupy wyborców i duma moja połechtana mile była, słysząc, jak wszyscy stanowczo głosowali za mną. Na co odrzekłem, że postanowienie moje jest nieodwołalne, ale że wskażę im człowieka godniejszego odemnie. Zauważyłem przedtem, że po mnie najwięcej głosów za sobą miał p. d'Estagnolles, dzielny i szlachetny człowiek, to też wybór mój padł na niego.

Kiedyśmy weszli do naszej sali wyborów, los mój już był rozstrzygniętym. Deputowanym został p. d'Estagnolles, ja jego pomocnikiem, co się zupełnie zgadzało z mem życzeniem.

Pojechałem do Paryża, aby być obecnym na otwarciu zgromadzenia stanów jeneralnych. Przepędziłem w stolicy blisko miesiąc i czas ten utwierdził mnie w przekonaniu, że dobrze zrobiłem, nie przyjmując mandatu, ponieważ prądy ówczesne, nasiąknięte duchem wolności, nie zgadzały się z mojem przekonaniem. Wróciłem na wieś z uczuciem, że wypadki, które czuć było w powietrzu, staną się nieszczęściem kraju.

Wtedy już gorzały pałace, niszczone archiwa, Bastylia była wzięta, straszna burza stawała się nieuniknioną.

Podział Francji na 83 departamenty został właśnie zatwierdzonym i przystąpiono do wykonania tego projektu. Ku memu wielkiemu zdziwieniu otrzymałem rozkaz od króla, abym się zajął utworzeniem departamentu w mojej okolicy z tytułem komisarza. Przeznaczono nas trzech: p. de Tameron, p. Baudin i mnie. P. de Tameron przyjął tytuł, lecz się nie mieszał do niczego, tak, że cała praca spadła na mnie i p. de Baudin, człowieka uczciwego, bardzo wykształconego, zagorzałego patriotę, który później został członkiem konwencji, następnie rady starszych, umarł zaś wskutek wzruszenia na wieść o powrocie Napoleona do Francji, co tylko dowodzi, że tak on, jak i wielu uważało tego niezwyklego człowieka za jedynie zdolnego do zaprowadzenia porządku w ojczyźnie, szarpanej przez tyle strasznych zbrodni.

Pomimo różnicy naszych przekonań, zgadzaliśmy się doskonale i poważali się wzajemnie. Miesiąc ciężkiej pracy i 844 franki, które rząd wyasygnował, wystarczyły na utworzenie departamentu Ardennes, który pierwszy z 83-ch działać zaczął. Baudin i ja czuliśmy się dumni z naszej pracy, szczególnie, gdyśmy widzieli opieszałość, z jaką organizowano gdzieindziej i szalone sumy, które pochłaniała ta praca. W nagrodę za trud otrzymałem list z podziękowaniem, pisany w imieniu zgromadzenia przez p. Targel. List ten spaliłem natychmiast.

Komisarze królewscy obdarzeni zostali władzą prawodawczą, do nich należało sądenie skarg i zażaleń wszelkiego rodzaju. W wielu wypadkach rozstrządałem sam bez uciekania się do władz wyższych. To wywołało wiele niezadowolenia, jedni ogłosili mnie za demokratę, drudzy za zagorzałego arystokratę, co zresztą wiele mnie nie obchodziło, tylko srodze nudziło. Jednakże w czasach anarchii politycznej mogło mieć swe znaczenie, tak, że zacząłem się nad tem zastanawiać. Emigracja tymczasem zwiększała się z dniem każdym. Brat królewski i ks.

d'Artois wyjechali, aby szukać schronienia na obczyźnie. Panowało wtedy przekonanie, że ten, kto pozostawał w kraju, był zdrajcą, bo aprobował rewolucję. To stało się powodem, że chociaż nie uważałem emigracyi za korzystną dla interesów tronu, zacząłem przygotowywać się do wyjazdu i wziąłem pasport do Włoch. Nie przypuszczałem nigdy, aby przyszłość mogła sprowadzić tyle nieszczęść, uważałem raczej, że wyjazd mój będzie podróżą dłuższą lub krótszą, zależnie od tego, jak gorączka rewolucyjna potrwa długo.

Oddawna już marzyłem o Włoszech, to też podróż ta uśmiechała mi się i pociągała bardzo, obiecując dać zapomnienie o cierpieniach ojczyzny, już mrocznej i ciekącej krwią. Próżne nadzieje i próżne marzenia. Ach! jakże dobrze i rozsądnie zrobiłem, nie zasiadając na ławie deputowanych, na ławie, która stała się grobem tylu dobrych chęci i pragnień, zdaje się tak łatwych do spełnienia.

Wyjazd mój upozorowałem sprawami handlowymi. Opinia nie domyślała się nawet rzeczywistego powodu mej podróży, tak, że wiele dużych domów handlowych w Sedanie dało mi listy polecające do swych korespondentów prawie w całej Europie.

Tak zabezpieczony udałem się w drogę. Wypadki tej podróży do chwili przybycia mego nad Ren opisane są we wspomnieniach moich z Włoch.

Postanowiłem zimę spędzić w Manheimie i wynająłem sobie mieszkanie u starego Francuza, byłego adjutanta marszałka de Saxe, starego oryginała, trochę poety i literata, od którego doznałem nadzwyczaj przyjacielskiego przyjęcia, szczególnie, gdy się dowiedział, że i ja pracuję na polu literackim.

Na pobyt zimowy wybrałem Manheim, a nie Koblenecę dlatego, że przypuszczałem, iż ta ostatnia przepelnioną będzie przez emigrantów, ja zaś pragnąłem zdala od nich się trzymać i rzeczywiście, choć ich nie brakło i w Manheimie, liczba ich jednak nie

przewyższała trzeciej części wychodźców, zamieszkałych w Koblencyi. Prowadzili tu oni sposób życia na wielką skalę w przekonaniu, że powrót ich do Francyi jest tylko kwestyą czasu. Książęta, bracia królewscy zamieszkiwali piękny pałacyk, ofiarowany im przez ich wuja, elektora Trewirskiego, który mieszkał we własnym swym pałacu.

Przybywszy na dni kilka do Koblencyi, postanowiłem odszukać hr. d'Avaray i hr. d'Hauteford, którzy pozostawali w służbie braci królewskich. Pisywali do mnie do Włoch, namawiając, abym przybył do nich, ponieważ nadszedł już czas zbliżenia się do książąt. Z obydwoma tymi panami uczęszczałem do szkół, a wiadomo przecież, jak przyjaźń szkolna jest silną i trwałą. Ojciec d'Avaray'a, od którego doznałem wiele przychylności, był ochmistrem dworu, a syn mu pomagał. Jego wysokość okazywała wiele przyjaźni i zaufania swemu młodemu słudze, uczynił go kapitanem swej przybocznej gwardyi i używał do wszelkich tajemnych posług. Biedny d'Aravay nie cieszył się zbyt silnem zdrowiem, wzruszenie, zmęczenie, przygody na wychodźstwie tak go osłabiły, że zmuszony był opuścić swego pana bez tronu i pojechał na wyspę Maderę z nadzieją w duszy, że łagodny klimat wróci mu zdrowie; wkrótce jednak zmarł tam, nie doczekawszy się, aby pan jego zasiadł na tronie swych przodków. Mógł być odegrać w dziejach wybitną rolę, był bowiem zdolny i wykształcony bardzo.

O mem przybyciu do Koblencyi dowiedział się od księcia, ponieważ nazwiska nowoprzybywających były księciu natychmiast podawane. Książę kazał przywołać do siebie d'Avaray'a i rzekł doń z uśmiechem, że przyjaciel jego Crochet przybył. Było to moje szkolne przezwisko, o którym dowiedział się książę z pewnością od d'Avaray'a, w czasie poufnych rozmów, w których udział przyjmował d'Hau-

teford, a któremi zwykle obdarzali księcia na do-branoc.

D'Hauteford przedstawiony księciu przez d'Ava-ray'a zaliczał się również do jego zaufanych, lecz tylko w sprawach natury prywatnej; do spraw poli-tycznych nie był używanym nigdy; księżę powierzał je tylko d'Avaray'owi.

D'Hauteford był bardzo bogatym, ożenił się z sierotą, panną Vieuville, która wniosła mu ogro-mny posag, i która towarzyszyła mu na wygnaniu. Był to człowiek nadzwyczaj uprzejmy i poczciwy, in-teligentny i bardzo wykształcony. Wrócił do Francyi po ogłoszeniu amnestyi dla wychodźców. Widziałem się z nim po raz ostatni, gdy przyjechałem do Fran-cyi odwiedzić mego ojca.

Muszę tu jeszcze dodać kilka mych uwag, co do nieszczęśliwego wpływu, jaki miała emigracya. W Koblencyi panowały między emigrantami te same wady, te same śmieszności, ta sama swoboda oby-czajów, które wywołały rewolucyę i oburzenie tylu ludzi. We Francyi sędziami byliśmy sami, na ob-czyźnie było inaczej, szaleństwa nasze oburzały su-rowych i poważnych Niemców, którzy pojąć nie mogli podobnego postępowania w okolicznościach, w ja-kich myśmy się znajdowali. Z księciem przybyła je-go kochanka, p. de Balbi, hr. d'Artois przywiózł swo-ją p. de Polastron. Prawdę powiedziawszy, przenie-śliśmy tylko scenę naszych szaleństw gdzieindziej, a co gorsza wystawiliśmy je na widok publiczny, na sąd ludzi obcych, którzy tego tylko pragnęli, by nas ośmieszyć i nieledwie wzbudzić przeciw nam drugą rewolucyę.

Widok rzeczywiście był smutny.

Znałem bardzo dobrze Cazalès'a, który wespół z opatem Maury odegrał wybitną rolę w Zgromadze-niu Narodowem. Poznałem go jeszcze przed wybo-rami, lecz ani przypuszczałem nawet, aby się mógł tak wybić, wtedy gdy stał garnizonem w Stenay,

miasteczku, położonem niedaleko od mojej wsi, a do którego jeździłem codziennie, aby się trochę rozerwać w gronie jego oficerów. Uchodził za wielkiego gracza i hulakę. To też gdy w pismach wyczytałem, jak wybitną rolę odgrywać zaczyna, gdy przeczytałem mowy jego pełne natchnienia, prawdziwego wykształcenia i zapału, nie chciałem wierzyć, aby to mogła być ta sama osobitość, przypuszczałem raczej, że to brat jego lub blizki krewny. Upewniwszy się w Koblencyi, że to jest ten sam Cazalès, poszedłem do niego, wieszując mu tak szybkiego wybięcia się.

— Mój kochany — odpowiedział mi — w Stenay widziałeś mnie tylko w dzień, w nocy nie widziałeś nigdy, gdy oddawałem się nauce z całym zapałem, z jakim z pewnością nie oddałem się nigdy żadnej z mych hulanek, które mi zaszczytu nie przynoszą. Praca moja wydała dziś owoce i sądzę, że ci, którzy wtedy kpili ze mnie, dziś inaczej mnie sądzą.

Przyczem wyraził swe przekonanie, że monarchia przepadła bezpowrotnie, że położenie jej jest bez wyjścia przez fałszywe postępowanie tronu, że emigracya ostatecznie przyczyniła się do jej upadku, że poszedł na nią wbrew przekonaniu, byleby tylko okazać się wiernym ogólnemu prądowi, w końcu przepowiedział to wszystko, co rewolucya za sobą pociągnie i, niestety! przepowiednie jego prawie wszystkie się spełniły. Zgadzałem się z nim zupełnie.

W Koblencyi pozostałem blisko dwa tygodnie, łaskawie przyjmowany przez księcia, widując się tylko z dwoma mymi przyjaciółmi, poczem wróciłem do Manheimu, odwiedzając często Koblencję, aby zasięgnąć wiadomości o wypadkach, które posuwały się z szaloną szybkością i miały wyrzucić taki wpływ na nasz los.

Nadzieje zawodziły nas ciągle, horyzont polityczny zaciemniał się coraz bardziej. Zapasy pienię-

żne wyczerpywały się powoli, pobyt za granicą kosztował dużo, postanowiłem więc udać się do Francyi, aby zdobyć trochę monety, korzystając z kupieckiego mego pasportu. Przed wyjazdem poradziłem się d'Avaray'a i d'Hauteford'a, którzy zamiar mój pochwalili.

Nazajutrz po przybyciu mojem do Koblencyi, d'Avaray oznajmił mi, że księżę pragnie ze mną mówić wieczorem. Stawiłem się podług rozkazu, a d'Avaray wprowadził mnie natychmiast do gabinetu księżęcego, gdzie księżę wkrótce się ukazał.

— Od pańskiego przyjaciela dowiedziałem się, że zamierzasz pan udać się do Francyi, czy pan się nie obawiasz?

— Nie Wasza Wysokość—odpowiedziałem—mogę się tam dostać bezpiecznie.

I opowiedziałem mu, jakie ostrożności przedsięwzięłem przed moim wyjazdem. Dodałem jeszcze, że ziemie moje leżą niedaleko Luksemburga i że wyjeżdżając, mam zamiar użyć tego samego podstępu...

— Czy mogę panu powierzyć list, który trzeba oddać memu bratu.

— Przysięgam — odrzekłem—gdyby los nie pozwolił oddać mi go we właściwe ręce, zniszczę go, nie pozostawiając śladu.

— Dobrze — odrzekł księżę—być może, że korzystając będę z pańskich usług, p. Crochet, którego inteligencya i dyskrecya jest mi tak dobrze znana, proszę być gotowym na me rozkazy.

Pomimo niecierpliwości, jaka mną miotłała, gdyż opóźnienie mogło stać się przyczyną, że główny cel mej wyprawy spełźnie na niczem, pozostawałem w Koblencyi. Co wieczór jeździłem na wieś, czekając na rozkazy księcia, a d'Avaray upewniał mnie, że jeszcze dni kilka. Nakoniec po tygodniu oczekiwania wręczył mi list z nieodzownymi instrukcyami, dając do zrozumienia, że pismo jest nadzwyczaj ważne, choć treści mi nie powierzono. Nazajutrz rano wyjecha-

łem, a ponieważ list nie był zbyt duży, umieściłem go na piersiach. Podróż przeszła bez przygód, w domu zastałem wszystko w porządku. Wielu myślało, że i ja wyemigrowałem, lecz powrót mój uspił podejrzeń, postanowiłem jednak spędzić dwa dni u siebie dla ostatecznego uśmierzenia plotek, choć list palił mnie i naglił do pośpiechu. Obawiałem się, aby mnie nie zadenuncyowano przed Jakobinami, gdyż osobistość moja była zbyt wybitną w mojej okolicy, a co mogłoby być dla mnie fatalnem. To też pokazywałem się wszędzie, pooddawałem wizyty, byłem w Sedanie, a Baudin przyjął mnie z płaczem, gdyż i on sądził, że wyemigrowałem, w końcu nakłamawszy o mych sprawach handlowych i zobowiązaniach, jakie pozaciągałem, pośpieszyłem do Paryża.

Niestety! był to mój ostatni pobyt w miejscu, w którym tyle słodkich dni spędziłem. Smutne przeżycia, jakie wyniosłem z mych obserwacji i zatrważających przepowiedni Cazalès'a, wyjazd czyniły mi okropnym, lecz los mój był rozstrzygniętym, honor i obowiązek wołały w drogę.

Nazajutrz rano po przybyciu udałem się do pałacu Tuluzijskiego, chcąc tam dowiedzieć się, gdzie królowa przebywa, aby pytaniami nie wzbudzić podejrzeń, a wiedziałem tylko, że z ks. de Lamballe mieszka w Tuilleryach. Powiedziano mi, że mieszka w pawilonie Flory, gdzie też natychmiast się udałem. Boże Wielki! co za straszny widok przedstawił się mym oczom. Straże porozstawiane wszędzie, czapki czerwone na głowach, piki w rękach, cały ten obraz okropny dowodził, w jakiej niewoli żyje rodzina królewska. Dostawszy się do apartamentów królewskich, zażądałem rozmowy z jedną z jej dam dworu, a gdy ta się zjawiła, prosiłem, aby zaanonsowała mnie królowej.

— Królowa jeszcze nie wstała—rzekła.

W kilka chwil potem zjawiła się ks. de Lamballe na pół ubrana.

— Panie de Moriolles, z kąd się pan tutaj wziął?

— Z Koblency, oto list przeznaczony dla króla.

— Daj mi go pan, a natychmiast zaniosę królowej.

Zmiana, jaka w niej zaszła, uderzyła mnie odrazu. Uwolniwszy się nareszcie od niebezpiecznej przesyłki uczułem wielką ulgę. Chodząc po pokoju, oddałem się rozmyślaniom nad zmiennymi losami, nie tylko zwykłych śmiertelników, ale nawet i najwyższych władców. Ot i ci np. otoczeni przedtem czcią, szacunkiem i władzą, dziś mieszkanie ich zamieniono na więzienie, otoczono strażą, narażeni są na tyranję tłumów, u których stóp korzyło się wszystko, co przedtem było wielkie i potężne, a którzy chcieli dowieść przez swe znęcanie się nad królami, że władza ich jest silniejszą.

Wkrótce księżna powróciła, mówiąc:

— Panie de Moriolles, staraj się ukryć przez dni kilka, dopóki nie otrzymasz rozkazów królewskich, lecz kiedy to nastąpi, nie mogę dziś panu tego powiedzieć. Najlepiej pan zrobi, jadąc do Auet, gdzie jest mój ojciec i siostra. Tam będziesz pan zupełnie bezpieczny, lecz na Boga, jedź pan natychmiast, gdy będziesz potrzebny, zawiadomię cię o tem. Boże! co za straszne położenie, tu nawet mury mają uszy, każdy krok nasz jest strzeżony, nikomu zaufać nie można.

Napróżno starałem się ją uspokoić, natchnąć odwagą. Zadała mi jeszcze kilka pytań co do Koblency i wierzyć nie chciała, abym się o siebie obawiać nie potrzebował.

— Nie zobaczymy się już więcej, lecz błagam pana na wszystko, jedź zaraz do Auet, niech pewną będę, że mogę tam pana w razie potrzeby znaleźć.

— Pani — rzekłem — daję ci słowo honoru, że w przeciągu trzech godzin opuszczę Paryż.

— Szczęśliwej drogi — rzekła, wyciągając rękę, którą ucałowałem ze czcią — upewnij pan mego ojca, że czują się doskonale. Do widzenia.

Zobowiązanie to było mi bardzo nie na rękę, gdyż miałem jeszcze kilka listów do oddania, lecz dałem słowo i pojechałem zaraz do Auet, gdzie trafiłem na obiad.

Przyjechawszy, udałem się naprzód do wicehrabiego du Authièr, który ucieszył się bardzo na mój widok. Rozmowę naszą przerwał rozkaz stawienia się przed księciem, który, dowiedziawszy się o mem przybyciu, chciał ze mną mówić. Du Authièr miał zaledwie czas powiedzieć:

— Znajdzie pan księcia bardzo zmienionym. Jest on nader nieszczęśliwy.

Mówiąc to, wskazał palcem na czoło, lecz ja znaku tego nie zrozumiałem.

Księcia zastałem na klęczniku. Ujrzawszy mnie, zrobił znak krzyża świętego, zbliżył się do mnie i ściskając, rzekł:

— Panie de Moriolles, z kąd pan wraca, zapewne z Włoch, czy pan nie widział tam kardynała de Bernis?

— Nie, mości książę — odpowiedziałem — nie byłem ani w Rzymie, ani w Neapolu i nie skorzystałem z listów, które Wasza Wysokość udzielić mi raczyła. W chwili, gdy miałem zamiar tam się udać, odwołano mnie do Koblencyi, z kąd też i jadę, wstąpiwszy po drodze do Paryża, gdzie wręczyłem list królowi. Z rozkazu ks. de Lamballe przybyłem tu, aby oczekiwać na jej dalsze rozkazy.

Książę kazał mi usiąść przy sobie i zadał mi mnóstwo pytań, nie wiążących się jedno z drugim. Raz pytał się, co myślę o ruchu w Koblencyi, to znowu co widziałem we Włoszech, lub jak wygląda ks. de Lamballe, poczem jeszcze raz powracał do

Koblencyi. Oznajmił mi, że spotkam tu córkę jego, ks. Orleańską, którą mąż wypędził z pałacu w jednej tylko koszuli. Z całej tej rozmowy wywnioskowałem, że księciu pomieszały się trochę zmysły, wskutek strasznych przeżyć.

Do stołu zasiadło tylko pięć osób: księżę, księżna Orleańska, pani de la Charce, jej dama dworu, wicehrabia i ja. Księżna ciągle płakała, przy stole panowało milczenie, nastrój był smutny, zwiastujący nieszczęście. Na moje niezręczne pytanie, co się stało z Florianem, nie otrzymałem żadnej odpowiedzi.

Nakoniec ten nudny, długi obiad się skończył. Gdyśmy powrócili do salonu, księżę zagadnął:

— Moriolles, dlaczego pytałeś się o pana Florian. Czyż postępowanie jego nie jest ci znanem? Został pułkownikiem gwardyi narodowej w Sceaux, przystąpił do rewolucyi i nasze stosunki zerwały się zupełnie, dziś wierzyć nikomu nie można, to Bóg karze nas za nasze grzechy, mimo to, trzeba go wielbić za doświadczenie, jakie nam zysła.

Powiedziawszy to, oddał się lekturze dzienników, wzdychając co chwila, po skończonem zaś czytaniu udał się do kaplicy na nieszpory, ja zaś do apartamentów, które zwykle zajmowałem, bawiąc w Auet.

Na drodze czekał na mnie lokaj księżnej Orleańskiej z prośbą, abym się do niej pofatygował. Nieszczęśliwa księżna trzymała chustkę przy oczach, które już w czasie obiadu wydały mi się bardzo czerwone, płakała tak rzewnie, że z trudem tylko zrozumieć mogłem, co mówi. Opowiadała, że jest bardzo szczęśliwą, widząc mnie, nie wątpi, że jej nieszczęścia znajdą oddźwięk w mem sercu, następnie, w jaki sposób dowiedziała się o haniebnem postępowaniu męża i p. Genlis, męża, którego dotąd uważała za najszlachetniejszego i najidealniejszego człowieka, że pozbawioną została w jednej chwili domu, męża, dzie-

ci, które znajdowały się w Szwajcaryi z panią de Genlis i ojcem, nakoniec opowiedziała mi tysiące drobnych szczegółów, które tajemnicą dawno dla nikogo nie były, tylko dla niej jednej i znowu płakać strasznie zaczęła. Doprawdy, zrozumieć nie mogę, jak jej tych łez nie zabrakło.

Czas tak dla mnie drogi upływał powoli, a wiadomości z Paryża nie miałem żadnych. Jedyną osłoda w czasie tego pobytu był wicehrabia du Authier, lecz rozmowy nasze zazwyczaj były bardzo smutne. Opowiadał mi, że wszelkimi siłami starał się skłonić księcia do wyjazdu, że księżna miała ochotę, ale wahanie, osłabienie ciała i umysłu księcia przeszkadzały tym usiłowaniom. Jak się później dowiedziałem, księżę zdecydował się w końcu wyjechać, powozy były zapakowane i noc naznaczona do odjazdu, lecz gdy stanowcza chwila nadeszła, księżę odłożył podróż na drugi dzień, a wtedy starszyzna miasta nie ośmieliła się dłużej patrzeć przez szpary, gdyż postępowanie to mogło ich drogo kosztować. Przydali mu straż i myśl wyemigrowania stała się niemożliwą, trzeba się było zdać na los szczęścia.

Podczas nielicznych chwil pogodnych przechadzałem się po pięknych ogrodach d'Auet, podziwiając stare, wspaniałe drzewa, których cień tylokrotnie był opiewany, a które miały wkrótce runąć pod ciosami wandalów. Zabawiałem się rzucaniem chleba olbrzymim karpom, których spokoju od czasu Henryka II nikt nie zakłócał, a które wkrótce pożarte być miały przez kannibalów. Wtedy nie myślałem o groźnej przyszłości naszej, ani o strasznych wypadkach, które zbliżały się powoli. Niestety, wielu to osób i wielu rzeczy, z którymi rozdział wydał mi się tylko czasowym, nie ujrzałem już nigdy, wieleż pożegnań, niby chwilowych, pozostało wiecznemi!

Nakoniec przybył posłaniec z Paryża, przywołując listy dla księcia i ks. d'Orlean, którym dotąd nie wzbroniono jeszcze prywatnej korespondencji.

Księżę przywołał mnie do siebie i rzekł: „W liście od córki jest kilka słów, które zapewne pana dotyczą” — i przeczytał mi te słowa: „Powiedz, ojcze, osobie, którą oczekuję, że może już przybyć.”

Natychmiast zamówiłem sobie konie pocztowe i pożegnałem się z wicehrabią du Authier, z księżną, która, jak zwykle, zalewała się łzami i na koniec z samym księciem, który na pożegnanie rzekł mi: „Przykro mi bardzo, panie de Moriolles, że już odjeżdżasz, lepiej byłoby, abyś się zdał na wolę Bożą, lecz ponieważ uważasz to za swój obowiązek, idź za jego głosem.”

Do Paryża przybyłem wieczorem. Nazajutrz rano udałem się zaraz do księżnej, która oczekiwała mnie. „Odpowiedzi żadnej pan nie otrzymasz — rzekła — ale królowa pragnie pana widzieć, pójdę i uprzedzę ją o pańskim przybyciu.” Wiadomość ta ucieszyła mnie bardzo i wynagrodziła trudy całej podróży.

Wkrótce ukazała się królowa, poprzedzana przez księżnę. Boże, jakaż straszna zmiana! Z niewytlomaczoną szybkością przesunęły mi się przed oczyma czasy, gdy jako piękna, młoda, świeża, otoczona całym przepychem wielkich tego świata, podnoszącym dary natury, występowała jako przyszła królowa, wspomnienie to jakże bardzo różniło się od widoku, jaki miałem w tej chwili przed oczyma: blada, złamana, z włosami siwiejącymi, z czołem porannem bruzdami cierpienia stała przedemną władczyni Francji. „Najjaśniejszy Pan — rzekła — dziękuje panu, panie de Moriolles, za poświęcenie, którego nigdy panu nie zapomni, lecz postanowił, aby odpowiedź doszła przez inne ręce. Wierni poddani mają zawsze prawa do mej wdzięczności i szczęśliwą będę, mogąc im ją okazać! Lecz przecież pan widzisz, co się z nami dzieje, zresztą — zawołała, ściskając księżnę de Lamballe — przyjaźń pozostała, nie wszystko

więc zostało stracone. Żegnam pana, panie de Moriolle, bądź od nas szczęśliwszym."

Wzruszony byłem tak silnie widokiem złamanej potęgi, że zaledwie wykrztusić mogłem kilka słów współczucia, lecz królowa wstrząsnęła głową boleśnie i wyszła.

— Nieszczęśliwa kobieta! — wykrzyknęła księżna—jakże gorzko okupuje krótkie chwile swej władzy! Zapóźno poznała prawdziwe przywiązanie, pochlebcy dawniejsi nawet słowa litości dziś dla niej nie mają! Jestem tu z obowiązku, a może i z przywiązania i zdecydowana jestem los swój połączyć z jej losem. Proszę, powiedz mi pan, czy nie znasz zamiarów tych tam względem nas? Czy z Kobleneyi nie przyślą nam pomocy?

Przedstawiłem jej stan rzeczy, powiedziałem, że liczymy na pomoc zagranicy i trochę w lepszym świetle przedstawiłem jej nasze środki, gdyż zbrodnią byłoby nia wlać trochę spokoju i otuchy do tej duszy udręczonej. Rozmawialiśmy, chodząc po komnacie, przypadek przywiódł nas do okna, wychodzącego na ogród, po którym błądzili ludzie z gwardy narodowej w czerwonych czapkach, z pikami w rękach. Ujrzawszy ich, księżna rzekła:

— Panie, panie de Moriolles, czy pan ich widzi tam, czy widzisz tych strasznych, wstrętnych ludzi, to są dziś nasi panowie!

Wymawiając te słowa, wybuchnęła płaczem i skłoniła swą piękną głowę na moje ramiona.

— Pani—rzekłem—przyjdziemy wkrótce i rozpędzimy ich.

— Bóg by to dał!—a ściskając mi ręce, zawołała: — Odejdź, panie de Moriolles, i nie wracaj, ja życzę sobie tego, po co narażać się niepotrzebnie, rozmowa nasza trwa już zbyt długo.

Błagałem ją na wszystko o pozwolenie ujrzenia jej raz jeszcze, lecz postanowienie jej było niewzruszone i musieliśmy się rozstać.

W kilka miesięcy potem już nie żyła.

Wróciwszy do Auet, zastałem list do wicehrabiego de Flomont, blizkiego mego krewnego i przyjaciela serdecznego ojca, oficera gwardyi, człowieka starego temperamentu, który w dość podeszłym wieku zachował całą żywość charakteru, łącząc ją z wielkiem poświęceniem dla kraju i tronu. Pisałem do niego z Auet, na co mi teraz odpowiadał, że przybędzie do Paryża, bo ma do mnie ważny interes. W kilka dni zjawił się, wyrażając chęć wyemigrowania ze mną. Byłem zachwycony tym projektem, kochałem go bardzo. Gdyby nie doskonała znajomość kraju i blizkie sąsiedztwo majątku mego od Luksemburga, ucieczka nasza mogłaby stać się bardzo ryzykowną. Natychmiast zaczęliśmy przygotowywać się do podróży, dostałem pieniędzy, zakupiliśmy konie i wysłałem bagaże nasze do Charleville, miejscowości, w której najchętniej przebywałem. Po drodze zatrzymaliśmy się w Reims dwa dni u mego ojca. Mój paszport kupiecki służył mi ciągle, wicebrabia wziął podobny dla siebie w Paryżu, byliśmy więc w zupełnym porządku.

Ojciec ucieszył się bardzo na nasz widok, był to już 70-letni starzec, lecz trzymał się doskonale. Po dowiedzeniu się, że emigrujemy, radość jego nie miała grunic, ponieważ będąc wiernym, aż do przesady poddanym, uważał wierność za pierwszy obowiązek obywatela. W Charleville zatrzymaliśmy się u wuja i tu rozповідаłem wszystkim, że mam zamiar zamieszkać na stałe, ponieważ ztąd łatwiej mi było kierować swemi interesami. Uwierzono temu powszechnie. Pewnej ciemnej nocy wyruszyliśmy z miasta, kierując kroki nasze ku granicy, zboczyliśmy wkrótce z głównego traktu, na którym rozstawione były silne stráže. Po długiem błędzeniu już o świcie dotarliśmy do Luksemburga bez przeszkody.

Nie zapomnę nigdy, jak o kilka kroków przed granicą, chłopcy, pasący trzodę, zaśpiewali nam na pożegnanie:

Eh! lou lou là, laissez les passer
 Sur les terres de l'empire.
 Eh! lou lou là laissez les passer
 Ils auront bientôt tous le nez cassé!')

Była to przepowiednia, która, niestety! sprawdziła się, a którą często sobie przypomi nałem.

Przyjechawszy do d'Arlon, wynajęliśmy sobie powóz i ruszyliśmy do Koblencyi po miesięcznej mojej tam nieobecności.

Ksiązę podziękował mi serdecznie, dodając, że odpowiedź otrzymał już dość dawno. Z Koblencyi po kilkodniowym pobycie pojechałem do Manheimu na resztę zimy.

Miałem ciągłe wiadomości o sprawach bieżących, spodziewano się, że Prusy pomoc nam dadzą. Ponieważ liczba emigrantów zwiększała się z dniem każdym, postanowiono ich zorganizować, a gdy jeszcze stanęła ugoda Pilnitzka, entuzjazm nasz nie miał granic, myślano tylko o przyszłej wyprawie.

Szlachtę z różnych prowincyi zebrano w oddzielne korpusy, utworzono kilka legionów, a kilka pułków, które prawie całe wyemigrowały, zatrzymało swe nazwy, marynarka utworzyła jazdę. Stopnie udzielano po starszeństwie, zostałem tedy wachmistrzem, dowodzącym czterema ludźmi.

Armia pruska była już w drodze i król zamierzał wkroczyć do Francyi na czele 50 tysięcy ludzi pod wodzą księcia Brunświckiego, emigranci

1) Eh! lou lou là—pozwólcie im przejść do krajów Cesarstwa; eh! lou lou là—pozwólcie im przejść, wkrótce będą mieli nosy pobite.

zaś utworzyli armię z 26 tysięcy pod wodzą marszałka de Broglie. Oprócz tego książę Kondeusz posiadał korpus, złożony z 4-ch tysięcy ludzi nad brzegami Renu, niedaleko Strassburga, ks. de Bourbon również niewielki oddział we Flandryi. Oprócz tego Austria pod wodzą marszałka de Chclairfayl obiecała dostarczyć 8 do 10 tysięcy ludzi, a Hesseczycy 6 tysięcy. Przygotowania te mogły natchnąć odwagą, tembardziej gdy wzięto pod uwagę, że będzie się miało do czynienia z tłumem zupełnie nieorganizowanym, pozbawionym oficerów, niekarnym, bez dowódców doświadczonych w boju. Oprócz tego w kraju istniało wielu ludzi, przywiązanych do króla, dziś tylko wskutek strachu i terroryzmu rewolucjonistów sparaliżowanych, ale gotowych za pierwszym naszym powodzeniem odzyskać odwagę i przyłączyć się do nas. Wszystko to napełniało otuchą emigrantów, którzy pewni byli, że walka w ciągu kilku miesięcy ukończoną zostanie.

W Trewirze dowiedziałem się, że król pruski przeszedł już granicę, że idzie na Verdun. Tu otrzymaliśmy pierwszy rozkaz wyruszenia do Thionville.

Tymczasem spostrzegając zacząłem z przykrością, że armia nasza odegra rolę drugorzędną. Król pruski traktował nas tylko jako swą świtę, armia książąt nie miała ani artylerji, ani amunicyi, ani zapasów żywności, każdy uzbroił się, jak mógł, i żył na swym koszcie. Książętom brakło pieniędzy i nastarczyć potrzebom wojska w żaden sposób nie mogli. Podobny stan rzeczy pogarszał się z dniem każdym, lecz podtrzymywała nas jeszcze nadzieja rychłego zwycięstwa. Wszystko to mogło zachwiać wiarę w sprawiedliwość sprawy i stać się powodem smutnych refleksyi. Casalés, którego przypadek umieścił w moim oddziale, również dodatnio nie wpływał na me usposobienie, przedstawiając przyszłość w coraz to gorszych barwach. Wracam do swych wspomnień

osobistych, ponieważ nie czuję się na siłach opisywać wielkie wypadki historyczne.

Rozbiliśmy obóz w niewielkiej wiosce, położonej pod Thionville, który był otoczony przez Austryaków z jednej, a przez marszałka Mozelli z drugiej strony i gdzie przypuszczaliśmy, że przyjmą nas również obocho, jak w Verdun. Lecz stało się inaczej, załoga postanowiła bronić się do upadłego, nam zaś brakło potrzebnych środków do oblężenia. Sprowadzono dwie armaty, lecz atak nocny skończył się na niczem.

Dwa dni przepędziliśmy tu, widząc doskonale wszystko, co się dzieje w mieście; w nocy kilkakrotnie bez szkody do nas strzelano, co dowodziło, że patryoci mają dużo prochu do stracenia i wiele chęci szkodenia nam. Dłuższy pobyt stawał się bezcelowym, postanowiliśmy ruszyć dalej, wybierając drogę odpowiedniejszą naszym celom.

Król pruski, zostawiwszy garnizon w Verdun, posunął się ku Châlons, po równinach Szampanii, gdzie przypuszczano, że odbędzie się wielka bitwa, kawaleria stała się nieodzowną, dlatego wezwano książąt, którzy opuścili natychmiast Thionville i wyruszyli za śladami Prusaków. Oddział nasz stanowił awangardę, wszyscy szli pełni zapału i otuchy, uważając marsz ten za pierwszy krok ku zwycięztwu i końca rewolucyi.

Widok białych sztandarów, powiewających na murach Verdun, napełnił nas radością i zwiększył odwagę. Gdy doszliśmy do Sommesnippe, dowiedzieliśmy się, że Dumourriez, który po Lafayettecie objął dowództwo armii republikańskiej, został otoczony ze wszystkich stron przez Prusaków.

Pozycya jego była bardzo krytyczna, to też przekonani byliśmy, że pierwszy atak zgniecie go do szczętu.

Poszedłem zasięgnąć języka do głównej kwatery i tu d'Avaray powiedział mi, że bitwa nastąpi

wkrótce, ponieważ Prusacy spieszą się bardzo, dlatego, że zaczynają się szerzyć choroby, wskutek złego odżywiania i nieustających deszczów.

Brak wszystkiego uczuwać się i nam dawał w straszliwy sposób. Miejscowość, po której kroczyliśmy, należała do niezdrowych, a mieszkańcy ratowali się ucieczką i wogóle nie byli dla nas zbyt przychylni. Emigrantów uważali za największych wrogów, chociaż obchodziliśmy się z nimi bardzo łagodnie, płacąc im za wszystko na wagę złota i starając się przekonać, że jesteśmy ich przyjaciółmi. Lud jednakże do szpiku kości był zgangrenowany, tylko siła mogła go do równowagi przywieść.

Oczekiwanie rozwiązania tymczasem przeciągało się ciągle. Od d'Avaray'a codziennie miałem świeże wiadomości i od niego dowiedziałem się, że księżęta są bardzo niezadowoleni, że zauważono częste konszachty Dumourriez'a z królem pruskim, że ten ostatni otrzymał wiadomości z Paryża, że księżęta nasi zdala są trzymani od narad, że nic nie wiedzą, co król postanowił, że dyzenterya czyni straszne spustoszenia między Prusakami i nakoniec, że przyszłość powoli zaczyna się zaciemniać. Prosił mnie, abym to wszystko zachował w tajemnicy.

Towarzysze moi, ilekroć wracałem z głównej kwatery, zasypywali mnie pytaniami, co sływać nowego. Dotąd nie miałem nic do powiedzenia, dziś nie powiedzieć nie mogłem. W kilka dni potem rozeszła się po obozie pogłoska, że bitwa została postanowioną nazajutrz. Pogłoska ta, rozszerzając się, przyjęła na się postać prawdy. Ja sam dałem się przekonać i zsiadłszy na konia, pojechałem natychmiast do głównej kwatery zasięgnąć języka.

D'Avaray'a i d'Hautefort'a zastałem strasznie pomieszanych, a pierwsze ich słowa były: „Jesteśmy zgubieni! Odwrót został postanowiony, jest to jeszcze tajemnica, którą boję się odkryć naszym bie-

dnym książętom. Zdradzono nas. Wmówiono w króla pruskiego, że armia jego zniszczoną zostanie przez chorobę, która rzeczywiście straszne spustoszenia czyni w wojsku, które tak bardzo osłabione, sił nietylko do walki, ale nawet do obrony mieć nie będzie. Reprezentanci ludu bawią u króla od dni kilku, przywieźli od zgromadzenia list, w którym radzi ono królowi, aby się cofnął, dowodząc, że od tego zależy jego i emigrantów życie.”

Zrazu król oburzył się, czując, jak hańbiącym było podobne postępowanie, w końcu jednak, namawiany przez intrygantów, przez ludzi widzących w tem swój własny interes, lub ludzi przekupionych, zastraszonej coraz to gorszymi wieściami o stanie zdrowia wojska, z pewnością przesadzonemi, postanowił się cofnąć.

„Generał Clairfayl, oburzony na tak niskie zakończenie sprawy, chciał sam z Austryakami uderzyć na Dumourriez'a, przyjmując całą odpowiedzialność na siebie, lecz zabroniono mu tego. Postanowionem zostało, że Dumourriez przeszkadzać nie będzie odwrotowi Prusaków, mającemu nastąpić możliwie prędko, że ci ostatni mają mieć zapewnioną żywność do granic Francji i że w Verdun strażę pruskie zamienione zostaną na republikańskie. Nadzieje nasze rozbite zostały w puch, a my zostawieni na pastwę losu.

„O tem postanowieniu ma być zachowane największe milczenie do chwili, gdy nie zostanie ogłoszony porządek odwrotu, musisz więc i ty dać mi słowo honoru, że nie piśniesz słówka nikomu o tem, coś usłyszał, a nie powiedziałbym ci tego, gdyby nie zaufanie i przyjaźń moja dla ciebie. Majątek twój niedaleko stąd leży, sądzę, że możesz z tego skorzystać i wyciągnąć od twych dzierżawców, co się da, bo przyszłość nie do nas należy.”

Podziękowałem mu serdecznie i przyrzekając,

że nie zdradzę zaufania, pożegnałem się z nimi ze łzami w oczach.

Zdecydowałem się szybko. Poszedłem zaraz do hr. Verteillac, dowodzącego naszym pułkiem i oznajmiłem mu, że w takim stanie zdrowia, w jakim dziś się znajdowałem, długo służyć nie będę mógł, postanowiłem zatem udać się na kurację do Verdun, aby mózdz jak najprędzej wrócić do oddziału. Na te słowa generał rzucił się jak oparzony:

— Co to szlachcic francuski tam mówi. Jutro ma być bitwa, a pan odjeżdżasz? Czy zapominasz, że honor przede wszystkim, czy sądzisz, że twoja choroba urojona, której oblicze twe kłam zadaje, zasłoni cię przed hańbą. Dopóki tylko na koniu utrzymać się możesz, bić się powinienes i powinienes umieć zginąć, jak dzielny szlachcic francuski. Zresztą jesteś pan wolnym, możesz sobie jechać, jeżeli chcesz, lecz zdaje mi się, że ludzi takich, jak pan, niema czego żałować.

— Przyszłość usprawiedliwi mnie, panie generale—odpowiedziałem z największym spokojem, dziś mam zaszczyt pożegnać pana z nadzieją w duszy, że chwila ta, niestety, wkrótce nastąpi.

Towarzysze czekali z niecierpliwością na wiadomości o jutrzejszej bitwie, to też drżałem, jak liść, mówiąc, że nic nie wiem. Następnie oznajmiłem, że dostawszy ataku febry, która zmusza mnie do wyrzeczenia się przyjęcia udziału w jutrzejszej walce, gdyż, bojąc się uledeć losowi tylu innych, których choroba ta, o przebiegu bardzo ostrym, uczyniła niezdolnymi do walki, postanowiłem odjechać do Verdun. Przyczyną tak częstych zastabnień był brak żywności, ciągły nieustający deszcz i brak pomocy lekarskiej, co wszystko wpływało jaknajgorzej na ludzi, umierających bez dachu, bez pokrzepienia. Na takie moje odezwanie się, towarzysze powoli odsuwać się odemnie zaczęli z wyrazem niechęci, ci zaś, z którymi bliżej żyłem, starali się wyciągnąć mnie

na słówka, przeczuwając w tem wszystkim jakąś tajemnicę.

— Ukrywasz coś przed nami, bo inaczej w przeddzień bitwy nie opuściłbyś nas.

— Nie, panowie — odrzekłem — chory jestem, zmęczony i, prawdę powiedziawszy, śmierć w tej krainie szakali nie pociąga mnie wcale. Żegnam was, ujrzymy się wkrótce!

W nocy, podczas okropnej pogody, opuściłem miejsca te, które wkrótce stać się miały świadkiem tyłu pogrzebanych nadziei i rozpaczki ludzi, poświęcających się napróżno.

Posiadłość moja znajdowała się w odległości 12 mil. Przynosiła mi rocznie do 40 tysięcy franków czystego dochodu. Na miejsce przybyłem nad samem ranem. Odwrót króla pruskiego był tu już wiadomy, jak również i moja emigracya, to też rządca, ujrawszy mnie, radził, abym wyjeżdżał zaraz, bo pobyt tu może okazać się niebezpiecznym dla mnie. Dał mi trochę pieniędzy na drogę i nazajutrz wezsnym rankiem pojechałem do Verdun z zamiarem spędzenia tam dni kilku, gdyż febra naprawdę trząść mnie zaczęła.

W Verdun stanąłem w głównej gospódzie, ponieważ spodziewałem się, że towarzysze moi wracać tędy będą wkrótce i od nich zasięgnę języka. I rzeczywiście, po upływie dni kilku armia zaczęła przeciągać przez Verdun. Rozkaz odwrotu wydanym był na drugi dzień po mym wyjeździe i wrażenie, jakie wywarł na wojsku, nie da się opisać. Pocieszano się nadzieją, że z wiosną druga wyprawa ogłoszoną zostanie. Opowiadano mi dalej, że odjazd mój gwałtowny wzbudził podejrzenie, a gdy fakt wiadomym się stał, miano żał do mnie, że ich nie uprzedził. Odpowiedziałem na to, że sekret w takich okolicznościach był dla mnie strasznym ciężarem, lecz słowo dałem i musiałem je dotrzymać. Oddział pod wodzą jenerała de Verteillac poszedł w inną stronę i wkrót-

ce rozszedł się. Książę Kondeusz z oddziałem swym poszedł na żołd Austrii, nasi zaś książęta, nie mając sami żyć z czego, rozpuścili wojsko. Niektórzy żołnierze, gnani rozpaczą, nędzą i tęsknotą, wrócili z powrotem do Francji, lecz w drodze schwytani zostali i rozstrzelani bez litości. Tak skończyła się ta kampania, rokująca tyle świetnych nadziei na przyszłość.

Cazalés wracał przez Verdun i wstąpił do mnie.

— Prawda, Jeremiasz miał rację — rzekł. — Lecz posłuchaj, co ci jeszcze powiem, kontrrewolucya stała się niemożliwą, wszelkie usiłowania zbrojnego wystąpienia będą krokiem fałszywym, źle obliczonym, a z którego, w razie nawet zwycięstwa, my nic nie skorzystamy. Jadę do Anglii, gdzie mam przyjaciół, nie zapomnij o mnie i radzę ci nie siedź tu!

Dowiedziałem się później, że za Konsulatu wrócił do Francji i pomimo usiłowań Napoleona do działalności publicznej wciągnąć się nie dał.

Gdy cokolwiek przyszedłem do siebie, opuściłem Verdun, udając się do Luksemburga. Nazajutrz po moim wyjeździe Verdun zajęli republikanie, pozostałą garstkę emigrantów schwytali i bez sądu skazali na rozstrzelanie.

Droga do Luksemburga przedstawiała widok straszny, cała usiana była trupami ludzkimi i zwłokami końskimi. Gdzieniedzie znowu leżał żołnierz wydający ostatnie tchnienie, zdala od rodziny, bez słowa pociechy i bratniej pomocy. Byli to wszystko uciekinierzy ze szpitala w Verdun, którzy na wieść o przybyciu Francuzów ratowali się ucieczką, aby zginąć na drodze. Nigdy odwrót nie pociągnął za sobą tylu ofiar. Austriacy ponieśli mniejsze straty, gdyż bliżej byli kraju, lecz Prusaków zginęła prawie połowa armii.

Z Verdun do Longuyou szedłem dwa dni. Tu objaśniono mi, że w jednym z domów zatrzymali

się książęta i kilka osób z ich świty. Drzwi i okna szczelnie były zamknięte i dopiero po dość długiem usilnem mem dobijaniu się, ukazał się w uchylonem oknie d'Avaray:

— Ach! to ty—zawołał—wejdz prędko, zaraz ci okno otworzę, zmuszeni bowiem jesteśmy kryć się, aby uniknąć skarg i prósb, których, niestety! zaspokoić nie możemy, a które rozdzierają nam serca. Co za straszne położenie! Co za ohydna zdrada! Co czynić?

Na stole, bez nakrycia, walały się resztki mięsa i chleba, na które mnie zaproszono, a ponieważ głodny byłem bardzo, resztki te chciwie spożyłem. Po chwili do pokoju weszli obaj książęta. Książę d'Artois głosem pełnym współczucia, ściskając mnie silnie za rękę, rzekł, iż chociaż niedola ściga ich, jednakże umięją jeszcze odczuć moje nieszczęście, że ojciec mój zginął w Rems pod ciosami morderców. Słowa te spiorunowały mnie, a że i tak byłem osłabiony i bardzo zmęczony, zacząłem tracić przytomność. Ks. d'Artois podtrzymał mnie, a d'Avaray posadził na krzesło. Po chwili przyszedłem do siebie, a obaj książęta obsypali mnie słowami współczucia. Pożegnawszy się z nimi, wyszedłem, odprowadzony kawałek przez d'Avaraya.

Dziwne koleje losu. Niedawno wielcy i potężni, dziś kryć się muszą przed jękiem nieszczęśliwych z ich winy, przed wyciągniętymi rękami, błagającymi naprózno litości. Straszne położenie, gdy ludzie uważają nas za sprawców swej niedoli, gdy lekkomyślne postępowanie poczytują za zbrodnię. Prócz tego i król pruski nie oszczędził im gorzkich wymówek, że oszukali go co do przychylnego przyjęcia we Francyi, że zamiast ludu, gotowego przyjąć ich z otwartymi rękami, natrafili na ślepy fanatyzm, na nienawiść tego, co przedtem było przedmiotem miłości i poważania, na opozycję tłumów. Że droga do Paryża, którą opisywali mu jako tak ładną do

przebycia, od samego początku pokryta była przeszkodami, zwiększającemi się co chwila, które wkrótce stały się niezwalczonemi i zmusiły go do postępku przeciwnemu jego stanowisku, wtedy, gdy i tak stracił połowę armii. Na te wszystkie wyrzuty, które potrosze miały słuszość, mogli tylko odpowiedzieć, że i oni przez swoich zdradzeni byli i że król nie chciał użyć pomocy 26-tysięcznej armii emigrantów, gotowych do walki na śmierć i życie. Dlaczego bitwy nie wydał, gdy wszyscy jej pragnęli? Dlaczego zostawił ich własnemu pomysłowi? Późniejsze wypadki dowiodły, że gdy król i kraj wzywa na pomoc obcych, przyzywa do siebie ruinę lub swą własną niewolę.

Dalsza droga moja była straszna. Zamordowany ojciec stał mi ciągle przed oczyma. Przyszłość przedstawiała mi się, jako ciągła tułaczka bez ojczyzny, bez fortuny, przytem widok trupów i konających na drodze napełniał mnie coraz większym strachem i przerażeniem. Zmęczony, nad samym wieczorem dotarłem do jakiejś chałupy, gdzie ledwie zdołałem wyprosić za pieniądze cokolwiek do jedzenia i garstkę słomy do przespania. Zasnąłem dopiero nad samym ranem i spałem kilka godzin, a sen ten pokrępił mnie znacznie.

W miarę posuwania się w głąb kraju, ślady wojny stawały się rzadsze, wstrętne obrazy mniej częste. Liczyłem, że wieczorem dojdę do Luksemburga, lecz siły moje zanadto były wyczerpane, zatrzymałem się przeto w jakiejś karczynie o trzy mile od miasta z zamiarem spędzenia tam nocy.

W Luksemburgu zatrzymałem się w pierwszorzędnym hotelu, rozkoszując się wygodami, których tak dawno nie miałem. Przespawszy wybornie noc całą, wyszedłem rano na miasto po nowiny. Pierwszą osobą, którą spotkałem, był major z mego oddziału, Desvernos, człowiek zacny i dzielny. Do Luksemburga przybył wprost, nie zatrzymując się wca-

le w Verdun, przez co uniknął straszego widoku odwrotu i tu z kilkunastu towarzyszami zamieszkał razem, prowadząc wspólne gospodarstwo. Zapraszał, abym się do nich przyłączył, na co zgodziłem się chętnie.

Spotkałem tu hr. Saint Roman, hr. de Mirebeau, kawalera de Cosnac, krewnego mego, wicehrabiego de Benze, komisarza książąt i wielu innych, z których towarzystwa byłem bardzo zadowolony. Kieszenie nasze były jeszcze pełne, czas nam schodził bardzo przyjemnie inikt nie zdawał sobie sprawy z całej grozy położenia. Zamierzaliśmy czas jakiś spędzić w Luksemburgu, dopóki nie zdecydujemy czegoś stanowczego o swej przyszłości.

Przeglądając jedną z gazet miejscowych, znalazłem w niej opisane ze szczegółami zajście w Reims, oraz podane nazwiska zamordowanych, między którymi nazwiska ojca mego nie było. Na tej kruchej podstawie żywić w sercu zacząłem nadzieję, która wkrótce zamieniła się w pewność. Dowiedziałem się bowiem, że ojciec mój w dowód wielkiej łaski, uwięzionym tylko został, wraz z kilku poważniejszymi obywatelami miasta. Wolność zaś otrzymał dopiero po śmierci Robespierre'a. Listownie skomunikować się z ojcem nie mogłem, gdyż kilka słów, świstek papieru, otrzymany lub napisany do emigranta wystarczał do skazania go na szafot.

Wieści, jakie nadchodziły, były coraz smutniejsze i mąciły naszą spokojną egzystencję. Patryoci wkroczyli do Holandyi, ztąd do Niemiec i pod wodzą Custine'a oblegli Moguncję. Wielu z nas w krajach tych miało swą rodzinę, nie namyślając się więc długo opuszczać nas zaczęli, śpiesząc ukochanym swym z pomocą. Szybkie to działanie patryotów wzbudziło w nas przestрах. Postanowiłem tedy wrócić do Mannheimu i namówiłem Mirebeau, jadącego do żony do Szwajcaryi, abyśmy część drogi odbyli razem. Mirebeau zgodził się chętnie i po dość serdecznych poże-

gnaniach wyjechaliśmy do Trewiru. W Trewirze najeliśmy łódkę i nocą chcieliśmy przybyć do Koblencji, ponieważ cały lewy brzeg Mozeli usiany był pikietami patryotów. W Koblencji przebywał wówczas król pruski. Wygląd miasta od ostatnich kilku miesięcy zmienił się bardzo. Zniknął gdzieś przepych, znikła swoboda, znikła lekkomyślna wesołość, którą emigranci wnosili z sobą, a która tak bardzo oburzała poważnych Niemców. Garstki emigrantów walczyły z nędzą zdala od ojczyzny, do której powrót groził im śmiercią, spotykając wkoło siebie szyderstwo i nienawiść tłumów. Położenie moje nie było jeszcze tak rozpaczliwe, ale mogło stać się takim w niedalekiej przyszłości.

Mirebeau miał usposobienie bardzo wesołe i dowcipne. Dalsza droga nie przedstawiała się zbyt bezpieczną. Oba brzegi Renu zajęte były przez wojska republikańskie, a ponieważ droga nasza prowadziła przez Ren, chcąc więc ich uniknąć, nadłożyć musieliśmy ogromny kawał, przytem ludność wiejska była nam nieprzychylna, uważając nas i poniekąd słusznie za sprawców wojny.

Mirebeau śmiał się z tego wszystkiego i obiecywał szczęśliwie doprowadzić mnie do Manheimu. Z Koblencji wyjechaliśmy wczesnym rankiem, spotykając po drodze kilkanaście wiosek, lecz ludność okazywała nam wszędzie widoczną niechęć. Nad samym już wieczorem Mirebeau postanowił spędzić w napotkanej wsi noc, a nie znając języka niemieckiego, polecił mi, abym rozkazał woźnicy zajechać przed probostwo. Gdy po dość długim oczekiwaniu zjawił się pastor, Mirebeau z miną tragiczną, wzdychając ciężko co chwila, zaczął przemawiać doń po łacinie, opisując nasze smutne położenie i nieszczęścia, jakie nas prześladują, następnie zręcznie wtrącił słów kilka o znanem miłosierdziu pastorów i prosił o gościnność, przyczem uronił łez kilka. Ledwie mogłem powstrzymać się od śmiechu, patrząc na nie-

go, pastor zaś tak był wzruszony, że zaprosił nas do siebie natychmiast.

Gospodarz był bardzo wykształconym i obytym w świecie człowiekiem, to też czas zbiegł nam bardzo przyjemnie i wesoło. Po sutym obiedzie, skroplonym obficie winem reńskim, poszliśmy spać. Mirebeau, zacierając ręce, odezwał się do mnie z uśmiechem:

— No cóż, obeszliliśmy się doskonale bez wieśniaków, zawsze powtarzałem, że nie ma gościnniejszych ludzi, niż pastorky i na przyszłość zawsze u nich zatrzymywać się będę.

I rzeczywiście, w przeciągu blisko dwutygodniowej podróży naszej Mirebeau uciekał się zawsze do tego środka, używając tylko w swej przemowie innych zwrotów, stosownie do tego, czy mówił do księdza, czy pastora. Nadmienić tu muszę, że przyjmowani byliśmy z większą gościnnością przez pastorków, niż naszych księży.

Pewnego jednak wieczoru myślałem, że dowcip i zręczność towarzysza mego na nic się już nie przydadzą. Deszcz lał, jak z cebra, na drodze wsi nigdzie nie było, tylko w końcu natrafiliśmy na jakiś opuszczony dom pod lasem. Po długim dobijaniu zjawił się mały chłopak i wskazał nam stodołę, mrużąc coś pod nosem. Nie zważając na niego, weszliśmy do środka, gdzie gospodarstwo ze służbą siedzieli przy wieczerzy. Zbliżyliśmy się skromnie do pieca. Mirebeau chciał wytłómaczyć gospodarzowi, że jesteśmy głodni, lecz wszystko napróżno, wieśniak gburowato odpowiedział, że dom jego nie jest zajazdem, że tylko ze względu na złą pogodę pozwala przespać się nam w stodole, ale że do jedzenia nic, oprócz chleba, nie dostaniemy. Mirebeau kazał podać sobie nóż i manewrując nim zręcznie, niby go połknął, poczem, wykrzywiając się niemiłosiernie, wyciągnął go sobie z boku i chcąc zwrócić uwagę

gospodarza na siebie, zaczął rzucać w niego gałkami z chleba.

Widok był komiczny.

Wieśniacy z poroztwieranemi ustami przypatrywali mu się, nie mogąc zrozumieć, co to się dzieje. Mirebeau zaś, zadowolony z wywołanego wrażenia, przyniósł swą torbę, w której miał mnóstwo przyborów żonglerskich i zaczął się popisywać. Widzowie byli zachwyceni, co chwila wybuchali śmiechem, to znów patrzyli na niego z pewnem poważaniem i bojaźnią, jakby na czarodzieja. Ja tymczasem opowiadałem im, że zwiedziliśmy prawie świat cały, przyjmowani radośnie nawet przez królów, obsypywani złotem wszędzie. Wkrótce przedstawienie zakończyło się, pomimo próśb spektatorów naszych, którzyby przyglądali się noc całą, lecz myśmy zanadto zmęczeni byli. Gospodarz powyciągał co miał najlepsze w domu, wydostał nawet butelkę wina i urządził nam przepyszne spanie. Nazajutrz rano o zapłacie za nocleg nawet mowy nie było.

Nareszcie po dwutygodniowej blisko podróży przybyliśmy do Manheimu. Chciałem Mirebeau zatrzymać tu dni kilka, lecz zostać nie chciał, śpiesząc się do żony. Rozstanie nasze było bardzo smutne.

Przy wejściu do miasta strażnik zatrzymał mnie, pytając się o pasport, a ponieważ go nie miałem, zacząłem się tłumaczyć, że mieszkam z rodziną w mieście i że nie powinni traktować mnie, jak zupełnie obcego. Oficer objaśnił mi, że wyszedł rozkaz, zabraniający emigrantom przebywania w mieście, że wolno tylko mieszkać im za osobnem pozwoleniem, tyle tylko udało mi się uzyskać od niego, że pozwolił mi wejść pod strażą do miasta dla przywitania się z rodziną.

Co za zmiana w tak krótkim czasie. Przyszłość w coraz czarniejszych barwach przedstawiać mi się zaczęła, zwiastując szereg nowych nieszczęść i zawodów.

Drzwi otworzył mi mój lokaj. Rodzina była zdrową. Rozkaz, zabraniający emigrantom mieszkania w mieście, został rzeczywiście wydany, rodzinę zaś moją tylko dzięki protekcji starego kapitana pozostawiono w spokoju.

Na początku zimy nastąpiła katastrofa z Ludwikiem XVI, który już dawno skazany był na śmierć. Straszna ta zbrodnia polityczna oburzyła wszystkie mocarstwa na patryotów, którzy zamierzali zburzyć wszystkie trony Europy, nic też dziwnego, że monarchowie obawiać się zaczęli się o swe głowy. Utworzono ligę państw europejskich z celem przytłumienia pożaru, który mógłby pożreć tyle krajów i wywołać tyle nieprzewidzianych zmian.

Nadzieje emigrantów ożyły znowu. Sprawa nasza była słuszną i jasną, domagała się sprawiedliwości, której, niestety! nie doczekała się nigdy.

Poglądy moje na cały przebieg rewolucyi i smutne przeczucia przyszłości pomieściłem w osobnej pracy, którą do dziś zachowuję u siebie. Niema w niej nic nowego, a przepowiednie wypływały z zestawienia i były tak prawdziwe, że czytając je mniemać można, iż napisane zostały po spełnionych faktach. Spoczywa ta praca w ukryciu, jak wiele innych, które nikomu pożytku, a mnie sławy nie przyniosą, pisałem je tylko dla własnej przyjemności.

Zima przeszła smutnie.

Wieści z Francyi były coraz to bardziej zatrważające, majątki emigrantów konfiskowano, sprzymierzeńców dawnego porządku wysyłano na szafot, czyż to nie był dostateczny powód do obaw i troski? Pieniędzy miałem jeszcze trochę, lecz zapas ich z dniem każdym się zmniejszał, a zastąpić ich nie było czem. Jedyłą osobą, która mnie odwiedzała, był stary kapitan, rozmowy jego sprawiały mi prawdziwą przyjemność, ponieważ był to człowiek wykształcony i potrosze literat, stworzył on rodzaj korespondencyi po-

litycznej, której ustępy mam u siebie jeszcze zachowane.

Tymczasem liga państw europejskich powoli tworzyć się zaczynała, należały do niej tylko silniejsze mocarstwa, ponieważ drobni niemieccy książęta z obawy przed rewolucją woleli zachować neutralność. Prusacy i Austriacy posunęli się na Ren i odebrali wkrótce Francuzom Moguncję.

W ciągu zimy umarł mój gospodarz, a ponieważ nie pozostawił po sobie spadkobierców, majątek przeszedł na rzecz skarbu, a mnie wymówiono mieszkanie. Nie zmartwiłem się tem bardzo, bo i tak miałem zamiar zamieszkać na wsi, zdala od pola walki. Przy pomocy kapitana znalazłem dogodne mieszkanie w Dorfsenheim, wiosce położonej w przeszlicznej okolicy niedaleko Heidelberga, u jakiejś starej wdowy. Pierwsze kilka dni przeszły jako tako, ale wkrótce stara czarownica żywić mnie zaczęła coraz gorzej. Poskarżyłem się proboszczowi, zacnemu i poczciwemu człowiekowi, a ten zaproponował, bym się przeniósł do niego na tych samych warunkach. Skorzystałem z propozycji tej skwapliwie i tegoż dnia jeszcze przenieśliem się na probostwo. Proboszcz nie odznaczał się wielką inteligencją, ale był poczciwym człowiekiem do szpiku kości. miał i on swe słabe

Cały prawie rok spędziłem w Dorfsenheimie, oczekując ciągle szczęśliwych wieści, które jakoś zjawiać się nie chciały. Tak przeszła zima, a z nadejściem wiosny, gdy pole walki przeniosło się głównie do Niemiec, postanowiłem zmienić mieszkanie, aby móżd być bliżej północy, w razie gdyby wypadki zmusiły mnie do szukania schronienia w Polsce. W czasie pobytu mego we Florencyi poznałem pewnego Polaka, niejakiego p. Bystrego, z którym za przyjaźniliśmy się bardzo. Namawiał mnie on, abym

przyjechał do Polski i oczekiwał tam spokojnie końca walki. Choć propozycja ta pociągała mnie bardzo, skorzystać z niej chciałem tylko w ostateczności. Ponieważ zapasy pieniężne wyczerpywały mi się coraz szybciej, czułem, że oszczędzać się muszę i szukać tańszych warunków życia, niż ofiarowane mi przez proboszcza. Chciałem zamieszkać w Neuwid, niedaleko Koblencyi, które pociągało mnie taniością i ładnym swem położeniem, lecz władza miejscowa, wobec zbliżających się Francuzów, wydała rozkaz, zabraniający emigrantom mieszkać w obrębie miasta.

Z Neuwid pojechałem do Ems, w którym schroniło się wielu emigrantów. Natrafiłem na główny sezon i osób było dosyć. Pewnego dnia rozeszła się pogłoska, że Francuzi doszli do Koblencyi i lada dzień spodziewani są w Ems. Położenie było straszne; wielu z emigrantów rozgospodarowało się tu już na stałe, zajmując się już to drobnym przemyśłem, już rolnictwem. Dobrobyt zdobyty w pocie czoła rzucić trzeba było i rozstać się z nadzieją lepszej przyszłości. Kilkunastu postanowiło wrócić do kraju, lub oddać się w ręce patriotów, lecz łaski dla nich nie było! Prawie wszyscy rozstrzelani zostali.

I znowu los się obrócił przeciwko mnie, nie wiedziałem, gdzie jechać, gdzie się obrócić. Na szczęście, przyszedł mi z pomocą stary Dumesnil, emigrant, który w młodości służył w armii austriackiej, skorzystał dziś z tego i został dozorcą szpitala dla chorych zakaźnych w Ems, i w tej krytycznej chwili otrzymał rozkaz przewiezienia chorych do Brücknau. Widząc me smutne położenie Dumesnil zaproponował, abym w charakterze jego krewnego pojechał z nim. Propozycja ta, ze względu na blizkie sąsiedztwo chorych i okropne stosunki rodzinne Dusmenil'a, nie bardzo mnie pociągała, lecz co było robić.

Drogę całą prawie przeszedłem pieszo, unika-

jąc starannie sąsiedztwa chorych. Zima, jaką przeżyłem w Brücknau, należy do najokropniejszych wspomnień w mem życiu. Wstręt, obrzydzenie, nuda, oto uczucia, które mną ciągle szarpały. Nieznosny Dusmenil, który z nikim żyć nie umiał, został wkrótce oddalony, a miejsce jego zajął jakiś Włoch, niewiele co więcej wart od swego poprzednika. Miał on tylko tę zaletę, że traktował nas lepiej i nie żądał zdawania rachunku z naszych czynności.

Nareszcie ta długa, wieczna zima skończyła się i powoli w czyn wprowadzać zacząłem zamiary moje przeniesienia się gdzieindziej. Wskazano mi miasteczko Bichoffsheim, położone w głębi kraju i zamieszkałe tylko przez mieszczan. Udaliśmy się tam pieszo, wysławszy rzeczy naprzód i po otrzymaniu od burmistrza pozwolenia zamieszkania, nająłem sobie dosyć tanie mieszkanie.

Życie płynęło tu spokojnie, lecz spokój ten opłacać musieliśmy zupełnym brakiem żywności. Miasteczko to handlu nie prowadziło żadnego, mieszkańcy żywili się tylko tem, co przynosiło im własne ich gospodarstwo, tak, że z trudem zdobyć mogliśmy kawałek koźlego mięsa i kartofli. Lecz Opatrzność nie opuściła nas, zsyłając nam pomoc w postaci wszelkiego rodzaju owoców.

Ponieważ pieniądze wyczerpywały mi się coraz bardziej, lokaj zaproponował mi, że pojedzie do Francji, postara się odszukać tam moją rodzinę i skłoni ją do wysłania mi pomocy. Przedsięwzięcie to było dosyć ryzykowne, lecz niebezpieczeństwo zmniejszyła ta okoliczność, że nazwisko jego nie figurowało na liście emigrantów. Po dość długiem wahaniu zgodziłem się wreszcie na jego poświęcenie. Zaledwie stanął na ziemi francuskiej, został schwytany i uwięziony, wolność zaś odzyskał dopiero, gdy stwierdzono, iż rzeczywiście był moim służącym i że wracał do kraju, aby służyć pod sztandarem republiki.

W jakiś czas po przybyciu mem do Bichoffshei-

mu odwiedził mnie stary emigrant d'Aigremont, którego nazwisko nie było mi obcem, ponieważ ziemie jego leżały w mem sąsiedztwie. Przyjąłem go z radością, pragnąc powziąć cokolwiek wiadomości. Mieszkał wraz z drugim towarzyszem niedoli o dwie mile odemnie na wsi u jakiegoś barona, który przyjmował ich bardzo gościnnie, lecz oznajmił kategorycznie, że więcej emigrantów u siebie nie przyjmie. Wiadomość ta nie bardzo mnie pocieszyła, ponieważ Gerfelds z opowiadania podobał mi się bardzo. Dowiedziałem się dalej, że baron de Weyer był człowiekiem najlepszym pod słońcem, że córkę wydał za Francuza, hr. de Montjoie, który służył dawniej w szeregach francuskich, dziś zaś wyemigrował i czuł się bardzo szczęśliwy, ustaliwszy swój los i przebywając zdala od ojczyzny. Pan d'Aigremont zapewniał, że baron przyjmie mnie bardzo gościnnie, byleby tylko nie prosił o pozwolenie zamieszkania u niego.

W kilka dni potem wybrałem się tam. Była to duża i ładna wieś z pięknym pałacem i wspaniałym parkiem. Wogóle całe otoczenie zdradzało, że mieszkają tu ludzie bogaci i umiejący z bogactwa korzystać. Poznałem i drugiego mieszkającego tu emigranta, olbrzymiego wieśniaka z Flandryi, który bez żadnej racyi, ogarnięty tylko gorączką emigracyi, jak tyłu innych, rzucił kraj z całą rodziną, zabierając z sobą pokaźną sumę pieniędzy, zapewniającą mu spokojny żywot na obczyźnie. Z Gerfelds wyjechałem z uczuciem zazdrości w duszy, że nie mnie los przeznaczył tę wioskę na mieszkanie.

W kilka dni potem odwiedził mnie znowu d'Aigremont w towarzystwie hr. de Montjoie i wieśniaka Drailly. Hrabia był to człowiek przystojny, wysoki, otyły moralnie i fizycznie, któremu życie przy boku teścia służyło wyśmienicie. Zapraszał mnie bardzo serdecznie do Gerfelds, zapewniając, że baronowi sprawię prawdziwą przyjemność swemi odwie-

dzinami; Dailly zaprosił nas do siebie na obiad, z których to zaprosin skorzystaliśmy skwapliwie. Po obiedzie złożyliśmy wizytę p. de Weyer, pocziwemu człowiekowi, o pańskim wyglądzie, który bardzo rad był z naszych odwiedzin i przedstawił nas swej żonie, typowej Niemce w całym znaczeniu tego słowa. Zapraszali nas oboje bardzo serdecznie do częstych odwiedzin, przyczem baron żałował mocno, że w majątku swoim schronienia nam udzielić nie może, tylko obiecał, że jeżeli który z jego terażniejszych mieszkańców wyjedzie, nie zapomni o nas. Wkrótce baron oddał nam wizytę, zapraszając nas na obiad.

Z zaprosin tych skorzystaliśmy chętnie, ponieważ uczuwać się nam dawał dość ciężko brak lepszego pożywienia. Córka jego, hr. de Montjoie, była piękną osobą, która, tak mi się zdawało, że nie wiele sobie robiła ze swego męża, prawdziwej maszyny pijącej i jedzącej za czterech, a rozumu nie mającej za jednego.

W ten sposób przeszło nam lato. Jedyńmem pragnieniem wtedy było przeniesienie się do Gerfelds. Życzenie moje wkrótce się spełniło. Dailly przeniósł się do Frankfurtu, aby tam na giełdzie szukać szczęścia. Baron zaproponował mi wtedy, abyśmy przenieśli się na jego miejsce. Z radością pożegnaliśmy Bichoffsheim, przenosząc się do Gerfelds, gdzie czekało nas towarzystwo ludzi wykształconych i lepsze warunki życia.

Hr. de Montjoie była nader wykształconą i światową damą. Hrabia umiłał nam pobyt ładną grą na flecie, w kościele zaś co niedziela na mszy grywał w orkiestrze miejscowej. Zamiłowanie do muzyki w Niemczech jest powszechne i nie ma wioski, w którejby nie było zorganizowanej orkiestry.

Baron pozwolił nam również korzystać z pięknego parku swego, a ponieważ był zapalonym myśliwym i polował często, zapraszał mnie zawsze.

Od wyjazdu służącego mego upłynęło już 8

miesiący, a znaku życia dotąd nie dawał o sobie żadnego. Podlegany nadzieją, wychodziłem często na drogę ku Francji, spodziewając się go ujrzeć lada chwila. Nareszcie pewnego wieczoru wrócił, lecz z wieściami niezbyt pomyslnymi. Po przybyciu do Francji został uwięziony i dopiero w naszym departamencie, gdzie go poznano, zdołał się uwolnić. W Etrépigny zastał pogorzelnisko, w Reims zaś bał się iść do mego ojca, aby nie zwrócić na siebie uwagi. Po odzyskaniu wolności żył prawie w nędzy, oczekując na skutek reklamacji co do moich majątków, skonfiskowanych przez rząd, a na które zaczął rościć prawa na podstawie aktu ślubnego mej matki. W Paryżu zdołał tylko odszukać p. Baudin, który był podówczas członkiem Konwencji i choć cieszył się wielkiem poważaniem, nic dla mnie wówczas zrobić nie mógł. W końcu jeden z moich przyjaciół i sąsiadów dał mu 300 fr. Z tą niewielką sumą wrócił do Etrépigny i przedostawszy się szczęśliwie przez granicę, przyjechał do mnie.

Wydatki podróży pochłonęły prawie całą i tak niewielką sumę, mógł mi zwrócić tylko 100 fr., co stanowiło dla mnie wielką sumę. Czułem, że w końcu przyjdzie mi skorzystać z uprzejmej propozycji p. Bystrego i z początkiem wiosny jechać do Polski.

Przez zimę żyliśmy z pieniędzy, otrzymanych ze sprzedaży kosztowniejszych przedmiotów. Napisałem do d'Avaray'a, bawiącego przy królu w Blankenburgu, z prośbą o poparcie mego podania o utrzymanie orderu św. Ludwika, jak również i o wyrobienie mi listu rekomendacyjnego do cesarzowej rosyjskiej, w służbę której pragnąłem się dostać, ponieważ słyszałem, jak ta wielka i szciodra pani łaskawie przyjmowała wybitniejszych emigrantów, np. ks. Richelieu, hr. d'Autichamp, hr. de Laugeron i wielu innych.

Widocznie d'Avaray silnie i gorąco poparł moją sprawę, wkrótce bowiem otrzymałem bardzo po-

chlebne świadectwo, podpisane przez samego króla, oraz list do cesarzowej, który przedstawiłem w ambasadzie rosyjskiej we Frankfurcie, aby być w zupełnym porządku. W drogę wyruszyć mogłem, lecz brakło mi najważniejszych rzeczy, to jest pieniędzy. Spodziewałem się ciągle, lecz, niestety, napróżno, pomocy jakiegokolwiek od rodziny lub przyjaciół, jeden tylko ojciec przesłał mi z niesłychanemi ostrożnościami 400 fr., sumę olbrzymią podówczas dla niego, przez jednego z bankierów we Frankfurcie.

Tymczasem i p. Bystry, którego zawiadomiłem, że ostatecznie zgodziłem się na wyjazd do Polski, domyślając się mych kłopotów pieniężnych, przysłał mi 200 dukatów. Dowód ten prawdziwej, bezinteresownej przyjaźni wzruszył mnie głęboko.

Pożegnawszy się bardzo serdecznie z baronem, który tak był dobry, że odstawił nas swym własnym powozem do najbliższego miasta, pojechaliśmy do Ratysbony, zkąd zamierzałem statkiem jechać do Wiednia.

W Lintz ostrzeżono nas, że Francuzom przejazd przez Wiedeń został wzbroniony, że chcąc dostać się do Rosyi, inną drogą jechać musimy. Rad nie rad musiałem się cofnąć na Kraków, ztąd zaś jechać na Brody, pograniczne miasto austriackie, styczące się z posiadłościami, które dostały się Rosyi po ostatnim podziale.

Po powstaniu Kościuszki nastąpił ostateczny rozbiór Polski, wykreślający ją z mapy państw europejskich.

Z wielkim trudem z powodu braku pieniędzy dojechałem do Lwowa, gdzie się zatrzymałem, chcąc cokolwiek odpocząć, a co prawda i nie miałem za co jechać dalej. Na szczęście Bystry dał mi list polecający do jakiegoś kapitalisty we Lwowie, a który, gdy tylko list hrabiego przeczytał, oznajmił mi, że mam u niego otwarty kredyt. Z kredytu tego korzystałem bardzo oględnie, sądziłem bowiem, że kres

mej niedoli zbliża się i że w końcu znajdę spokój na łonie przyjaźni, lecz wyroki Opatrzności postanowiły inaczej.

Ze Lwowa pojechałem dalej na Brody. Tu oznajmiono mi, że chcąc przebyć granicę, poddać się muszę wielu formalnościom, ponieważ jednak papiery miałem w porządku, nie obawiałem się niczego.

W Radziwiłłowie, położonym na samej granicy, odbywała się rewizya papierów. Zaprowadzono nas zaraz do komory, gdzie zatrzymano i paszport i rzeczy i oznajmiono mi, że mogę zamieszkać w zajazdzie, gdzie mam oczekiwać na dalsze rozkazy generał-gubernatora, przebywającego w Kamieńcu, a któremu posłano przekład mego paszportu.

Nie miałem dotąd wyobrażenia o zajazdach tak nędznych, jakie tu spotkałem. Cztery gołe, brudne ściany bez łóżka, bez krzesła; taki był pokój, do którego wprowadzono nas. Przy tem wszystkiem w dotkliwy sposób uczuwać się nam dawał brak wszelkiego pożywienia. W Polsce o lepszych zajazdach pojęcia nie miano, a to dlatego, że podróżny wioził z sobą wszystko, co mu potrzebne było, nawet w domach magnackich, o czem później przekonać się miałem sposobność, pokoje przeznaczone dla gości, pozbawione były wszystkiego i każdy z gości przywoził z sobą swą pościel. A jednak Polacy, włączając się po świecie, mieli sposobność zapoznać się z wygodami.

Magnatów między nimi nie brak, lecz gorąco przywiązani do starych tradycyi i mieszkając na skraju Europy, zdala od Zachodu, nie posuwają się za cywilizacją europejską i żyjąc tylko wspomnieniami minionej chwały i wielkości, tracą w bałwochwalczym kulecie dla zamierzczej przeszłości siły.

Po upływie dziesięciu dni oczekiwania, przyszedł nareszcie rozkaz, że mam się stawić osobiście w Kamieńcu i że papiery moje mają jechać ze mną,

zamknięte w osobnej skrzynce. Został mi dodany do pilnowania kozak.

Ogłędność, z jaką korzystałem z dobroci hrabiego Bystrego, postawiła mnie w dość smutnem położeniu. Pozostało mi tylko 5, czy 6 dukatów całego majątku, a których kilka żonie¹⁾ pozostawić musiałem. Przyciśnięty do muru napisałem do hrabiego o przybyciu naszym do Radziwiłłowa i o przeszkodach, na jakie tu natrafiłem. Dowody przyjaźni, jakich od niego doznałem, pozwalały mi przypuszczać, że i teraz nie zostawi nas w tem położeniu, lecz poczty chodziły tu tak nieregularnie, że list posłałem przez umyślnego posłańca, któremu nie bardzo ufałem, czy pismo dostawi na miejsce.

Wynajawszy sobie żydowską, trzęsącą bryczkę w towarzystwie przydanego mi kozaka, z dukatem przy duszy wyruszyłem w drogę. Czas był ohydny, deszcz lał, jak z cebra, droga okropna, a biedne szkapki ledwie uciągnąć nas mogły.

Drżałem na samą myśl, że ciążyło na mnie wykarmienie dwóch koni, żyda i kozaka, ponieważ gubernator nie wchodził wcale w położenie moje i nie myślał o tem, w jaki sposób wykonane będą rozkazy jego. Na szczęście żywność była bardzo tania.

Naczelnik komory w Radziwiłłowie dał mi list do pułkownika Szymanowskiego, ponieważ zaś przypuszczałem, że w liście tym jest mowa o mnie, poszedłem więc do pułkownika zaraz. Był to Polak, zostający oddawna w usługach Rosyi, a którego w nagrodę za długoletnią służbę umieszczono w kancelaryi gubernatorskiej. Pułkownik, dowiedziawszy się, że jadę do hr. Bystrego, stał się dla mnie nad-

¹⁾ Z domu Elżbieta de Bertrand, o której de Moriollles wspomina po raz pierwszy.

zwyczaj uprzejmym, ponieważ hrabia był jego przyjacielem. Wezwał woźnicę do siebie i zapłacił mu połowę umówionej ceny, zwymyślawszy go przedtem porządnie, mnie zaś dał delikatnie do zrozumienia, że rachunki wszystkie uporządkujemy później.

Pułkownik był człowiekiem bardzo dobrze wychowanym, po francusku mówił, jak rodowity Francuz, i bardzo dużo zrobił dla mnie dobrego, a byłby zapewne jeszcze więcej uczynił, gdyby był wiedział, z kim ma do czynienia, lecz papiery moje zamknięte były w tej przeklętej skrzyni. Gubernator wrócić miał dopiero za dni kilka z objazdu swego po kraju, lecz pułkownik obiecał, że nazajutrz przedstawi mnie komendantowi miasta, generałowi Tołstojowi. Następnie kazał zaprowadzić mnie do zajazdu, wspominając, że wszystkie wydatki bierze na siebie.

Po źle przespanej nocy, rano udałem się do pułkownika, aby razem z nim pójść do hr. Tołstoja, lecz ten wyjechał i wrócić miał dopiero wieczorem. Nie mając nic do roboty, błędzić zacząłem po mieście. Głód dokuczał mi strasznie. Znudzony bezcelowem błędzeniem, wyszedłem po za mury miejskie dla zwiedzenia okolic. Położenie Kamieńca jest bardzo obronne, położony na wzgórzach, opasany rzeką i otoczony głębokimi przepaściami, przypominało ono trochę położenie Luksemburga i Rosyanie zdobyli go tylko przez zdradę garnizonu polskiego. Ujrawszy zdala forty, zbliżyłem się ku nim; gdy zajęty byłem rozpatrywaniem ich, podeszło ku mnie kilku oficerów, pytając się, kto jestem. Ponieważ mówiłem tylko po francusku i niemiecku, odpowiedziałem im w ojczystym języku. Na moje wielkie zdziwienie odpowiedziano mi doskonałą francuzczyzną. Kilka słów wystarczyło do zawarcia znajomości, opowiedziałem im kto jestem i co mnie tu sprowadziło. Zaprosili mnie zaraz na kawę, kazali podać likier i poncz, od czego nie śmiałem się wymówić, a co przy wygłodzonym żołądku zbyt dobrem

nie było. Pożegnałem ich i wróciwszy do zajazdu, położyłem się spać. O naznaczonej godzinie stawiłem się u pułkownika Szymanowskiego i razem poszliśmy do generała Tołstoja. Nazwisko to było mi znane, jako należące do najpierwszej w kraju rodziny, bardzo dobrze widzianej u tronu. Generał już powrócił i przyjął ze wzięciem wielkiego pana, z rozmowy wywnioskowawszy, czego spodziewam się od niego, przywołał swego adjutanta i rozkazał mu zająć się mną i ulokować u siebie. Zaprosił mnie na obiad i prosił, abym dom jego uważał za swój do powrotu generał gubernatora.

Na obiad stawiłem się punktualnie. Dowiedziałem się od generała, że gubernator hr. Tutulmin nie wróci jeszcze prędko, ale że codziennie do niego pisze i że wspomni mi, jak bardzo zależy mi na pośpiechu. Dzień przeszedł mi nader przyjemnie, najadłem się porządnie, ponieważ dom hr. Tołstoja prowadzony był po pańsku. Pułkownik Szymanowski zapewnił mnie, że nie potrzebuję się o pieniądze kłopotać wcale, że da mi tyle, ile tylko potrzebować będę, aby dostać się do Bystrych. Nareszcie uspokoiłem się trochę, interesa moje zaczęły się poprawiać i naprawdę w najkrytyczniejszym położeniu człowiek tracić nadziei w Opatrzność Boską nie powinien nigdy.

Nareszcie odpowiedź od generała gubernatora przysłała z poleceniem do hr. Tołstoja odstawienia mnie do Żytomierza. Miałem się tam zaraz przedstawić gubernatorowi, do którego hr. Tołstoj dał mi list, zapewniając, że bardzo przychylnie przyjętym zostanę, gdyż jest to człowiek bardzo dobrze wychowany i serdeczny jego przejeciel.

Pułkownik Szymanowski zajął się wyekspedowaniem mnie, dostarczył mi czysty i wygodny wózek, używany powszechnie na Wołyniu i dał mi 15 dukatów, aż nadto wystarczających na drogę.

Droga, trwająca dni cztery, różniła się bardzo

od tej, jaką odbyłem z Radziwiłłowa do Kamieńca. Chociaż była bardzo zła i wielu rzeczy odmawiać sobie musiałem, byłem zadowolonym, czując, że kres mej niedoli się zbliża.

Przybywszy do Żytomierza, stanąłem w zajezdzie i położyłem się spać, a odpocząwszy, wypytywać się zacząłem żydów o gubernatora, o którym mówiono bardzo dobrze.

Hr. Szeremetiew zajmował stanowisko gubernatora od ostatniej wojny. Kto zna choć cokolwiek historię rosyjską, dla tego nazwisko to obcem być nie może, na kartach dziejów spotyka się je ciągle, wstawione przez tych, co je nosili, czy to na dworze, czy w armii, czy też w życiu politycznem. Rodzinato jedna z najsłynniejszych w Cesarstwie przez swe stare pochodzenie i nieprzeliczone bogactwa. Pospieszyłem, jak tylko nadeszła odpowiednia pora, do gubernatora, ten oznajmił mi, że skrzynka z papierami memi przyszła, że otrzymał rozkaz otworzenia jej w mojej obecności, lecz ponieważ miał teraz dużo zajęcia, prosił, abym się zatrzymał, przyczem dodał, że uważać się mam od tej chwili za jego gościa.

Hr. Szeremetiew był bardzo gościnnie, dzień schodził mi nadzwyczaj przyjemnie w jego domu, lecz o załatwieniu mej sprawy mowy nie było. Nareszcie w tydzień po mem przybyciu, wieczorem, oznajmił mi, że nazajutrz jest na moje rozkazy u siebie w gabinecie. O oznaczonej godzinie stawilem się punktualnie. Hrabia siedział przed biurkiem, skrzynka stała na stole. Pokazawszy mi, że pieczęcie są nienaruszone, kazał ją otworzyć. Zawierała ona tylko rękopisy, kilka książek, kilka listów od rodziny i jeszcze rozmaite papiery, co wszystko wystarczyło, aby naczelnik żandarmeryi uważał mnie za niebezpieczną osobistość. Hr. Szeremetiew rzucił okiem na moje prace literackie, inne papiery przeczytał uważnie, spoglądając często na mnie z uśmie-

chem. Gdy skończył, tak się odezwał: „Winszuję panu, panie hrabio, z papierami temi pewny jestem, że doznasz przychylnego przyjęcia w Petersburgu, przyjęcia, na które zasługujesz, a którego ci szczerze życzę. Dam panu paszport, który pozwoli panu mieszkać w całej Rosyi, gdzie tylko zechcesz. Lecz co zawiera ta mała paczka—zapytał się z miną dość groźną. — Z protokołu, jaki otrzymałem, wnioskować mogę, że są to listy pana Bystrego.”

Przyznaję się szczerze, że się zląkłem nie o siebie, lecz o swego przyjaciela. Bystry był gorącym patryotą i wrogiem Rosyi, z czem się wcale nie krył w listach swych do mnie, to też obawy moje były uzasadnione. Jakże gorzko żałowałem, że listów tych nie zniszczyłem, lecz czyż mogłem przypuszczać, że postawią mnie one kiedyś w tak krytycznem położeniu.

Gubernator zdawał się czytać na mej twarzy i powoli rzekł: „Przekonania pana Bystrego są mi dobrze znane, tłómaczę go jednak, gdyż Polacy mają powody nas nie lubić, ponieważ jednak w charakterze moim leży zamykać oczy na wiele rzeczy, które mi są dobrze znane, patrz pan, co zrobię — i mówiąc te słowa, wrzucił paczkę listów w ogień.— Obowiązkiem moim było donieść o nich władzy, lecz chcę, abys Bystremu powiedział, coś widział i dodał, że Rosyanie nie są tak straszni, jak on o nich opowiada.”

Postępek ten dał mi wysokie wyobrażenie o szlachetności hr. Szeremetiewa, nieomieszkałem mu też wyrazić tego: „Nazywają nas barbarzyńcami — powiedział z uśmiechem — co nie przeszkadza jednak, aby dusze nasze posiadały piękne przymioty. Odjedziesz pan zapewne jutro, sądzę jednak, że dzień dzisiejszy spędzimy razem. Proszę, nie zapominaj pan o mnie w przyszłości, tak niedaleko od Żytomierza zamieszkaasz.”

Nazajutrz pojechałem do Bystrych, gdzie żona

moja już była, a po którą sam Bystry jeździł do Radziwiłłowa. Nareszcie kłopoty nasze się skończyły, lecz przed wyjazdem do Petersburga chciałem czas jakiś wypocząć na łonie przyjaźni i pięknej natury.

Pan Bystry był człowiekiem bardzo przyjemnym, doskonale wychowanym i wykształconym, mówił kilku językami, jak ojczystym. Poznaliśmy się we Florencyi i zaprzyjaźnili odrazu. Pani Bystrzyna była skończenie piękną kobietą, lecz piękność jej straciła dużo blasku, wskutek nieszczęśliwego pierwszego małżeństwa, była bowiem wdową, gdy Bystry z nią się ożenił.

Przyjęto nas bardzo serdecznie i umieszczono w specjalnie dla nas przygotowanych pokojach. Trzy miesiące upłynęło nam w ciszy i spokoju i z żalem myślałem o zbliżającej się chwili wyjazdu mego do Petersburga, gdy zaszedł wypadek, zmieniający wszystkie moje projekty i rzucający mnie znów na pastwę niepewności. Cesarzowa Katarzyna II zmarła wskutek silnego ataku apoplektycznego. Ponieważ wszystkie moje listy rekomendacyjne stały się teraz bezużyteczne, musiałem je zastąpić innymi, napisałem przeto do d'Avaray'a, aby zechciał postarać się o nowe listy.

Chociaż u p. Bystrego było mi doskonale, nie chciałem jednak nadużywać jego grzeczności i gościnności i chciałem już jaknajprędzej mieć jakieś zajęcie, gdyż ambicya moja cierpiała nad tem, że nic nie robię. Trzeba było jednak znowu czekać i czekać.

Tyle przeciwności, tyle kłopotów, zmiana klimatu wreszcie zaczęły wpływać ujemnie na stan zdrowia mego; rozdenerwowany byłem bardzo, napady melancholii coraz częściej na mnie przychodziły, na mnie, tak zazwyczaj wesołego i obojętnie przyjmującego wszelkie przeciwności. W takim stanie zdrowia przeszła mi zima z r. 1796/7.

Tymczasem stan zdrowia mego pogarszał się

ciągle. Nareszcie po trzech miesiącach otrzymałem wiadomość od d'Avaray'a, który przysłał mi wszystko, o co prosiłem z wyjątkiem listu do cesarza, z czego wywnioskowałem, że stosunki nasze z dworem francuskim były mniej pomyślne, niż dawniej.

Zima jeszcze się nie skończyła i myśleć nawet nie można było o natychmiastowym wyruszeniu w drogę tak długą, szczególnie w stanie zdrowia, w jakim się znajdowałem, przytem pieniędzy nie miałem już wcale, a brakowało mi odwagi prosić o nie Arabiego, który i tak wiele dla mnie uczynił, a który dziś, znając me położenie i me projekty, nie pytał mnie się o nic. Byłem najniešťeśliwszym z ludzi i to nie bez powodu.

Cesarz Paweł naznaczył dzień koronacyi w Moskwie, na którą miała jechać deputacya polska, wybrana ze szlachty najznakomitszej w kraju. Bystry należał do niej. Chciałem skorzystać z tego i jechać z nim razem, lecz na moją prośbę otrzymałem wiadomość wymijającą, w końcu oznajmił mi, że jechać ma razem ze wszystkimi i że wątpi, czy dobrze zrobię, wstępując w służbę casarską. Przyczem obiecał, że wystara mi się tu w Polsce o jakieś zajęcie, któreby odpowiadało memu usposobieniu, a przy którym mógłbym szybciej wrócić do zdrowia i czekać na szczęśliwsze czasy we Francyi.

Powody tej odmowy wydały mi się niezupełnie usprawiedliwione, szczególnie, wziąwszy pod uwagę naszą przyjaźń i zacząłem podejrywać w tem jakąś myśl ukrytą. Hrabia wkrótce odjechał, a żegnając prosił, abym uważał się za pana domu w czasie jego nieobecności.

I oto zostaliśmy sami z p. Bystrzyną, w której postępowaniu z moją żoną zauważyłem odrazu wielką zmianę. Z początku dotyczyła ona drobiazgów, w głósie nie było tyle czułości co dawniej, lecz przypisywałem tę zmianę nierównemu usposobieniu, któremu ludzie tak często podlegają, szczególnie zaś

kobiety. Wkrótce chłód zamienił się w nienawiść, i jasnym mi się stało, że p. Bystrzyna mści się na mojej żonie za to, że oparłem się jej wdziękowi. Odkrycie to wcale mi nie pochlebiło, a wytlómaczyło mi tylko postępowanie jej męża, na które musiała wpłynąć, sądząc, że łatwiej przyjdzie jej zapanować nademną, gdy sama zostanie.

Fantazyja ta rozpoczęła się jeszcze we Florencyi i ztąd jej gorące zaprosiny nas do Polski, a następnie zły humor i nienawiść okazywane tej, którą uważała za przeszkodę. Z pewnością ona to wmowiła w męża swego, że zajęcie w kraju odpowiednie dla mnie, niż karyera wojskowa, a w ten sposób ustalając mój los, chciała, abym się stał zupełnie od niej zależnym.

Uważałem p. Bystrego za swego najlepszego przyjaciela, czego dowiódł mi nieraz, żona więc jego była dla mnie świętą i nietykalną, żadną więc moją zasługą nie było, jeżeli oparłem się jej. Położenie moje wymagało wielkiej zręczności i taktu, nie mogłem bowiem zranić dumy i miłości własnej pięknej kobiety, postanowiłem tedy udawać nieświadomego do nieskończoności, lecz to długo trwać nie mogło. Wkrótce ona sama wybawiła nas z tego położenia. Matka jej mieszkała niedaleko, zaproponowała nam abyśmy na czas jakiś do niej pojechali.

Pani Rogowska była to osoba w dość już podeszłym wieku. Majątek jej leżał w bardzo ładnym położeniu, dom był śliczny. Pani Rogowska ucieszyła się bardzo z naszego przybycia i przyjęła nas nader uprzejmie. Interesami jej zajmował się stary proboszcz, poczciwy i jowialny staruszek, nieodłączny jej towarzysz.

Zły humor hrabiny względem mej żony zmniejszył się trochę, jak również i jej zaloty względem mnie. Zdrowie moje pogorszało się z dniem każdym, a i żona moja dostała silnego zapalenia gardła. Poczciwa p. Rogowska w tych strasznych chwilach oka-

zała nam tyle serca i poświęcenia, że jej tego nigdy w życiu nie zapomnę. Przez cały czas choroby mej żony, trwającej blisko miesiąc, p. Bystrzyna bawiła u swej siostry, mieszkającej o mil kilka.

Dom p. Rogowskiej był prawdziwie patryarchalnym, służbę traktowano tu po ojcowsku, wogóle panowała atmosfera szczęścia i dobrobytu.

Wkrótce wróciła p. Bystrzyna w towarzystwie siostry swej, p. Giżyckiej. Była to niewielka osobka, lat około 30 stu, żywa, nieładna, ale nadzwyczaj sympatyczna, szczerą i otwartą. Zaprosiła nas do siebie na czas jakiś i odjechała po dwóch dniach pobytu. Byłem prawie pewny, że całe te zaprosiny miały na celu uwolnienie nas z pod wpływu siostry, za co poważać ją jeszcze więcej zacząłem.

O ile zdrowie żony mej się poprawiało, o tyle moje pogarszało. Chudłem i mizerniałem coraz bardziej, bezsenność i rozdenerwowanie wyczerpywały me siły do reszty.

Tymczasem p. Bystrzyna coraz gorliwszym ku mnie afektem pałać poczyniła, tak, że w końcu wytrzymać dłużej nie mogłem. Zwierzyłem się staremu kanonikowi, że ponieważ czuję się silnie rozdenerwowanym, a być może, iż zmiana miejsca wpłynie dodatnio na moje usposobienie, pragnę skorzystać z dobroci pani Giżyckiej i jechać do niej na czas jakiś. Przenikliwemu oku starca nie uszły względy, jakie mi okazują i moja na nie obojętność, uradziliśmy tedy, że nazajutrz rano, uprzedzi nasze panie, że w nocy dostałem silnego ataku nerwowego i że wyjechałem, chcąc oswobodzić p. Rogowską od mej smutnej i znękaney osoby.

Nikt nie zdziwił się, dowiedziawszy się o moim gwałtownym wyjeździe. Nowa Aryadna, piękna pani Bystrzyna nie miała mi nic do zarzucenia, gdyż nie obiecywałem jej nic. Zresztą poczciwy kanonik załatwił rzecz całą pomyślnie.

Chociaż o przyjeździe naszym nie uprzedziliśmy nikogo, przyjęto nas bardzo serdecznie i widać było, że radzi są szczerze z naszego przybycia.

Pani Giżycka była prawdziwą opatrnością dla emigrantów. Pana Giżyckiego, byłego jenerała wojsk polskich, nie zastaliśmy w domu, pojechał i on z deputacją na koronację.

Chociaż przyjęto mnie tu nad wyraz uprzejmie, nerwy moje były coraz słabsze, siły nikły i wszyscy uważali mnie za straconego. Pani Giżycka wszelkimi siłami starała się podnieść upadającego ducha mego i nie chciała puścić od siebie. Czuję, że tylko wyjazd do Petersburga może mnie uzdrowić, to też poczciwy kanonik ofiarował mi potrzebną sumę pieniędzy na drogę. Lecz niestety, nie był to jeszcze koniec mych cierpień, i nadzieje moje znów miały być zniszczone. Żona moja rozchorowała się na febrę, a ponieważ nie chciałem zaciej pani Giżyckiej sprawić kłopotu, i aby mieć lekarza na zawołanie przejechałem z nią do pobliskiego miasteczka Staro-Konstantynowa. Po miesiącu niepokoju niebezpieczeństwo minęło, lecz blisko dwa miesiące mieszkać musieliśmy w tej nędznej mieście. Przez cały ten czas pani Giżycka nie zapominała o nas ani na chwilę.

Tymczasem wypadki szły nieprzerwanym biegiem. Koronacja odbyła się już dawno, deputacja powróciła z Moskwy, chwila tak dla mnie przyjazna minęła bezpowrotnie.

Podczas pobytu mego w Staro-Konstantynowie zrobiłem znajomość, która zczasem stała mi się bardzo drogą. W mieście stał pułk rosyjski, którym dowodził pułkownik, Anglik rodem. W młodości swej spędził czas jakiś we Francyi i z czasów tych wyniósł bardzo przyjemne wspomnienia. Dowiedziawszy się o naszym pobycie w mieście, zaraz się z nami zaznajomił. Był to człowiek lat około 50 u, powierchowności nadzwyczaj przyjemnej i pociągają-

cej. Żona jego ze śladami niepospolitej niegdyś piękności była kobietą wielkiej dobroci. Pięcioro dzieci dopełniało tę szczęśliwą rodzinę. Jak tylko stan zdrowia mej żony pozwolił na przejazd, powróciliśmy na wieś do p. Giżyckiej.

W czasie naszej nieobecności wrócił z Moskwy hr. Giżycki. Był to człowiek bardzo wesoły i towarzyski. Z przybyciem jego dom cały się ożywił.

Pan Bystry przyjechawszy do nas oznajmił mi, że za dni kilka wracamy do niego, że powziął już pewne zamiary względem mej przyszłości, uważając, że wyjazd mój do Rosyi nie przyda się na nic. Odpowiedziałem mu, że stanowczo postanowiłem jechać do Rosyi, że wstrzymuje mnie tylko stan mego zdrowia, że dziękuję mu za wszystko, co dla mnie zrobił i że teraz z nim nie pojedę, ponieważ uważam, że tutejszy doktor doskonale mnie leczy.

Ponieważ Żytomierz leżał niedaleko od majątku państwa Giżyckich, zamierzałem przeto odwiedzić hr. Szeremetiewa, który mnie kiedyś przyjął tak gościnnie. Wkrótce zamiar mój w czyn wprowadziłem. Hrabia przyjął mnie bardzo gościnnie, zatrzymał kilka dni u siebie. Dowiedziałem się od niego, że stanowisko swe uważa za bardzo zachwiane, dlatego, że Cesarz usuwa wszystkich, którzy służyli za życia jego matki. To dało mi dużo do myślenia.

Zdrowie moje znów pogarszać się zaczęło. Melancholia coraz bardziej ogarniać mnie zaczynała. Byłem podobny w tem usposobieniu ciała i duszy do podróznego, zbłąkanego w pustyni, który na horyzoncie nie spostrzega śladu roślinności i pewnego schronienia. W takim upadku ducha zastał mnie Bystry, który przyjechał do mnie z oznajmieniem swych projektów, zupełnie różnych od moich. Pewien ksiądz francuski założył w jednym z miasteczek pensjonat dla młodzieży, lecz pensjonat ten nie przynosił mu zysków i Francuz chciał go zwinąć. Otóż, Bystry pomyślał o mnie i chciał kupić go dla mnie. Zwie-

rzył się z tym projektem pani Giżyckiej, ta go pochwaliła gorąco, dodając, że prawie pewną jest powodzenia, znając moje wykształcenie. Zresztą nicby to nie było dziwnego, bo Polska pozbawioną była zupełnie zakładów kształcących młodzież. Boże! lecz co za zmiana, co za różnica. Ja, com marzył o karierze wojskowej, która miała przynieść mi zaszczyty i godności, miałem poświęcić się nudnej pracy nauczycielskiej. Ale smutna rzeczywistość trzymała mnie w swych szponach żelaznych i trzeba było pogodzić się z losem. Bystry oznajmił mi jeszcze, że jak tylko zbierze odpowiednią ilość uczni, dostarczy mi odpowiednich funduszów i rozmówi się ostatecznie z księdzem. Ze swej strony p. Giżycka obiecała dołożyć wszelkich starań, aby projekt mój miał powodzenie i radziła prosić hr. Szeremetiewa o pomoc, a który mógł wiele dla mnie uczynić. Gdy już to wszystko ułożone zostało, Bystry odjechał i gdyby coś nowego zająć miało, mieliśmy natychmiast donieść sobie o tem.

W kilka dni potem pojechałem do Żytomierza, do hr. Szeremetiewa, który ujrzawszy mnie, stanowczo oświadczył, że nie puści mnie od siebie, aż za dni kilka. Odpowiedziałem mu, że teraz mam bardzo mało czasu, że przyjechałem prosić go tylko o radę. Gdym skończył swe opowiadanie, hrabia tak mi powiedział:

— Szczerłość za szczerości! Wobec stanu pańskiego zdrowia, nie radziłbym udawać się w tak daleką drogę, która dziś nie zapewni panu tych korzyści, jakie mu dać mogła w chwili przybycia. Projekt, który, jak łatwo się domyśleć, nie w pańskiej powstał głowie, założenia pensjonatu jest bardzo szczęśliwy i może zapewnić niezależną, choć nieświąteczną egzystencję. Nie trać pan jednak nadziei, przyszłość może przynieść jeszcze zmiany, a los przywrócić panu utracone stanowisko. Ze swej strony dołożę wszelkich starań, aby panu się powiodło.

Pobyć tu może w przyszłości przynieść panu korzyści, możesz porobić znajomości, które czasem przydać mu się będą mogły.

Rada była szczerą, to też podziękowałem serdecznie hrabiemu, który natychmiast zajął się dostarczeniem mi uczni.

W domu jego bywało bardzo dużo Polaków, między którymi znajdowało się bardzo wiele wybitnych osobistości, a którym hrabia nieomieszkał oznajmić o moim zamiarze. Widząc, jak jestem uważanym w domu gubernatora, zdawali się być zachwyceni tym projektem, choć i tak przekonany jestem, że wielu z nich rzeczywiście z niego korzystać chciało. Z pomiędzy tych ostatnich prezes sądu Morzkowski zarzucił mnie tysiącami komplementów i prosił o odwiedzenie go. Przeszłość tego człowieka jest dosyć ciekawa, a ponieważ nieraz będę miał sposobność wspominać o nim, powiem o niej słów kilka. Urodził się w ubogiej szlacheckiej zagrodzie, ale wkrótce przez swe wybitne zdolności wybił się na wierzch. Ukończywszy świetnie studia prawne, stał się w bardzo niedługim czasie wziętym mecenasem i doradcą najpierwszych panów, a zdanie jego cenione powszechnie, uważane było za nieomyślne. Nic dziwnego, że doszedł wkrótce do majątku. Stał po stronie partyi rosyjskiej, uważając ją jedynie za rozsądną. Był to aferzysta, kierujący tysiącami interesów, lecz nie znający zupełnie form towarzyskich. Żonatym był dwa razy i dwa razy rozwiedziony i miał zamiar żenić się jeszcze po raz trzeci. Takim był prezes Morzkowski, w owe czasy posiadający już kilka milionów w ziemi i drugie tyle w gotówce.

Uprzedzony o moim projekcie przez hr. Szerebetiewa, obiecał, że zrobi wszystko, co tylko będzie mógł, tembardziej, że to nie będzie zbyt trudnem, ponieważ w tej części kraju uczuwać się daje brak zupełny zakładu wychowawczego dla młodzieży

W rozmowie starał się dać mi poznać, że nie są mu obce sprawy polityczne, że zajmuje go nietylko zło- to i interesa, że brał udział w deputacyi, wy- słanej na koronację, że przywiózł ztamąd order Św. Stanisława, co jeszcze wyżej podniosło go w oczach ogółu. Za radą gubernatora rozpisałem cyrkularze, w których wyraziłem, że jedynym mojem staraniem będzie rozszerzanie światła, wiedzy, prawdy i dobra w sercach i umysłach moich młodych wychowañców. Gdy pierwsze te kroki zostały zrobione, wróciłem na wieś. Tu Bystry, który w tym czasie przyjechał, oznajmił, że książdz stawia dość ciężkie warunki, ale nie wątpi, iż rzecz da się zrobić. Gdy te rokowania pro- wadzono, ja używałem wszystkich przyjemności; swo- bodnej i próżniaczej egzystencji, czując, że ma się ona wkrótce skończyć. W jakiś czas potem pojecha- łem do Żytomierza, gdzie zastałem zmiany wielkie, a mogę powiedzieć uśmiech fortuny.

Hrabia Szeremetiew otrzymał dymisyę. Pierw- sze jego słowa, gdym poszedł przywitać się z nim były:

— Zbieram manatki i jadę do siebie, ciesz się ze mną, przyjacielu. Nadeszła chwila, której oddawna oczekiwałem i prawdę powiedziawszy, pragnałem. Następcę mego znam bardzo mało, ale poleciłem mu pana i z pewnością interesa pańskie nic na tem nie stracą. Przybędzie on niedługo, za miesiąc lub dwa, mamy więc dosyć czasu do przebywania razem.

Zasmuciłem się rzeczywiście tą wiadomością, gdyż była to dla mnie niczem niepoważana strata, tembardziej, że rozestane listy nie odniosły skutku, jakich się po nich spodziewałem, zaledwie kilka osób mi odpisało, kilka rozmawiało ze mną, lecz ponie- waż sprawa wlokła się z powodu braku funduszków i ciągłego mego osłabienia, stanowczej odpowiedzi dać im nie mogłem.

Złożyłem wizytę i panu Morzkowskiemu, który

przyjął mnie, jakby miał mi coś powiedzieć, ale waha się, nareszcie po długich ceremoniach, rzekł:

— Panie hrabio, nie obrazi się pan, gdy mu coś zaproponuję.

I po wielu zwrotach, po wielu omówieniach, które dowodziły tylko braku znajomości form światowych, oznajmił mi, że od pierwszej chwili powziął zamiar powierzenia mi edukacji swej córki, lecz z powodu mych zamiarów nie śmiał o tem mówić, teraz zaś, widząc, że nie dojdą one prawdopodobnie do skutku, ponieważ wyjazd gubernatora wpłynie ochładzająco na szlachtę, zdecydował się ostatecznie na zaofiarowanie mi tego miejsca, nie wątpiąc, że mi ono do gustu przypadnie, że zażywać u niego będę bezwzględnego spokoju, którego stan mego zdrowia tak bardzo wymaga.

— Racz pan przyjąć to stanowisko — zakończył — będzie pan panem samowładnym w mym domu, ponieważ ja rzadko kiedy w nim bywam. Zajęcie pańskie w tej chwili będzie prawie żadne, ponieważ córka moja ma dopiero pół roku, ale w przyszłości z nauki pańskiej widzę dla niej świetne widoki, zastępując jej ojca, poprawi pan sobie zdrowie. Pensyę przeznaczam panu niewielką, tylko rb. 1,200, lecz racz pan ją przyjąć.

Zdziwienie moje nie da się opisać.

— Jaktol — zawołałem — mam uczyć dziewczynkę sześciomiesięczną. Chyba pan żartuje?

— Nie, panie, mówię najzupełniej seryo, a wdzięczność moja będzie bez granic, gdy hrabia zechce zgodzić się na moją propozycję.

Opisał mi następnie różne szczegóły przyszłego mego stanowiska, namawiając mnie przytem gorąco, abym się zgodził. Choć w głębi duszy byłem zdecydowany na przyjęcie tak świetnej pod każdym względem propozycyi, prosiłem jednak o kilka dni namysłu.

Prosto od p. Morzkowskiego udałem się do hr.

Szeremetiewa dla powzięcia pewniejszych wiadomości co do osoby prezesa. Hrabia tak mi rzekł:

— Jest to człowiek dzielny, zebrał olbrzymią fortunę, a używa jej tylko na to, aby ją powiększyć. Dotrzyma zawsze tego, co obiecał, a zresztą dumnym będzie, że pana posiadał. Radzę panu po przyjacielsku przyjąć to stanowisko, a w tej chwili o lepszym, a przynajmniej dogodniejszym myśleć pan nie może i ręczę, że nie pan, ale on od pana zależnym będzie.

W tej chwili zaanonsowano prezesa.

— Prosić — rzekł hrabia, a do wchodzącego tak się odezwał:

— Nie mógł pan przybyć, panie prezesie, w lepszej chwili od tej, właśnie rozmawialiśmy o panu. Hr. de Moriolles przyszedł poradzić się mnie co do pańskiej propozycji. Przyjaźń moja dla was obydwóch, panowie, rozstrzygnęła kwestyę tę odrazu i radzę właśnie hrabiemu, aby przyjął ofiarowane mu miejsce, że znajdzie u pana spokój i wytchnienie, którego tak bardzo potrzebuje, z drugiej strony winszuję panu, żeś go spotkał na swej drodze. Znając trochę pańskie stosunki rodzinne śmiało twierdzić to mogę.

Morzkowski zaczął nam obu dziękować, a ponieważ zauważyłem, że przybył do hrabiego z jakimiś papierami pod pachą, pożegnałem ich. Tak więc los mój został rozstrzygnięty.

Nazajutrz rano poszedłem do Morzkowskiego, który po przywitaniu tak się do mnie odezwał:

— Wyświadczył mi pan łaskę, spełniając me życzenie, postaram się, aby panu na niczem nie zbywało, gdyby zaś, broń Boże, brak panu czego było, będzie to tylko pańska wina, gdyż wszystko mieć będziesz na swe rozkazy.

Następnie zapytał mnie, kiedy obejmę swe stanowisko, lecz, że nie chce pod tym względem wpływać wcale na me postępowanie, i czy mam ze sobą

służącego. Na pierwsze pytanie odpowiedziałem, że potrzebuję przynajmniej dwóch tygodni, co zaś do drugiego, że mam swego lokaja, bardzo do mnie przywiązanego, który oprócz wielu innych zdolności, doskonale gotuje.

— Ależ to wspaniale!—rzekł p. Morzkowski — pozostanie on nadal pańskim służącym, gdyż posiadam służby niewiele. Zapłatę jego biorę na siebie. Proszę, uprzedź mnie pan o chwili swego wyjazdu, a przyślę konie po państwa.

Nie miałem słów na wyrażenie mu swej wdzięczności za tyle dowodów niczem niezastużonej łaski.

Pożegnanie moje z hr. Szeremetiewem było bardzo serdeczne, zacy ten człowiek prosił, abym w każdej potrzebie do niego się udawał, że zawsze wszystko dla mnie zrobi, co tylko będzie mógł. Wróciwszy do państwa Giżyckich, oznajmiłem im zaraz o zmianie mego losu, nie ukrywając wcale, że pociała mnie ona bardzo spokojem i pewną niezależnością. Pani Giżycka pochwaliła me postanowienie, lecz widać było, że nie bardzo była zadowolona z naszego tak niespodziewanego wyjazdu.

Nazajutrz napisałem do Bystrego o zmianie mych projektów, z podziękowaniem za wszystko, co dotąd dla mnie uczynił. Po tygodniu byłem już gotów do drogi, załatwiwszy wszystkie swe interesa, o czym natychmiast zawiadomiłem prezesa, który przysłał wkrótce po nas konie.

Miejsce mego przeznaczenia była to mała wioska Sokolica, położona w pobliżu Kijowa, jednego z najstarszych miast w Rosyi. o mil 30 zaś od Żytomierza. Było to samo centrum Ukrainy, kraju smutnego, pustego, płaskiego, ale nadzwyczaj urodzajnego, pokrytego bezbrzeżnymi stepami, po których oko się błąka, zatrzymując się tylko na kraju horyzontu. Kraj to mało zaludniony, zamieszkały przez wielkich panów, posiadających olbrzymie przestrzenie.

Po dwóch dniach drogi przybyliśmy do Sokolicy. Była to nędzna wioska, dom mieszkalny dość marnie wyglądał, wewnątrz prawie nie umeblowany. Na spotkanie nasze wyszło dwóch młodzieńców, krewnych prezesa i ekonom. Niewielki pawilonik obok domu został przeznaczonym dla nas. Rozpakowawszy się i odpocząwszy chwilę, poszedłem odwiedzić mą pupilkę, pannę Cecylię. Opieką była ona otoczona aż zanadto gorliwą, z czego byłem bardzo zadowolony.

Kilka dni wystarczyło na zaprowadzenie pełnego systemu w mem życiu. Do stołu oprócz nas dwojga zasiadało dwóch krewnych gospodarza, o których już wspominałem i stary kapitan wojsk polskich. Mój lokaj został kucharzem. Na swe rozkazy miałem powóz, cztery konie i stangreta.

Szybko przyzwyczałem się do nowego otoczenia. Żona prawie dzień cały spędzała u naszej wychowanki, która niewiele sprawiała nam kłopotu, ja zaś z zapalem oddałem się polowaniu, które powoli zastąpiło mi wszystkich doktorów i ich lekarstwa. Umiarkowany ruch, spokój ducha, zdrowe powietrze przywróciły mi zdrowie, a z niem energię i utraconą nadzieję, że wkrótce dobiję do portu, która tym razem mnie nie zawiodła.

W tydzień po naszym przybyciu zjawił się niespodziewanie prezes.

— Przyjechałem spędzić z państwem dni kilka i dowiedzieć się, jak wam tu się powodzi.

Przywitawszy się z córką, przyszedł do nas na rozmowę, gdzie na wstępie obrzucił mnie wymówkami, że nie urządziłem się tak, jak powinienem, że choć sam poprzestaje na rzeczach najpotrzebniejszych, rozumie, że inni mają inne wymagania. Po obiedzie zwiedziliśmy całe gospodarstwo. Przyznał mi się później, że zwykle do swych majątków zjeżdża niespodziewanie, a to dlatego, aby ludzie jego zawsze goto-

wi byli na jego przybycie i aby wieśniaków traktowano po ludzku i sprawiedliwie.

Podczas pobytu jego okoliczna drobna szlachta złożyła mu wizytę. Wzniesienie jego było szybkie, uważanym był za pól Boga, co mu bardzo pochlebiało. Postępowanie jego z nimi było bardzo serdeczne i komu tylko mógł, przychodził z pomocą. Z całej tej masy ludzi zasługuje tylko na wzmiankę hr. Olizar, człowiek doskonale wychowany, niezmiernie bogaty i władający wyborną francuzczyzną. Prezes zabawił tydzień i obiecał przyjechać za miesiąc lub dwa.

Do chwili powrotu jego samotności naszej nikt nam nie przerwał, kilka razy tylko jeździliśmy do Berdyczowa po sprawunki. Kilkakrotnie pisałem do mych przyjaciół na Wołyniu.

W czasie wakacyi przyjechał p. Morzkowski i zaraz na wstępie oświadczył, że zostanie z nami przez całe lato i że ma zamiar przyjmować gości przez ten czas. Służby jednakże nie powiększył.

Tymczasem liczba gości zwiększała się z dniem każdym. Nietylko bliżsi sąsiedzi, ale nawet z dość odległych stron, dowiedziawszy się o przyjeździe prezesa, przybywali poradzić się jego o swe sprawy, o swe procesy, dom zmienił się w giełdę, w kancelaryę interesów, a ponieważ celem tych odwiedzin były tylko interesa, nie nie mogło być nudniejszego, jak ta ciągła falanga.

Hrabia Olizar, o którym już wspominałem, przyjeżdżał dość często i zapraszał mnie kilkakrotnie, by do niego przyjechać, tak, że w końcu prawie zmuszony, obiecałem mu swą wizytę.

W okolicach Sokolicy położone były olbrzymie majątki hr. Branickiego, jednej z najwybitniejszych osobistości w Polsce, tak przez swe pochodzenie, swe stanowisko, bogactwa, jak i roli, jaką odegrał w swem życiu. Serdeczny przyjaciel ostatniego króla, hetman wielki koronny, ożenił się z siostrzeni-

cą ks. Potemkina, ulubienicą zmarłej cesarzowej Katarzyny.

Małżeństwo to uczyniło hrabiego jeszcze wybitniejszym i bogatym, gdyż był pogrążony w długach, chociaż król Stanisław płacił je za niego kilkakrotnie. Król umarł, Polska rozdzieloną została, znaczenie hrabiego upadło, to też posag żony, a jeszcze więcej wielka jej umiejętność prowadzenia interesów bardzo mu się przydała. Hrabina w krótkim stosunkowo czasie zwiększyła majątek o trzy miliony i tak zawojowała męża, że ten, choć jeszcze w sile wieku, powierzył jej wszystkie interesa swoje. Dla siebie zatrzymał tylko niewielki mająteczek, przynoszący mu 15 tysięcy dukatów rocznie. Dzięki jemu dostałem się na dwór Wielkiego Księcia Konstantego, ale dopiero po wielu latach (1797—1810) spokojnego życia w pięknym jego pałacu w Białej Cerkwi na Ukrainie.

Przebywałem jeszcze u p. Morzkowskiego, gdy otrzymałem wezwanie natychmiastowego przybycia do hr. Branickiego, ponieważ przybył hr. Esterhazy, który, mając polecenie od króla wręczenie mi orderu św. Ludwika, pragnie się widzieć ze mną.

Udałem się tam natychmiast. Hrabia zapraszał mnie tak serdecznie, abym u niego dłużej zabawił, że nie wahałem się ani chwili.

.....

Rok 1797 zastał mnie u hr. Branickiego, który bez mego towarzystwa zmarniałby pewnie z nudów w pięknej swej rezydencji w Białej Cerkwi. Żona jego pojechała do Petersburga na zimę, wrócić miała z początkiem lata na bardzo krótko, a następnie jechać do wód do Niemiec. Hrabia miał wtedy lat 66, lecz zachował jeszcze ślady siły i ognia młodości. W życiu odegrał dość wybitną rolę, zajmując stanowisko wielkiego hetmana koronnego, prócz tego ser-

deczny przyjaciel ostatniego króla polskiego, był drugą osobą w kraju po nim.

Hrabia Branicki był człowiekiem bardzo inteligentnym, dzielnym, bohaterskim i sprawiedliwym, lecz nie umiał panować nad swemi namiętnościami, rozrzutny bez granic, a chociaż król, jak to już wspominałem, zapłacił za niego kilka milionów długi i chociaż ziemie jego były olbrzymie, był zrujnowany zupełnie, dopiero małżeństwo z panną Engelhard, siostrzenicą hr. Potemkina, postawiło go na nogi. Żona wniosła mu olbrzymi posag, a który przez doskonały zarząd, oszczędność, graniczącą niemal ze skąpstwem, powiększyła wkrótce kilkakrotnie i męża uczyniła najbogatszym panem w Polsce.

Lecz biedny hrabia okupił ciężko poprawienie swych interesów, ponieważ stał się zupełnie zależnym od swej żony. Dzieci mieli czworo: syna Władysława i trzy córki. Najstarsza wyszła za ks. Sanguszkę, średnia za hr. Potockiego, a najmłodsza za hr. Woroncowa. Drugi syn zmarł na mych rękach w r. 1806 w 18-ym roku życia. Był to młody chłopiec, posiadający wszystkie zalety ojca, bez jego wad.

Węzły, łączące mnie z tą rodziną, datują się od r. 1797, w kilka lat po mem przybyciu do Polski. Gdy Cesarzowa Katarzyna umarła, hrabina Branicka popadłszy w niełaskę u nowego dworu, zamieszkała w Białej Cerkwi i zbliżyła się więcej do rodziny męża.

W r. 1809, pomimo niechęci hrabiny, jeździłem z hrabią nad brzegi Dunaju, aby odwiedzić tam syna jego, adjutanta w kancelaryi feldmarszałka ks. Prozorowskiego, dowodzącego armią, wysłaną przeciw Turcyi.

Ztąd pojechaliśmy do Mołdawii.

.

Po śmierci cesarza Pawła hr. Branicka powróciła na dwór i dzięki jej staraniom w kilka lat potem zostałem nauczycielem syna Wielkiego Księcia Konstantego (1810).

Muszę tu wspomnieć o wielkiej mej wdzięczności, jaką czuję dla p. Morzkowskiego, który, choć z żalem puszczał mnie od siebie, sam mnie jednakże namawiał do przyjęcia tego miejsca, mogącego zbliżyć mnie do dworu.

Przyjęto mnie bardzo łaskawie w Belwederze w pałacu Wielkiego Księcia Konstantego. Księżna lubiła otaczać się pamiątkami przeszłości, z których jedne zawdzięczała stosunkom przyjaźni, inne były to drobne pamiątki, pochodzące z różnych czasów. Zresztą w tem wszystkim była jakaś sentymentalna czułośćkowość, właściwa temu wiekowi, a która jest tylko naśladownictwem uczuć prawdziwych.

Z nastaniem jesieni książę pozostał w Belwederze i zdawał się jeszcze więcej znajdować w nim przyjemności. Samotność stała się wielką, droga do Warszawy była prawie niemożliwą do przebycia, tylko służba chodziła nią do miasta; aleja ta była wlecie ulubionem miejscem spaceru wielkiego świata. Wielki Książę przed kominkiem z cygarem rozkoszował się tym niczem niezakłóconym spokojem. Rano jeździł do Warszawy na manewry i na przyjęcia urzędowe, a wróciwszy kładł się spać do samego obiadu. Po obiedzie spał znowu do godz. 8 ej, potem jechał do teatru, jeżeli dawano coś, co go pociągało, jeżeli zaś nie, to czytał do godz. 10-ej, później szedł spać. Często Wielki Książę kazał mi głośno czytać, najczęściej „Historję Prawodawstwa” Lacretelle’a, rzecz, która go bardzo zajmowała. W czasie czytania przerywał mi często, aby robić uwagi, pełne znajomości natury ludzkiej i wykazujące rozum i zdolności, właściwe ludziom wyższym. Zastanawiał się również głęboko nad wypadkami, które mając miejsce w jednym narodzie, wywierały wpływ na

wszystkie. Wtedy to usłyszałem z ust jego następujące zdanie:

— Jestem równie dobrym Francuzem, jak i pan, i gdyby wybrano mnie deputowanym, stałbym na prawicy.

Pewnego razu, gdy czytałem o intrygach stronnictwa Orleańskiego, przerwał mi, mówiąc, że znajduje wielkie podobieństwo między swem położeniem, a położeniem ks. Orleanu. Nic mu na to nie odpowiedziałem, gdyż nie znajdowałem żadnego związku ani w życiu politycznym, ani w charakterach tych dwóch osobistości, pierwszy chciał zdobyć tron, do którego dopuścić go nie chciano, podczas gdy drugi mocą samego prawa mógł zasiąść na tronie, który dziś zajmował brat jego.

— Książę Orleański — mówił Wielki Książę — może rozżarzyć wojnę domową w kraju, lecz przypuszczam, że ta nie nastąpi nigdy, bo gdyby nawet poddani moi chcieli z bronią w dłoni popierać me prawa, zgniotą ich dla dobra i spokoju cesarstwa.

Pewnego znów wieczoru Wielki Książę wezwał mnie do swego apartamentu i tu zaczął ubolewać nad krytycznym położeniem Europy, w której partya liberalna odgrywa wielką rolę i używa najrozmaitszych intryg, byleby tylko przeszkodzić wielkim mocarstwom wtrącić się do sprawy Neapolitańskiej i Piemontkiej.

— W jakiś czas po powstaniu w Neapolu — mówił Wielki Książę — i po otwarciu sejmu zauważyłem między deputowanymi jakieś tajne knowania, a z raportów policyjnych dowiedziałem się o przybyciu wielu podejrzanych osobistości do Warszawy, przypuszczam, że są to wysłannicy masonów, główne siedlisko których jest w Paryżu, a Talleyrand jednym z głównych naczelników. Gdy brat przyjedzie, opowiem mu wszystko, com odkrył i oświadczę, że ma tu dużo do działania, chcąc zwalczyć wszystkie te intrygi. Jestem przekonany, że Cesarz odpowie mi,

iż obawy moje nie mają najmniejszej podstawy, że zawsze widzę wszędzie naokoło siebie spiski i że z pewnością w raportach złe przedstawiam w gorszym świetle, a wtedy odpowiem bratu, że nie przyrzepiam się bez powodu, i proszę go o wybaczenie, że odroczyłem otwarcie sejmu na dwa tygodnie, a to dlatego, aby sam się przekonał o stanie umysłów. Oto przyczyna, dla której opóźniłem sejm, a która zdziwiła wszystkich, a gdy sejm zostanie zwołanym, Cesarz z obrad jego zadowolonym nie będzie, ponieważ cel, dla którego sejm ustanowionym został, usunięto na plan drugi i Najjaśniejszy Pan będzie chciał przerwać posiedzenie sejmowe, lecz ja go przekonam, aby nie na razie nie zmieniał, ponieważ i tak powoli znajdzie sposobność usunięcia sejmu. Przytem brat zdziwiony będzie, że niebezpieczeństw zawsze uniknąć potrafię i że tak trzeźwo na rzeczy się patrzę, na co mu odpowiem, że o wszystkim wyrabiam sobie swe własne zdanie i każdą rzecz tak przyjmuję, jak ona się przedstawia, nie słuchając pięknych, lecz rzadko prawdziwych wywodów pana de la Harpe. Zaraz po sejmie brat mój wyjedzie do Opawy, a ten szybki wyjazd zdziwienie wywoła, ponieważ rozeszła się pogłoska, że w Polsce odkryto spisek, którego uśmierzenie wymaga obecności Cesarza w Warszawie. Djabelska ta sekta rewolucjonistów pracuje usilnie nad wywołaniem wybuchu, który mógłby mieć nieszczęsne skutki. W Grecyi przygotowuje się powstanie, podburza Tatarów w Krymie koło Saratowa, wogóle we wszystkich naszych południowych guberniach. Nienawiści mej dla tej przeklętej sekty ukrywać nie mam zamiaru. Nie myśl pan, panie hrabio, że w tem wszystkim, co powiedziałem, ja odgrywam jaką rolę, lub że pragnę wywierać wpływ na rządy, nie, samo małżeństwo moje z prostą szlachcianką dowiodło chyba, że żyć pragnę w ciszy i spokoju.

Zakończenie tej rozmowy dało mi do myślenia, że Wielki Książę zgodę na swe małżeństwo okupił

zrzeczeniem się tronu, lecz za to uzyskał szczęście osobiste.

Tu kończy się część pierwsza mych pamiętników z r. 1821, dodam tylko kilka słów odnoszących się do mnie osobiście. Wielki Książę traktował mnie z wielką dobrocią i okazywał mi wiele zaufania, a księżna Łowicka była bardzo uprzejmą, lecz mnie nie lubiła, i zdaje mi się, że obawiała się mych przenikliwych oczów, odgadujących, że uczucia jej są przesadzone, męża jednak kochała bardzo. Paweł zostawał pod zupełnym wpływem drugiego swego guwernera, p. Fawickiego, człowieka niezbyt wysokiej wartości.

N a p o l e o n.

W końcu r. 1799 Wielki książę Konstanty przebywał w Moguncyi, zamieszkując pałac w pobliżu mieszkania ks. d'Enghien. Pewnego razu obudzony został przez kawalera Joinville, adjutanta księcia, który przybył prosić Wielkiego księcia o pofatygowanie się do swego pana, nadzwyczajnie czemś wzburzonego. Wielki książę udał się do niego natychmiast. „Mości książę!—zawołał d'Enghien—nie wiesz, Francya uratowana! Bonaparte wrócił z Egiptu, jest już w Paryżu, jadę sam, aby go przywitać, człowiek to, którego uwielbiam oddawna, dumnym będę, służąc pod jego sztandarem.”

Wiadomość ta nie bardzo zachwyciła Wielkiego księcia, szczególnie zaś owa podróż do Paryża. Wiele czasu użył, zanim przekonał księcia, że niema potrzeby tak się gorączkować, że powinien zważać na swe stanowisko i swe urodzenie.

Kongres w Tylży pozwolił Wielkiemu księciu bliżej poznać cesarza Francuzów, którego nie lubił,

lecz którego považał za wielkie jego przymioty, cesarz zaś okazywał mu zawsze wielką przyjaźń. Napoleonowi nie obcą była ludzkość i względy, jakie Wielki książę okazywał zawsze jeńcom, którzy wpadli w ręce rosyjskie. Nazywał go zawsze młodzieńcem. Pewnego razu w czasie rewii Napoleon prosił Wielkiego księcia o wykonanie kilku manewrów z ułanami, w których uniform Wielki książę dnia tego był ubrany. Wielki książę z lancą nastawioną do ataku, według wzoru Polaków i Turków, zatrzymał konia na dwa kroki przed Napoleonem. Cesarz, nie przygotowany na to, obawy swej ukryć nie mógł, zbladł okropnie, zatrząsł się cały i odwróciwszy się, odjechał.

Po zawarciu pokoju Wielki książę, na usilne prośby Napoleona, pojechał go odwiedzić, otrzymawszy przedtem pozwolenie cesarza. Bonaparte przyjął go sam, a podziękowawszy za pośpiech w spełnieniu prośby, ofiarował Wielkiemu księciu przepyszną szablę, mówiąc:

— Przyjmij, młodzieńcze, ten dowód uznania i poważania, jakie zachowam dla ciebie zawsze, czy to jako wróg twój, czy przyjaciel. Zarazem jest to dowód wdzięczności za względy, jakie Wasza Wysockość okazywała ranionym mym braciom i jeńcom u siebie.

Napoleon zarzucił Wielkiego księcia tylu pochlebstwami że ten, opowiadając mi to, dodał:

— Gdyby mi w tej chwili człowiek ten rozkażał skoczyć przez okno, uczyniłbym to, nie wahając się ani chwili, wyszedłszy za progi, egzaltacya opuściła mnie i w podnieceniu tem mojem widziałem tylko dar wielkich ludzi pociągania za sobą tych, na których im zależy.

Innym znów razem, rozmawiając z Napoleonem, cesarz przez okno ujrzał przechodzącego człowieka, którego postać, owinięta w olbrzymi płaszcz, zwróci-

ła jego uwagę. Napoleon wskazał go Wielkiemu księciu, który, mając ogromną pamięć, rzekł:

— Znam tego człowieka, jest to Polak, służy w tym i tym pułku, nazywa się tak i tak.

— Ach—rzekł cesarz—nie omyliłem się, należy on do tych, co chcą być narodem, nie mając po temu żadnych danych. Niecierpię tych ludzi.

To odezwanie daje nam poznać uczucie, jakie Bonaparte żywił dla tego narodu, a obietnice, jakie im czynił, były fałszywe, pozwalał płynąć ich krwi, byleby samemu się wybić.

Murat chciał koniecznie zbliżyć się do Wielkiego księcia, ofiarując mu swe usługi, a które Wielkiego księcia niepomrotnie nudziły.

Wielki książę kampanię włoską odbył pod wodzą feldmarszałka Suworowa. Przy końcu bitwy pod Trebią, jeden z batalionów francuskich, zasłaniających odwrót, został rozbity, otoczony i zmuszony do złożenia broni. Wielki książę, dowiedziawszy się, że należą do byłego pułku d'Auvergne, posłał prosić feldmarszałka o pozwolenie rozporządzenia jeńcami, a otrzymawszy je, kazał więźniów uwolnić, dodał im kilku żołnierzy dla eskorty, wyznaczył dobre kwatery i dbał o nich bardzo do chwili ich uwolnienia.

Podczas manewrów w Tylży Wielki książę, przejeżdżając z Napoleonem przed wojskiem francuskim, zdziwiony był, usłyszawszy okrzyki: „Niech żyje Wielki książę Konstanty!” Gdy zatrzymali się przed nimi, Napoleon wypytywać się zaczął o przyczynę okrzyków, wyżsi oficerowie otoczyli Wielkiego księcia, dziękując mu w imieniu pułku d'Auvergne za tyle pobłażania we Włoszech. Napoleon, zniżając głos, rzekł do Wielkiego księcia:

— Dziękuję w imieniu armii francuskiej. Je-

żeli drży ona przed walecznością Waszej Książęcej Mości, to podziwiać musi zawsze jego szlachetność!

Wielki książę przyznał mi się, że chwila ta była jedną z najpiękniejszych w jego życiu.

Na zjeździe w Erfurcie, na który Napoleon wezwał prawie wszystkich władców Europy i na którym dziecę rewolucyi i geniuszu zaćmiło wyższość starej dynastyi królów, zmuszonych schylić głowy przed wschodzącą gwiazdą prostego żołnierza, Wielki książę znalazł się na obiedzie u Napoleona pośród głów ukoronowanych. Stosunki Austrii z Francją nie były bardzo przyjazne i oczekiwano otwartego zerwania. Rozmowa przy stole przeszła na dom Austriacki i król Bawarski uważał za stosowne w tych okolicznościach wyrażać się z pogardą o dynastyi Habsburgów:

— Dawniej—mówił—księżęta tej rodziny byli szczęśliwi, bo opierali się na moim domu.

— Cicho bądź, królu Bawarski! — odezwał się Napoleon podrażniony. — Mów o żyjących, lecz nie poruszaj ich przodków.

Żywa ta odpowiedź uderzyła wszystkich, a Wielki książę widział w niej nie tylko obrażoną dumę z powodu zapomnienia o etykiecie i odezwał się do brata: „Odbędzie się wesele,” które też i nastąpiło wkrótce.

Po Restauracyi pewnego razu Wielki książę obiadował u króla francuskiego w ścisłym gronie rodzinnem. Po rozmowie przeszła rozmowa na Napoleona. Księstwo d'Angoulême wyrażali się o nim źle, a król prosił, aby Wielki książę zecheiał wydać o nim swe zdanie, na co tenże ze zwykłą sobie szczerością przyznał mu wyjątkowe zdolności, nie zamilczając i o wadach. Król zaś tak rzekł wtedy:

— Napoleon uczynił wiele dla chwały i dobra Francyi, którą jeżeli uda mi się uczynić szczęśliwą, to tylko wtedy, gdy wstępować będę w jego ślady—

a wskazując na fotel, na którym siadywał cesarz, dodał: — Chciałbym mieć równie dobrą głowę, jak ten, którego miejsce zajmuje i któremu stół ten służył do pracy, lecz czuję się niższym od niego.

Wielki książę przyklasnął tym słowom, wychodzącym z ust królewskich.

C Z Ę Ś Ć II.

Cesarz Aleksander. — Cesarz i Grecy. — Wielki przegląd.—Ambicya księżnej Łowickiej.—Zwierzenia Wielkiego księcia. — Wielki książę Michał.— Wielki książę Mikołaj.—Wieczory w Belwederze.—Sejm.

Cesarz w r. 1822 przejeżdżał przez Warszawę, udając się na kongres do Werony i dni kilka zabił u brata. Podczas tego to pobytu właśnie, Cesarz odezwał się raz do Wielkiego Księcia, że monarchowie powinni zapomnieć o swych osobistych względach i połączyć się przeciw nieprzyjaciołom, którzy mogą zachwiać tronem, to jest przeciw umysłom rewolucyjnym. I wtedy to powziął plan Świętego Przymierza, którego celem było zachowanie szczęścia i pokoju narodów, a którego wprowadzenie w czyn zależało od kongresu w Wiedniu. Była to piękna i szczytna myśl, do której urzeczywistnienia Cesarz Aleksander chciał zachęcić władców europejskich.

W jakiś czas potem odwiedził nas Wielki Książę Michał, powracający ze Stutgardu, gdzie jeździł w odwiedziny do przyszłej swej żony, siostrzenicy króla Wirtemberskiego. Bawił blisko miesiąc i z żalem odjeżdżał, wezwany do Petersburga przez matkę. Młody książę kochał bardzo brata, zazdrościł mu je-

go spokojnego, wojskowego życia. Obecność młodego, wesołego, pełnego życia chłopca, ożywiła trochę otoczenie nasze smutne i ponure.

Koniec jesieni przeszedł spokojnie. Codziennie po obiedzie o godz. 8-ej wieczorem zbieraliśmy się razem. Pisma czytane były skrupulatnie i ważniejsze wypadki polityczne rozbiegane, ponieważ obchodziły one Wielkiego Księcia ogromnie. Obrady Weronńskie zdawały się przepowiadać zmiany jakieś, lecz nikt jeszcze nie przeczuwał strasznej rewolucyi, której Grecya padła ofiarą, a która miała wybuchnąć w Hiszpanii i roznieciwszy pożar na krańcach Europy, sprowadzić powszechną pożogę. Grecyę pozostawiono na pastwę losu, a wielkie państwa Europy przez to opuszczenie zachwiały nadzieje powszechnej wolności. W tym wypadku władcy najwyżsi wierni byli swym przekonaniem i odrzuciwszy ambicyę osobistą, połączyli się dla sprawy ogólnej. To poświęcenie kosztowało niejednego monarchę bardzo drogo, a Cesarz Aleksander więcej, niż inni, musiał walczyć nad sobą i nad swem pragnieniem zdobycia sławy. Przyznał się później bratu, że żadne zwycięstwo nie wydawało mu się tak łatwem do osiągnięcia i że potrzebował całej siły woli, aby się namowom oprzeć, tak np. hr. Capo d'Istria, gorący zwolennik Greków, oddalony został ze dworu za to, że Cesarza do boju skłaniał i wysłany do wód za granicę. Hr. Capo d'Istria, jak mi mówiono, był ozłowiekiem wyjątkowych zdolności. Posiadał on prawie całe zaufanie Cesarza, piastował godność ministra, a z nią wtajemniczony był we wszystkie sekreta państwa.

Cesarz w głębi duszy ukrywał zamiary Katarzyny Wielkiej wznowienia państwa greckiego i wypędzenia Turków z Europy, minister, który o tych marzeniach wiedział, spodziewając się, że zaszcze wypadki pozwolą zamiary te w czyn wprowadzić, może pobudzać do rewolucyi. Lecz Cesarz Aleksander, choć dusza cała rwała mu się do urzeczywistnienia

swego marzenia, umiał się przewyciężyć, i stał się zbawcą Europy, dzięki swej mądrości, doskonałej znajomości położenia. W ważniejszych okolicznościach, w jakich się duch ludzki znaleźć może, umiał wielkiej polityce poświęcić swe plany i chwilowe interesy i obrócić swą władzę i potęgę na zgnięcie fałszywych polityków. On to powziął projekt Świętego Przymierza i zasnuł pierwsze nici ku temu. On to, pragnąc być raczej dobroczyńcą, niż zwycięzcą, starał się tylko o zabezpieczenie ludom spokoju. Współczesny człowiekowi, którego tryumfy krwawo zapisały się na kartach, Aleksander zapełnił je również, lecz czynami sprawiedliwymi i dobroczynnymi, mającymi szczęście powierzonego mu narodu na celu. Potomność, ogarniając okiem okrutne te czasy, postawi na szali czyny tych dwóch monarchów, z których jeden chciał przewrócić świat cały, drugi przez swe mądre rządy chciał go uporządkować. Mówiono dużo o Świętem Przymierzu i zebrano przeciwko niemu broń ogromną, składającą się z sofizmatów i śmieszności. Te oszczerstwa, powstałe w umysłach liberalnych, najlepszym są dowodem wzniosłości tego czynu politycznego. Działać trzeba było bardzo ostrożnie, z jednej strony uspokoić umysły rewolucjonistów, z drugiej strony utrzymać zachwianą równowagę państw europejskich. Któż mógł się tego podjąć, jeżeli nie najpotężniejszy władca na kontynencie? Lecz trzeba było wielu sprzyjających okoliczności, aby zwalczyć mnóstwo zawiści i niechęci.

Za staraniem Napoleona powstał związek między Rosją, Austrią i Prusami, który to związek po jego upadku zajął się zaprowadzeniem w Europie porządku, zburzonym przez niego. Lecz związek ten długo trwać nie mógł. Wywołany potrzebą, podtrzymywany przyjaźnią i wzajemnym szacunkiem monarchów mógł trwać tak długo, jak i oni. Więzy, które ich łączyły, obcemi były dla ich następców, którzy do utrzymania związków tych samych powodów

już nie mieli. Stare ambicje odżyły, rywalizacja narodów wznowiła się i Święte Przymierze, nie podtrzymywane, zaczęło się powoli rozpadać.

Tak Austria, jak i Rosja nie lubiła Prusaków i tylko osoba króla powstrzymywała od zerwania. Cesarz Aleksander miał dla niego dużo osobistej przyjaźni, protegował go od kongresu Wiedeńskiego i dzięki staraniom Cesarza część Saksonii i kraje nad Renem dostały się Prusom. Szlachetność Cesarza sięgała tak daleko, że z własną szkodą odstąpił im Wielkie Księstwo Poznańskie z Toruniem i Gdańskiem, stanowiącym część rozdzielonej Polski, a które to odstąpienie zadało śmiertelny cios jej handlowi. Cesarz Aleksander poznał wkrótce swój błąd, lecz było już zapóźno.

Ileż to razy słyszałem wychodzące z ust Wielkiego Księcia Konstantego wyrazy nienawiści względem Prusaków i pragnienia walki z nimi. Ileż to razy wyśmiewali się obaj z Wielkim Księciem Michałem z dworu Berlińskiego i wogóle z całego porządku tego państwa. Obaj Wielcy Książęta nie powstrzymywali się wcale w obecności brata Mikołaja, który śmiał się z ich żartów, zaciskając zęby. Z drugiej strony władze pruskie, o ile tylko mogły, sprzeciwiały się życzeniom rosyjskim, czy to w składaniu codziennych raportów, czy też przeszkadzając stosunkom handlowym. Widocznem było, że pierwsza lepsza okoliczność, a więzy te zerwane zostaną, jeżeli się dziś trzymały, to tylko z obawy przed ideami demokratycznymi. Związek z Austrią miał więcej przyjaciół, cały ustrój państwowy tego mocarstwa zapowiadał trwalsze przymierze, tem więcej, że ani nienawiści, ani rywalizacji między Rosją i Austrią nie było. Wielcy Książęta o cesarzu Franciszku odzywali się zawsze z wielkim szacunkiem, jak o jego ministrach i dworze. Jednej rzeczy żałowano tylko powszechnie, to jest odstąpienia kopalń w Wieliczce, lecz była to

zbyt blaha rzecz, aby mogła stać się przyczyną zerwania.

W pierwszych dniach stycznia, Cesarz, powracając z Werony, zatrzymał się dni dziesięć w Warszawie. Dowiedziałem się później od Wielkiego Księcia, że jednym z główniejszych przedmiotów obrad była wojna Hiszpanii z Francją, na którą większość ministrów francuskich nie chciała się zgodzić. Wiedziałem zkadınąd, że wojna ta była pragnieniem Cesarza i że chciał, aby ją tylko Francya prowadziła, postanowił ją wypowiedzieć i jeśliby się tylko powiodła, miała przynieść nieobliczone korzyści Francyi i całemu kontynentowi, ponieważ Hiszpania była ucieczką i schronieniem rewolucjonistów z całej Europy. Gdyby zwyciężoną została, idee rewolucyjne zniszczone zostałyby doszczętnie i Europa mogłaby odetchnąć swobodniej.

W czasie pobytu Cesarza Wielki Książę wezwał mnie do siebie i dając mi niewielkie pudełko oznajmił, że przysyła mi je Cesarz, jako dowód szczególnego zadowolenia z wychowania Pawła, przy czem dodał, że nazajutrz przedstawi mnie Cesarzowi, a wtedy osobiście będę mógł mu podziękować. Z formy pudełka domyśliłem się, że zawiera pierścień i rzeczywiście, gdym je otworzył, znalazłem przepyszny soliter otoczony brylantami. Nazajutrz przed obiadem udałem się do apartamentów Wielkiego Księcia, gdzie Cesarz przybył wkrótce. Wielki Książę przedstawił mnie natychmiast, a Cesarz przyjął mnie bardzo łaskawie. Wyraz oblicza jego był szlachetny i majestatyczny, miarkowany dobrocią i słodyczą. Cesarz zarzucił mnie pytaniami o Pawle, następnie o mych losach dzisiejszych, a odpowiedzi me dały powód do rozmowy o naszej rewolucyi i jej skutkach. Zauważyłem, jak bardzo dziś był przeciwny zasadom liberalniejszym, i że zmiana, jaka w nim nastąpiła, była zupełna. Rozmowa trwała blisko pół godziny. Przyznaje się szczerze, że choć znałem już

tego monarchę jako wielkiego i szlachetnego, jako postać o wyższym umyśle, przyznaję, że uderzony byłem sposobem prowadzenia rozmowy, jasnością myśli i doborem wyrażen. Cesarz w kilka dni potem wyjechał.

Dowiedzieliśmy się niezadługo potem, że pomimo opozycyi większości ministrów, wojna przeciw Hiszpanii postanowioną została. Wielki Książę był zachwycony i dowodził, że Cesarz, namawiając na ten krok Francję, oddał jej wielką usługę.

I rzeczywiście, trudno było przypuścić, aby przedsięwzięcie to udać się nie miało, znając doskonale położenie. Francya zajmuje pierwsze miejsce na kontynencie, rozporządza olbrzymimi siłami wojskowymi, otoczona sławą niezwycięzonego Napoleona, miała też wielką przewagę nad narodem bez broni i nad wojskiem rozdwojonem przez rozmaite idee.

Przypominam sobie doskonale, że gdy czytałem o przejściu pod Bidawą, Wielki Książę uderzył z radością pięścią w stół i, zacierając ręce, co robił zwykle, gdy był ucieszony, zawołał:

— Wszystko skończone, naprzód wiara, niech żyje król!

Okrzyk ten powtórzyliśmy za nim wszyscy, ja zaś z głębi mej duszy.

Codziennie z wielką niecierpliwością oczekiwał nadejścia gazet, a skoro tylko je przynieśli, przywoływał mnie i z mapą w ręku śledził ruchy wojsk, często zdziwiony był garstką ludzi zostawioną dla obrony większych obszarów ziemi, których dostatecznie obronić nie mogli, po zastanowieniu jednak mówił, że to tylko dowód słabości nieprzyjaciela i niewielkiej liczby partyzantów.

— Zresztą, Francuzi wiedzą, co czynią — dodawał.

Z zapalem rozprawiał o zdolnościach jenerałów, a nawet wyższych oficerów, ponieważ nie było wybitniejszej osobistości w armii hiszpańskiej, któ-

rejby nie znał, czy to osobiście, czy z reputacji. Pamięć jego była zaiste fenomenalną. Czasy najbardziej oddalone miał świeżo wyryte w pamięci i nie tylko rok, dzień, ale nawet godzinę ważniejszych wypadków pamiętał doskonale. Wielkie manewry zajmowały księcia przez całe lato, co mu jednak nie przeszkadzało zajmować się żywo sprawami Hiszpanii.

Przygotowania do przeglądu wojsk, naznaczonego w Brześciu, mieście położonem nad Bugiem na granicy wschodniej Królestwa Polskiego, w pełnym były biegu.

Miały się zebrać wszystkie pułki, zostające pod wodzą Wielkiego Księcia Konstantego, składające się z 24-ch tysięcy ludzi.

Oddziały obozujące na Litwie i Wołyniu miały ogromne przestrzenie do przebycia, aby stawić się na oznaczony termin.

Szczęściem pułk kirasyerów gwardyi cesarskiej, do którego Paweł należał, posiadał w gronie swem bardzo znacznych oficerów, generał Knoring słynął z zanego i dzielnego charakteru. Otoczenie to natchnęło mnie nadzieją, że podróż ta dodatni wpływ na Pawła wywrzeć może.

Chociaż Wielki Książę wspominał, że syn jego w marszu tym wystąpi jako prosty oficer gwardyi, lecz stało się, wprost inaczej. Mieliśmy swą kuchnię, swą służbę i tysiące udogodnień, których wartość bardzo nam się odczuwać dała w kraju, przez który przejeżdżaliśmy. Podróż do Brześcia trwała blisko dwa tygodnie, wyjechaliśmy z Warszawy przy końcu września (1823 r.). Wielki Książę odprowadził nas do rogatek miejskich, a ujrawszy syna swego na czele oddziału, wzruszył się ogromnie, ucałował go serdecznie, pobłogosławił i udzielił tysiąca rad. Pomimo dość późnej pory roku pogoda dopisywała nam przez całą drogę i podróż przeszła nam bardzo przyjemnie. Przyzwyczajony do gwałtownych

marszów wojsk francuskich, do śpiewów i ordynarnej ich wesołości, uderzony byłem spokojem rosyjskich kirasyerów, ich powagą i porządkiem. Sprawili na mnie wrażenie procesyi mnichów, brakowało tylko habitów, a złudzenie byłoby rzeczywiste. Dowodziło to tylko, jak surowa dyscyplina panowała w armii kroczącej, a pomimo to nigdy pomiędzy żołnierzami nie dały słyszeć się skargi, zażalenia, w czasie pochodu nie zdarzył się ani jeden wypadek pożaru, zgiełku, ani jeden oburzający fakt gwałtu, a co zwykle towarzyszy tak licznym masom. Wielki Książę oddawał się wojsku z całą namiętnością swego charakteru, to też dziś zbierał owoce swej pracy, mogąc Cesarzowi przedstawić armię najlepiej zorganizowaną w Europie.

Paweł niewygody marszu znosił doskonale. Zbudowany był świetnie, postawą przypominał ojca. Wogóle zadowolony z niego byłem zupełnie, pobłażając małym wybrykom, właściwym młodemu wiekowi i wypływającym z braku doświadczenia, przyczem zauważyłem z przyjemnością, że zależność odemnie nie sprawia mu przykrości, traktował mnie nie jak zwierzchnika, przed którym czuje się obawę, lecz jak swego przyjaciela i towarzysza.

W końcu dojechalśmy do Terespoła, granicy naszej podróży, oddalonego od Brześcia niewielką doliną, leżącą nad Bugiem. Jest to nędzna miejscina, zaludniona przeważnie przez Żydów. Myśmy zamieszkali w Terespolu, Wielki Książę zaś w Brześciu, w domu tak ciasnym, żeśmy się w nim pomieścić nie mogli. Jeden pokój zachowano dla księżnej Łowickiej. Wszystkie te kwatery i mieszkania sprawiały na mnie wrażenie rozbicia się wpośród ruin, a Brześć jednak oznaczonym był na mapie, jako jedno z ważniejszych miast.

Na przybycie Cesarza czekać jeszcze musieliśmy blisko dwa tygodnie, a przez ten czas zdążyły przymaszerować wojska z miejscowości nawet naj-

bardziej oddalonych. Obaj Wielcy Książęta, Michał i Mikołaj, przyjechali także. Wielki Książę Michał miał ztąd jechać na spotkanie swej "narzeczonej do granicy i czekał tylko na wiadomość od niej.

Wielka ta rewia, nie mająca żadnego celu politycznego, dała powód dziennikarzom do rozmaitych wniosków, które każdy rozszerzał i motywował podług swego zapatrywania, w rzeczywistości zaś Wielki Książę chciał się pochwalić przed bratem swoim wojskiem, Cesarz chciał zaś okazać mu swe najwyższe zadowolenie. W grę tu nie wchodziła ani Francya, ani Grecya i wszystkie marzenia pseudopolityków skończyły się tylko na marzeniach. Rewię tę uświetnił swoją obecnością młody syn króla pruskiego.

W kilka dni potem Cesarz odjechał na Ukrainę zktąd miał się udać na granicę Węgier, gdzie zamierzał spotkać się z cesarzem austryackim, następnie zaś obejrzeć miał nowe forty w Zamościu. Powoli wojska rozchodząc się zaczęły, wróciliśmy i my do domu po półtoramiesięcznej nieobecności. Paweł sprawował się dobrze, jednakże o wiele lepiej byłoby, gdyby wejście jego w świat nastąpiło trochę później.

Na spotkanie Cesarza do Zamościa wyjechał Wielki Książę z żoną, która wszelkimi sposobami starała się podbić swego szwagra. Wyjazd ten wywołał znów tysiące komentarzy, tem więcej, że Cesarz w Zamościu miał zabawić tylko dwa dni, jasnym więc było, że podjęty został z jakimś zamiarem. Zbliżające się wesele Wielkiego Księcia Michała wywoływało prawdopodobnie ten pośpiech.

Wielki Książę powróciwszy do Warszawy, pomimo usiłowań nie umiał ukryć niepokoju i oczekiwania, co Cesarz postanowi, wieści zaś, jakie chodziły po mieście o zbliżającym się wyjeździe księstwa do Petersburga rozdrażniały go bardzo.

W końcu Wielki Książę oznajmił, że do Petersburga nie jadą wcale.

Postanowienie, jakie Wielki Książę powziął w kwestyi podróży do Petersburga, sprzeciwiało się rozkazowi, jaki otrzymał od matki, która postawiła kwestyę na ostrzu noża. Wielki Książę zaledwie miał czas zdążyć na wesele. Wyjechał w humorze najgorszym pod słońcem. W wigilię wyjazdu wezwał mnie do siebie i tak się odezwał:

— Proszę, siadaj pan, zdaje mi się, że wyspowiadawszy się panu, lżej mi się na duszy zrobi i ta przeklęta podróż, do której mnie zmuszono, nie będzie mi się wydawała tak straszna. Przypuszczałem, że po tem wszystkiem, czego się zrzekłem, pozostawią mnie w spokoju. Wesele Michała również dobrze bezemnie odbyć się mogło, on sam zaś wie najlepiej, jak uczucia moje dla niego są szczerze i nie ulegną zmianie, czy będę tuż przy nim, czy zdała od niego. Lecz matka kazała, słuchać muszę. Mogłeś już dawno zauważyć, kochany hrabio, jak bardzo mało dbam o stanowisko, do którego urodzenie prawo mi daje. Przez małżeństwo straciłem prawa do tronu i gdyby, czego broń Boże, nieszczęście jakie spotkało Cesarza, nie ja po nim nastąpię, lecz Mikołaj, o ile małżeństwo i jemu nie stanie na przeszkodzie. Gdybym miał inne usposobienie, mógłbym się temu sprzeciwić, lecz nie chcę wszczynać burzy w państwie, którego najpierwszym i najwierniejszym jestem synem. Zrzeczenie się moje tronu spoczywa w kieszeni Cesarza, a z której nie powinno wyjść nigdy, chyba w chwili jakiegoś nadzwyczajnego wypadku. Prawie w równym wieku jesteśmy na szczęście i przypuszczam, że pierwej życie zakończę. Sądziłem, że słowo moje wystarczy, lecz żądano podpisu, zgodziłem się i na to, poświęcając wszystko, czego bynajmniej nie żałuję.

— Dlaczego więc teraz tak gwałtownie żądają przyjazdu mego do Petersburga? Pragnę spokoju tylko, niczego więcej. Czy pan myślisz, że pomimo tajemnicy, w jakiej to wszystko jest czynione, plotki

z tego powodu nie powstaną. Jakież stanowisko wyznaczają mi na ślubie? Stan zdrowia żony mej jest zatrważający i obawiam się, aby nie dostała ataku nerwowego, którego świadkiem raz już pan byłeś, a który tyle mnie kosztował. Jedyłą mą pociechą jest Paweł. Odjeżdżam i panu powierzam żonę moją i syna!

Chwila, spędzona u niego, wyrwała w moim umyśle niezatarte niczem ślady. Nie zapomnę nigdy, jak ten Wielki książę, stworzony na to, aby zająć jeden z najpotężniejszych i najsilniejszych tronów na świecie, leżąc na nędznym, polowym łożku, innego nie używał nigdy, opowiadał mi to; nie zapomnę nigdy głosu jego, chwilami wzruszonego, chwilami rozgoryczonego, ani błyszczących oczów jego, które, w komnacie słabo oświetlonej, jaśniały, jak najsilniejsze światło.

I znów zostaliśmy sami z księżną Łowicką. Wielki książę w Petersburgu bawił bardzo krótko i wrócił do Belwederu znudzony i zmęczony. Stan zdrowia księżnej pogorszył się znacznie, groziło ono ruiną, do czego przyczyniła się potrosze i sama księżna; są bowiem natury, które nigdy z niczego zadowolone nie są, choć często powodów po temu nie mają.

Takie usposobienie właśnie miała księżna. Nigdy nie zdarzyło mi się widzieć bardziej zmiennej istoty, zmienność ta pochodziła z wygórowanej egzaltacji, z gorącej wyobraźni, którą natura obdarzyła to słabe ciało, i miłości własnej, którą okoliczności bardzo w niej rozwinęły.

Podobieństwa charakteru i usposobienia między Wielkim księciem i żoną jego nie było najmniejszego. Wielki książę był szczery, otwarty czasami, aż do brutalności; księżna zaś nigdy szczerą być nie umiała, mowa jej sprawiała zawsze wrażenie czegoś niepewnego i nieskończonego. Książę był żywy, gwałtowny, łatwo unoszący się, lecz gdy pierwsze

uniesienie minęło, okazywał zawsze dobroć swą zwykłą i wielkie poczucie sprawiedliwości; księżna zaś, nauczona od dzieciństwa otaczać się nimbem skromności i słodyczy, kryła w głębi duszy gwałtowność i zaciętość. On wesoły, często do pustoty, nie przebierający wtedy w wyrażeniach, ona zawsze chłodna i sztywna, pozwalająca sobie najwyżej na uśmiech i często okazująca zgorzelenie na widok wesołości swego męża. On ubóstwiający swą ojczyznę, dumny z jej chwały i korzystający z każdej okoliczności, aby okazać pogardę swą dla arystokracji polskiej, ona zaś duszą całą przylgnęła do niej. On pogardzający wszystkiemi nadprzyrodzonymi zjawiskami, któremi umysł ludzki tak bardzo zajmować się lubi, ona zaś całe dnie nad nimi spędzać mogła. Wielki książę, który codzień sypiał po obiedzie, zjawiał się w salonie dopiero około godziny 9-ej, właśnie wtedy, gdy księżna, zmęczona całodzienną nudą, była bardzo spiącą i nareszcie on nie wypuszczał z ust cygara, którego zapachu ona znosić nie mogła.

Wszystkie te przeciwności charakteru codziennie prawie wychodziły na jaw i rezultatem ich była ciągła walka, której ofiarą paść musiała koniecznie strona słabsza.

Kiedy księżna Łowicka po silnym ataku nerwowym powoli przychodzić do siebie zaczęła, nie znalazła nikogo, przed kim wywnętrzyłaby się mogła, z wyjątkiem Fawickiego. Powiadają, że dusze nieszczęśliwe prędzej zbliżają się do siebie, a i Fawicki wskutek wielu przejść stał się pół waryatem. Panowała pomiędzy nimi jakaś spójnia wygórowanej egzaltacji. Pociągnął on księżną za sobą, wczytując się z nią w dzieła, traktujące o rzeczach nadprzyrodzonych, zajmując się ich rozbieraniem i płacząc się w swych dowodzeniach coraz bardziej.

Były to czasy magnetyzmu i jasnowidzenia. Wobec księżnej nikt nie ośmielił się jednym słowem

w wątpliwość podać wiarogodności tych zjawisk, gdyż wywoływał wybuchy gniewu, nawet sam Wielki książę w obecności jej tego tematu nie poruszał nigdy. Dociekania te były dla jej umysłu bardzo niebezpieczne, umysłu, dla którego właśnie jedynym lekarstwem był wielki spokój, zajęcia nie zbyt męczące i lektura, któraby właśnie wpływała kojąco na podnieconą wyobraźnię.

Wtedy zjawia się nowa osobistość, która dokończyła dzieła, zaczętego przez Fawickiego w sposób, który jaknajgorzej wpłynął na zdrowie księżnej. Był to niejaki hr. Iliński, który przez swą zarozumiałość i dumę stał się głośnym w całej Polsce i Rosyi. Szalony sposób życia, jaki prowadził, zrujnował go zupełnie, otaczał się tłumem dworaków, trzymał własny balet i aktorów, jednym słowem, żył jak udzielny książę. Dwukrotnie rozwiedziony, ożenił się po raz trzeci z panią Crac, modystką z Petersburga, którą z po za lady kupieckiej posadził na swój tron operetkowy. Wyjątkowym sposobem człowiek ten dostał się na dwór cesarza Pawła, i wtedy to poznał go Wielki książę Konstanty, a ponieważ bawił go swą osobą znakomicie, wzywał go często do siebie. Zabawny ten oryginał, zarówno głupi jak zarozumiały, wpadłszy w ręce Jezuitów, tak się zmienił, że stał się strasznie nabożnym, codziennie komunikując i spędzając większą część dnia w kościele, lecz zbytku i blasku zewnętrznego się nie wyrzekł.

Gdy za jakimś interesem przybył na dni kilka do Warszawy, Wielki książę, uradowany z jego przybycia, tembardziej, że nowa ta szata, w jaką się przyoblekł, czyniła go jeszcze zabawniejszym, zaprosił go na obiad

Skutek tych odwiedzin był zupełnie nieoczekiwany, księżna Łowicka tak się przejęła jego teoryjami ascetycznymi, że stała się gorliwą jego wyznawczynią i prawie dzień cały przebywała w towarzystwie hrabiego.

I oto filozofia porzucona została dla biblii, jaśnowidzenia dla ks. Hohenlohe, a Fawicki dla hrabiego. Nowe te wrażenia miały straszny wpływ na zdrowie księżnej. Ciągłe przebywanie w kościele, odwiedzanie szpitali, zepsute powietrze przy chorych wyczerpywały jej siły. Perswazye męża nie wywierały najmniejszego skutku, najgorsze zaś było ciągłe przesiadywanie w ponurej kaplicy Belwederu, z której murów sączyła się woda, a gdzie księżna pozostawała po kilka godzin zatopiona w modlitwie.

Hrabia Iliński przedłużył, o ile tylko mógł, pobyt swój w Warszawie i wyjechał dopiero na początku zimy. Biedny Fawicki znieść go nie mógł.

Lato przeszło strasznie nudnie, tem więcej, że księżna Łowicka była coraz słabsza, coraz częściej skarżyła się na ból głowy i zaburzenia żołądkowe, do czego przyłączył się jeszcze kaszel. Zaniepokojony Wielki książę, wezwał doktora jednego i drugiego, lecz księżna patrzeć na nich nie chciała, i poprawa nie następowała. Przypadek sprowadził w tym czasie do Warszawy nadwornego doktora króla pruskiego, człowieka o głośnej sławie lekarskiej. Radziłem Wielkiemu księciu, aby wezwał go, lecz Wielki książę ani słuchać o tem nie chciał. Dopiero gdy zaczęły się pojawiać wyraźne symptomy pomieszczenia zmysłów, silny rozstrój nerwowy, Wielki książę zgodził się za namową nadwornego swego lekarza Pigla, Francuza, którego księżna znieść nie mogła.

Doktorzy po naradzie zalecili księżnej Ems. Pora była spóźniona, był to bowiem początek wrześnie, lecz liczyli więcej na zmianę miejsca i sposób życia, niż na działanie wód. Wielki książę nie wahał się ani chwili i natychmiast szykować kazał do drogi. Wyjazd jednak, nie wiem dlaczego, opóźniony został o dwa tygodnie. Wielki książę napisał do cesarza, prosząc o pozwolenie jechania za żoną, gdy ukończy objazd Litwy i Wołynia.

Kuryer, wysłany do Petersburga, wrócił z po-

zwoleniem natychmiastowego wyruszenia w drogę. Miesięczny pobyt w Ems nie poprawił jej zdrowia. Ztąd pojechano do Koblencyi, gdzie nastąpiło spotkanie z księżną Orleańską, siostrą Wielkiego księcia, z jej mężem i z królem Wirtemberskim. Ztąd pojechali do Moguncyi, następnie do Frankfurtu, gdzie zatrzymali się tydzień, poczem do Wejmaru dla odwiedzenia siostry i do Drezna, gdzie Wielki książę miał zamiar poradzić się słynnego Kreissiga, nadwornego lekarza króla pruskiego.

Wkrótce otrzymaliśmy wiadomość, że księżna Łowicka ma się gorzej i że książę wobec tego nie może oznaczyć chwili swego powrotu.

Samotność nasza przerwaną została przejazdem Wielkiego księcia Mikołaja z Berlina do Petersburga, dokąd spieszył dla dopilnowania budowy fortec jemu powierzonych. Zachwycony byłem zdarzającą się sposobnością poznania bliżej tego, w którego ręce cesarz składał losy państwa, a którego charakter musiał przecież odpowiadać godnie tak ciężkiemu zadaniu, to też nie dziwnego, że ciekawość moja silnie była pobudzona. Zwykle obiadował z nami i bardzo często po obiedzie zatrzymywał nas przy sobie, nie zważając na to, że każdy z nas miał swe zajęcia.

Różnica między jednym i drugim bratem uderzała odrazu w oczy, postępowanie, przyzwyczajenia, otoczenie Wielkiego księcia Konstantego były wprost przeciwne zwyczajom Wielkiego księcia Mikołaja, a różnica ta, począwszy od nich samych, kończyła się na najnędniejszym z ich sług, różnica ta nawet rozciągała się do przedmiotów, służących do ich osobistego użytku, tak np. powozy Wielkiego księcia Mikołaja przypominały cesarskie, Wielkiego księcia Konstantego zaś jak zwykłych śmiertelników. Drobnostka to była, lecz w niej odbijał się doskonale charakter obu braci.

Postawę Wielki Książę Mikołaj miał poważną i majestatyczną, przyczem słodką i pociągającą, po-

siadał rzadką sztukę umiejętnego postępowania z ludźmi, traktując ich stosownie do zasług. W rozmowie okazywał wiele wykształcenia i znajomości przedmiotu, o którym mówił. Czynny, nadzwyczaj pracowity, nie poświęcał na sen więcej czasu, jak tylko tyle, ile konieczność wymagała, i załatwiwszy sprawy bieżące, czuwał do późna w nocy w gabinecie, pracując nad swem własnem wykształceniem.

Część działu administracyjnego, powierzona mu przez Cesarza, znakomicie spełniana była, szczególnie zaś wchodząca w zakres inżynierji. Opowiadało o nim, że był zręczny, sprytny i przenikliwy. Powściągliwy i umiarkowany nie dopuszczał się nigdy żadnych wybryków młodości, które ludziom tak wysoko położonym uchodzą bezkarnie, dając zły przykład niższemu od siebie. Takim był Wielki Książę Mikołaj, którego Cesarz z przekonania i sympatyj chciał uczynić swym następcą.

Wielki Książę jednak mało miał zwolenników, większość, szczególnie zaś między wojskowymi, była za Wielkim Księciem Konstantym.

Ostatecznie w tych wielkich zmianach, których można było oczekiwać wkrótce, trzeba było wiedzieć, jak się Wielki Książę Konstanty zapatruje na nie. Znałem go jako bardzo silnie przywiązanego do kraju i wątpić nie można było, że nawet chwili wahać się nie będzie i poświęci siebie dla jego dobra, z drugiej znów strony znałem jego słaby, ulegający wpływom charakter, którym silniejsza czyjaś wola łatwo zawładnąć mogła, rozbudzając ambicję i pragnienia. To też środki, jakie Cesarz Aleksander przedsięwziął, aby koronę umieścić na głowie Mikołaja, z pominięciem Konstantego, były niedostateczne i mogły stać się powodem rozdziału na stronnictwa, tak niebezpiecznego dla państwa.

Oprócz tego Wielkiemu Księciu Konstantemu proponowaną być miała inna ponęta, o której już od-

dawna wiele wpływowych osób myślało, mianowicie w Polsce istniała partya, chcąca ofiarować mu koronę. Plan ten, któryby zmniejszył potęgę Rosyi i położył zaporę między nią i resztą Europy, pociągał wielu, w grę wchodziła tu także myśl, że Wielki Książę, nie mając dzieci, byłby tylko przejściem dla nowej dynastyi.

Ale nie zastanawiam się dłużej nad temi zagadnieniami, których rozwiązanie czas przyniósł i powracam do Wielkiego Księcia Mikołaja. Po trzech dniach pobytu w Belwederze odjechał, pozostawiając po sobie wrażenie zachwytu.

W jakiś czas potem przysłała wiadomość, że księżna Łowicka jest zdrowszą, i że wkrótce wróca wszyscy. Wielki Książę o kilka dni wyprzedził jej przyjazd, na który najspokojniej oczekiwał w Belwederze, gdy przybył naraz posłaniec z wieścią, że księżna zachorowała i jechać dalej nie może. Wielki Książę pojechał natychmiast, lecz było to chwilowe osłabienie, wywołane skutkiem zmęczenia drogą. Księżna Łowicka powróciła w stanie zdrowia niewiele co lepszym od tego, w jakim wyjeżdżała. Zmiana powietrza, nowe przedmioty, rozrywka i rozmaitość, które tak dodatnio wpływają na chore umysły, wszystko to skutku nie wywarło, jedna rzecz tylko zadowolila jej ambicyę, to okoliczność, że król pruski kazał w swem państwie oddawać jej honory panujących. Przyjęcie to, i to, jakiego doznała w Moguncyi od króla Wirtemberskiego i księżnej Orańskiej, dodatkowo wpłynęły na chory jej umysł, pocieszając po bezowocnych staraniach na dworze Petersburskim. Przypomina mi to pewne zdanie, które słyszałem z ust jednego ze służących przed wyjazdem jej do Ems:

— Uzdrowić ją mogą tylko wody Newy.

Życie w Belwederze stało się jeszcze smutniejsze i nudniejsze. Księżna Łowicka była ciągle chora, wmawiając zaś w siebie, że jest zdrową zupeł-

nie, dopuszczała się wybryków, które stan jej pogarszały. Wielki Książę jednakowo był dla niej dobry, uważny i usłużny, w końcu przyzwyczajawszy się do choroby żony, przestał się nią przejmować. Był to, co prawda, najlepszy sposób postępowania, ponieważ gdyby był niezadowolony, dałby tem poznać, że omylił się w swym wyborze, a na to tylko czyhali nieprzyjaciele jego.

Wieczory stały się nieskończenie długie i puste. Wielki Książę coraz więcej pożywał samotności. Najczęściej spędzaliśmy je w mniejszych pokojach, rzadko kiedy w dużej sali. Pewnego razu Wielki Książę oznajmił mi, że jeżeli sobie życzę, mogę na nie przychodzić z Pawłem. Naturalnie, że z pozwolenia tego skorzystałem i opiszę jeden z takich wieczorów, a to wystarczy, aby mieć pojęcie o innych.

W olbrzymim czworokątnym salonie znajdował się rodzaj niszy półokrągłej, w której stała kanapa, przed kanapą stół, na którym podawano herbatę, a księżna Łowicka rozkładała robotę. Na stole stały cztery świeczniki, nad kanapą wisiało lustro, po prawej stronie stołu był komin, na którym wieczny ogień się palił, a po lewej dla symetrii piec. Gdy oznajmiono nam, że Wielki Książę jest już na sali, udawaliśmy się tam, Paweł z gazetami, które codziennie własnoręcznie ojcu przynosił, Wielki Książę z księżną siedzieli na kanapie. Witali nas zawsze, salutując po wojskowemu, słowami:

— Bądźcie, panowie, zupełnie swobodni.

Znaczyło to, że możemy siadać. Gdyśmy zasiedli wszyscy wokoło stołu, Wielki Książę głośno odczytywał gazety polskie, wykrzywiając się niemiłosiernie przy trudniejszych wyrazach i obracając później wszystko w śmiech. Księżna znudzona chciała cokolwiek z nami porozmawiać, lecz Wielki Książę przerywał jej, mówiąc:

— Moja kochana, ucisz się.

Lecz gdy to nie poskutkowało, dodawał:

— Moja kochana, ucisz się i słuchaj mnie, nieznosna z ciebie kobieta.

Milczenie zapanowało po tem, a księżna Łowicka kazała podawać herbatę. Olbrzymi lokaj, były kirasyer, przynosił na tacy przybory do herbaty, za nim szedł mały Grek z ciastkami, którego Wielki Książę znalazł na drodze, wracając z wyprawy tureckiej. Wielki Książę czytał ciągle, księżna podała mu herbatę, a on, nie przerywając czytania, opróżniał ją powoli. Po kolei dostawaliśmy herbatę, przyczem nie obeszło się bez podziękowań i powstawał szmer, na który skarżył się Wielki Książę żartobliwie. Po skończonem czytaniu i wypitej herbacie rozpoczynała się rozmowa, trwająca tylko chwilę, gdyż Wielki Książę korzystał z najmniejszej okazji, aby wtrącić opowiadanie jakie, później drugie, przyczem otaczający tylko słuchać mogli. Podczas tego księżna albo coś haftowała, albo przeglądała książkę, gdy zaś chciała przerwać Wielkiemu Księciu, ten wołał:

— Zaraz, zaraz, tylko skończę!

I nigdy nie kończył.

Wielki Książę opowiadał cokolwiek rozwlekłe, ale zajmujące i oryginalnie. Dla osób, nieznających wyższego świata, nie mogło nic być ciekawszego, jak opowiadania jego, przesuwały się bowiem w nich wszystkie osoby, jakie tylko znał, czy to na szerokim świecie, czy pośród rodziny. Był to zbiór faktów mało znaczących, odnoszących się do wielu ważnych faktów politycznych, których był świadkiem. Gdy zbiór tych opowiadań wyczerpał się, Książę powtarzał je po raz drugi i trzeci, tak, że na pamięć można było wiedzieć, co opowiadać będzie. Niekiedy, ale to bardzo rzadko, księżna Łowicka proponowała głośne czytanie, które przerywało opowiadanie Wielkiego Księcia, lecz wtedy zjawiała się niedogodność innego rodzaju, księżna lubiła bowiem wdawać się w dysputy i jedna strona przeczytana dawała powód

do dociekań, tak bardzo filozoficznych, że w końcu nietylko my, ale i ona sama nie rozumiała, a wtedy nie znajdując wyjścia z tych rozumowań, powtarzała tylko:

— Panowie rozumieją mnie i domyślają się, co chcę przez to powiedzieć.

Przytakiwaliśmy zawsze, a Wielki Książę, który słuchał z niecierpliwością tych dysput, oddychał na zakończenie głęboko i z widoczną ulgą, że z wyżyn filozofii spadł przecież na ziemię. To przypomina mi zabawne zdarzenie w czasie pobytu Cesarza w Warszawie, a który rozmawiał chętnie z księżną Łowicką, lecz ta, chcąc mu okazać swe wykształcenie, zwracała zawsze rozmowę na kwestye metafizyczne. Cesarz wtedy przez grzeczność tylko udawał, że słucha, od czasu do czasu wtrącając słów kilka. Pewnego razu Wielki Książę obecny jednej z takich rozmów, tak się odezwał:

— Czy wiesz na czem się to skończy? jedno nie rozumie tego, co mówi, a drugie nic nie słyszy.

Nareszcie o godzinie 10 tej, ponieważ księżna zalecone miała wczesne chodzenie spać, Wielki Książę podnosił się, całował żonę i żegnał się z nami.

Przybycie Wielkiego Księcia Mikołaja z żoną przerwało monotonię tych wieczorów. Wielka księżna była chora i zamierzała czas jakiś odpocząć w Warszawie. Ponieważ Belweder był zamyśły, aby pomieścić tylu gości, Księstwo zamieszkali pałac Brühlowski, a Wielki Książę Mikołaj z żoną Zamek. Pomimo serdecznych stosunków, jakie panowały między braćmi, Wielki Książę z radością pożegnał dostojnych gości i wrócił do swego kochanego Belwederu. Od tej chwili do epoki sejmu w maju 1825 roku żaden z ważniejszych wypadków się nie wydarzył.

Sejm ten, w którym Polacy tyle nadziei pokła-

dali, opóźnionym został o cały rok, chociaż podług praw konstytucyi zwoływanym być winien co dwa lata; powodem tego opóźnienia było niezadowolenie Cesarza z obrad sejmu ostatniego, a co dowodziło, że Cesarz czuje się w prawie zmienić ustawę konstytucyi, i że chce, aby wszystko szło po jego woli. Dowodem tego był wydany ukaz, którego mocą posiedzenia sejmu, podług praw konstytucyi odbywać się mające publicznie, teraz miały miejsce przy drzwiach zamkniętych. Ukaz ten wywołał niezadowolenie pomiędzy Polakami, szczególnie zaś między kobietami, które straciły sposobność zabłyszczenia strojem i obdarzenia oklaskami wybranych swych mówców. W żadnym kraju kobiety nie objawiały tyle patryotyzmu, co w Polsce. Polki mają więcej temperamentu i ognia, a moda i kokieteria rozegzaltowują je w wysokim stopniu. Uczucie miłości ojczyzny jest szlachetne i godne pochwały, ono to staje się powodem tysiąca poświęceń, lecz trzeba, aby poświęcenia te czynione były rozumnie; jeżeli miłość ojczyzny polega tylko na rozpamiętywaniu sławnej przeszłości, rozgrzać może, w innych okolicznościach powinna być spokojną i zastosowywać się do nich. Polska była silną i potężną, gdy wielkość polegała na męż-twie i żelazie, lecz gdy Europa zaczęła się cywilizować, Polska została w tyle, zasklepiając się w swych arystokratycznych poglądach. Wielcy panowie, zamknięci w swych olbrzymich pałacach, myśleli tylko o sobie i nie zwracali uwagi na to, co się w koło nich działo. Oto przyczyna rozbiorów i wszystkich nieszczęść, które te rozbiory pociągnęły za sobą. Czując się sama zbyt słabą, Polska szukać zaczęła pomocy obcych, głównie Napoleona, dopiero Polacy oszukani przez niego, zrozumieli, że niema dla nich ratunku. Cesarz Aleksander wspaniałomyślnie obdarzył ich łaskami, które powinny były zupełnie zadowolić ich, otrzymali bowiem tytuł królestwa, konstytucyę, nadającą im o wiele więcej praw, niż konsty-

tucya z r. 1792. Otrzymali artyleryę, umundurowanie, a państwo utrzymywało ją własnym kosztem. Tymczasem zamiast wdzięczności, żywili dla swego dobroczyńcy nienawiść i nie widząc przeszłości, marzyli o przyszłości, która nigdy ziścić się nie mogła. Jednem słowem, patryotyzm Polaków był raczej nienawiścią względem tych, którzy przywołali ich do życia politycznego.

Cesarz w Warszawie spędził sześć tygodni, a przez ten czas wydał tylko trzy obiady galowe, zwykle zaś jadał u brata w pałacu Brühlowskim. Tylko jeden Paweł dostał się zaszczytu zasiadania przy wspólnym stole.

Ranki upływały na manewrach, wieczorem odbywały się przyjęcia.

Sejm zakończył się ku ogólnemu zadowoleniu wszystkich, prace ubiegłych lat dwóch i przyszłych powierzone zostały dwom izbom, którym przeznaczono tyle robót, że zaledwie ukończyć je mogły.

Po wyjeździe Cesarza wyjechała zaraz księżna Łowicka z Pawłem do Karlsbadu. I teraz uwolniony byłem od obowiązku towarzyszenia w tej podróży, a ponieważ w tym czasie wydano we Francyi prawo zwrotu emigrantom skonfiskowanych majątków, prosiłem Wielkiego Księcia o pozwolenie pojechania do kraju, na co Wielki Książę zgodził się chętnie, zastrzegając sobie tylko rychły powrót.

C Z Ę Ś Ć III.

(1825—1830).

Podróż do Francyi.—Smierć Cesarza Aleksandra.—Spisek w r. 1825. — Abdykacya Wielkiego Księcia. — Cesarz Aleksander sądzony i usprawiedliwiony przez Wielkiego Księcia Konstantego.—Mikołaj i Konstanty.—Ogłoszenie abdykacyi. — Spisek Polaków. — Grecy. — Nawara. — Podróż do Francyi (1829).—Wielki Książę i syn jego.—Wielki Książę i teść jego. — Pobyt Cesarza w Warszawie.

We Francyi bawiłem trzy miesiące. Podróż powrotną do Warszawy odbyłem szczęśliwie, pomimo późnej pory roku.

Podczas gdy na ostatniej stacyi przed stolicą, przepręgano mi konie, pocztmistrz zbliżył się do mnie i spytał strwożonym głosem, czy wiem o nie-szczęściu, jakie spadło na kraj. Przestraszyłem się bardzo, ponieważ w pierwszej chwili pomyślałem o Wielkim Księciu.

— Czy Wielki Książę zdrów? — zawołałem prędko.

— Zdrów — odpowiedział pocztmistrz — aleśmy stracili ojca naszego najlepszego. Cesarz nie żyje, wieści te przynoszę z Belwederu.

Odetchnąłem, bo choć szczerze żał mi było Cesarza Aleksandra, lecz istniała dla mnie ogromna różnica w stracie jednego a drugiego. Spytałem się

go jeszcze, czy Wielki Książę jest jeszcze w Warszawie.

— Tak—odpowiedział mi—przecież go dziś rano widziałem.

Odpowiedź ta nasunęła mi wątpliwość co do prawdziwości owej wieści, a to dlatego, że trudno mi było przypuścić, aby Wielki Książę natychmiast do Petersburga nie pojechał.

Choć późno już było, gdy stanąłem w pałacu Brühlowskim, udałem się jednak zaraz do generała Krywcowa, naczelnika wojskowej kancelaryi Wielkiego Księcia, aby zasięgnąć od niego wieści, a która, niestety, prawdziwą była. Wielki Książę wiedział o niej już od dni kilku, lecz przed publicznością trzymana była w najgłębszej tajemnicy, a co wytlómaczyło mi nieświadomość ludu w czasie mej drogi.

Nazajutrz rano pojechałem natychmiast do Belwederu i zaanonsowałem się Wielkiemu Księciu, który wezwał mnie natychmiast do siebie. Był sam, nieubrany, oblicze jego nosiło ślady wzruszenia i nieprzespanych nocy. Ucałował mnie serdecznie na powitanie i zapewniwszy o radości, jaką czuje na mój widok, powrócił do tematu, który jedynie go zajmował:

— Rozumiesz chyba, kochany hrabio, w jak bardzo delikatnem położeniu się znajduję. Wszak wiesz o tem, że panować nie mogę i nie powinienem; lecz przekonanie to moje trudności jeszcze nie usuwa, a ból i cierpienie po stracie brata, łącząc się z tylu kłopotami, przyprawiają mnie o chorobę. Nie wiem sam chwilami co się ze mną dzieje. Posłałem już Mikołajowi piśmienną przysięgę na wierność, jako nowemu monarche, a pomimo to odbieram z wielu stron korespondencye, w której uznają mnie za pana, a które odsyłam do Petersburga nierozpieczętowane. Pragnę być tylko pierwszym poddanym brata mego i trzeba, ażeby to stało się wszystkim wiadomem.

— Wasza Cesarska Wysokość — rzekłem, obawiając się nazwać go najjaśniejszym panem, po tem, co mi powiedział, nie wątpię ani na chwilę, że zobowiązania, jakie Wasza Cesarska wysokość uczynił, będą dla niej zawsze święte, lecz wyrazić muszę zdziwienie me na widok Waszej Wysokości w Warszawie, gdyż sądziłem, że obecność Waszej Cesarskiej Wysokości w Petersburgu jest konieczną.

— Nie—odpowiedział Wielki Książę—Belwederu opuścić nie mogę, zmarły Cesarz powierzył mi to stanowisko, a ja ani mogę, ani chcę je opuścić. Zostając tu, nie dam powodu do podejrzeń i fałszywego tłumaczenia mych czynów, wtedy gdy postępowanie me powinno być jasne i szczerze.

Wielki Książę długo rozwodził się jeszcze nad niepokojem i obawą, jakie w nim wzbudziła śmierć tak bardzo niespodziewana, wreszcie pożegnał mnie, powtarzając:

— Pogadamy jeszcze o tem.

A nowa ta rozmowa miała miejsce dopiero w kilka dni potem, gdyż Wielki Książę apartamentów swych nie opuszczał wcale, dzień cały zajęty rozsyłaniem kuryerów i odsyłaniem listów, których masę odbierał z różnych części państwa.

Śmierć monarchy w państwie samowładnem jest zawsze chwilą krytyczną i przełomową.

Cesarz Paweł, sam będąc ofiarą braku prawa do następstwa, postanowił wydać takie, jakie istniało w całej Europie i nadać prawu temu siłę i moc.

Gdy Wielki Książę Konstanty postanowił zrzec się tronu, Cesarz Aleksander początkowo nie chciał słyszeć o tem, mówiąc, że dobro państwa wymaga, aby prawa zachowywane były, lecz Wielki Książę Konstanty umiał go przekonać, że nie czuje się zdolnym do zajęcia tak wysokiego stanowiska i do zrzeczenia się osobistego szczęścia.

Obojętność ta na najrozumniejsze prawo, jakie wydał Cesarz Paweł mogła wywołać niezgodę w ro-

dzinie cesarskiej i niezadowolenie w sferze wyższej w Petersburgu i Moskwie, która już spiskować zaczęła.

Właściwy naród w nieświadomości swej czuł się bardzo szczęśliwym i trzymał się zdala od wszelkich knowań i spisków. Spiskowcy ułożyli zamach na rodzinę cesarską i oczekiwali tylko sposobnej chwili na wprowadzenie w czyn swych zamiarów. W szczegóły tego zamachu wdawać się nie będę, ponieważ zostały one ogłoszone w czasie śledztwa, wspomnę tu tylko, że Cesarz wiedział o istnieniu spisku, w zawiązaniu którego polityka obcych dworów nie miała rolę odegrać musiała i że właśnie z powodu tego spisku pojechał na Krym. Liczył bowiem na to, że wyjazdem swym uśpi podejrzenia spiskowców, którzy domyślać się zaczęli, że zamiary ich odkryte zostały. Z drugiej zaś strony pragnął na chwilę wyrwać się z otoczenia szpiegów i nudnych ambasadorów.

Wielki Książę wiedział również o spisku i czynnie dopomagał bratu w śledzeniu tajnych związków. Najgłębsza tajemnica okrywała wszystkie środki, jakie były podjęte przeciw spiskowcom, a ci odkryci i poznani dążyli ślepo ku własnej zgubie. Miano we właściwym czasie szaleńców tych zaaresztować, lecz niespodziewana śmierć projektów tych nie pozwoliła wykonać.

Wielki Książę, jak już o tem wspominałem, doskonale powiadomionym był o całym sprzysiężeniu, i choć nigdy, jak można się było spodziewać, nie wspominał mi o niem. będąc jednak tak blisko dopuszczonym do osoby jego, mogłem powziąć pewne podejrzenia. Tak dalece jednak umiał wszystko zachować w tajemnicy, że dopiero po wypadkach w Petersburgu przyznał mi się, że wiedział o spisku od Cesarza oddawna.

Wszystko to jeszcze bardziej czyniło niewytłomaczonym postępowanie Wielkiego Księcia, spiskowcy bowiem, jeszcze niezupełnie przygotowani, następnie

ogłuszeni śmiercią Cesarza Aleksandra, nabierać powoli zaczęli większej odwagi i postanowili skorzystać z niepokoju i niepewności, jaka panowała.

I rzeczywiście, zanim abdykacya ogłoszoną została, nie wiadano powszechnie kto na tronie zasiądzie, czy Mikołaj, czy Konstanty. Ten ostatni miał za sobą całą armię, a gdyby naród obierał sobie pana, to trzy czwarte głosowałoby za nim. Spiskowcy postanowili przystąpić do wykonania swych zamiarów, ogłosili najpierw, że Mikołaj chce zagarnąć tron dla siebie, że Wielki Książę Konstanty został uwięziony i dlatego do Petersburga nie przyjeżdża, i że naród cały powinien wystąpić w obronie praw jego. Więści te fałszywe powoli szerzyć się zaczęły, wprowadzając w błąd część wojska rozrzuconego na prowincyi i gdyby nie odwaga, nie zimna krew młodego monarchy i szczęście, jakie mu stale towarzyszyło, rodzina cesarska mogła być narażoną na wielkie niebezpieczeństwo. Z drugiej zaś strony między spiskowcami nie było człowieka mającego zdolności, siły, majątek i znaczenie, potrzebne dla zorganizowania i kierowania rewolucyą.

Trudno przypuścić nawet, aby nieporządki te trwać mogły krótko. Nie było to bowiem łatwą rzeczą zaprowadzenie ładu między narodami podbitymi i ujarzmionymi, różniącymi się między sobą językiem, zwyczajami i obyczajami i zaledwie wiedzącymi o swem istnieniu. Więzy, trzymające te ludy razem, z chwilą śmierci Cesarza zerwane zostały, co się najlepiej okazało w nieporządku, jaki nagle zapanował. Brakło ludom tym łącznika moralnego—patriotyzmu, któryby ludom pozwolił zrozumieć, że siła, potęga i szczęście leży w jedności i spójni. Dopiero po wielu latach krwawej walki zapanował w państwie spokój, spokój umarłych, niezdolnych do boju, po przejściu wielkiej i gwałtownej burzy. Tyle to nieszczęść

sprowadziło na kraj niezrozumiałe postępowanie Wielkiego Księcia.

Słyszałem nieraz, jak wiele osób wyrzucało Wielkiemu Księciu, że nie pojechał do Petersburga, przypuszczając, że uczynił to z braku odwagi. Zarzut to zupełnie niesłuszny, gdyż nieraz Wielki Książę dał dowody wielkiej odwagi. Dzień Ferè-Champe-noise, w którym bił się, jak prosty żołnierz i w którym tak świetnie odniósł zwycięstwo, najlepiej chyba świadczy o nim. I nigdy, nigdy przez lat tyle, nie zauważyłem w nim drgnienia bojaźni, przeciwnie, odwaga jego częstokroć graniczyła z brawurą. Nie otaczał się nigdy strażą, jeździł zawsze w odkrytym powozie, bez służącego. Nie, to nie obawa zatrzymała go w Warszawie, gdzie i tak życie jego narażone było, lecz fałszywe rozumowanie, złe zrozumienie polityki, być może i wpływ żony, oto są powody, jeżeli się nie mylę, które skłoniły go do wyrzeczenia się przeznaczanego sobie stanowiska.

Niejaki generał Kołzakow, były jego adjutant i ulubieniec, został odesłany do pułku za to, że nazwał go najjaśniejszym panem, hrabia Nowosilcow, komisarz zmarłego cesarza do spraw Królestwa Polskiego, człowiek wielkich zasług, którego Wielki Książę bardzo poważał, za takie samo odezwanie się otrzymał dość ostre publiczne napomnienie.

Zanim jednak zacznę opisywać wypadki, które działy się przed memi oczyma, wspomnę jeszcze słów kilka o Cesarzu Aleksandrze.

To, co słyszałem z ust brata i to co mi moja własna dostarczyła obserwacya, pozwoli mi może odrysować go właściwie. Wielki Książę Paweł, ojciec młodych książąt, nie był pytany nigdy o radę i nie ośmielił się nawet wypowiedzieć swego przekonania wobec matki, która dla wnuków wybrała za nauczyciela człowieka znanego z przekonań liberalnych i nie podległych, pana de la Harpe. Wielki Książę Paweł,

niecierpiany przez matkę i oddany na pastwę nienawiści Potemkina, zamknął się w sobie, otoczony szpiegami nikomu nie dowierzał i mógł wzbudzać obawę na przyszłość. Słodkie pieszczoty rodzicielskie były mu nieznane i pod tym względem Paweł był nieszczęśliwszym od najędźniejszego ze swych poddanych. Ciągła niesprawiedliwość w małych i dużych rzeczach, rodzaj nieustannego zaniedbania, ciągłe rumieńce miłości własnej, musiało wpłynąć niekorzystnie na charakter jego i usposobienie. Być może, że zaniedbanie syna Cesarzowa Katarzyna starała się wynagrodzić gorliwym zajęciem się wykształceniem jego synów. Jak tylko wielcy książęta dorosli, zostali pożenieni.

Śmierć Cesarzowej Katarzyny oswobodziła Pawła od zależności i osadziła go na tronie, o którym marzył oddawna. Obdarzony od natury inteligencją i rzadkimi przymiotami duszy, cieszył się władzą, jak dziecko i zaczął używać jej bez zastanowienia, zmieniając rozkazy co chwila, obdarzając dziś łaską, aby jutro wysłać na Syberję, zaprowadzając na dworze bardzo surową etykietę, jednym słowem nie uznawał innego prawa, tylko własną wolę i kaprys. Takim był Paweł w czasie krótkiego swego panowania. Podobny stan rzeczy długo istnieć nie mógł. Nikt nie był pewnym swego losu i strach przed imperatorem stał się powszechnym.

Wypadki, które osadziły na tronie Aleksandra, uważane były przez kraj cały za bardzo szczęśliwe, wszyscy odetchnęli swobodnie.

Nowy cesarz, młody, piękny, obdarzony charakterem spokojnym i słodkim, szukający zabaw i przyjemności, w krótkim czasie stał się bożyszczem narodu, żyjącego od tak dawna w niepewności. Pierwsze lata panowania Aleksandra w porównaniu z poprzedniemi panowaniami wydały się stokroć piękniejsze i błyszczące, była to jasna i świetna jutrzienka,

która zjawiała się na horyzoncie po nocy pełnej grozy i strachu.

Lecz ludzie rozumni i kochający kraj pragnęli, aby Cesarz oddawał się pilniej sprawom publicznym, a które Aleksander, oddany zabawie, powierzał ludziom, mającym na celu tylko własne wyniesienie się i własne dobro. Począwszy od generał-gubernatorów do najniższego urzędnika wszyscy wyzyskiwali podwładnych, nie też dziwnego, że zewsząd płynąć zaczęły skargi, tem śmielsze, że oparte na dobroci Cesarza, lecz prawie żadna do rąk cesarskich nie dostawała się.

Wielkie zamiary Katarzyny rozwinięcia siły i do brobytu narodowego, nie podtrzymywane, upadać zaczęły i rozwój potęgi Rosyi, założonej przez Piotra Wielkiego, a tak świetnie rozszerzanej przez Katarzynę Wielką, wstrzymanym został. Petersburg i zabawa były wszystkim dla Cesarza.

Takim było życie Aleksandra do chwili, gdy związek z Austryą wyrwał go z tej sennaści. Upojony swą potęgą, pobudzany pochlebstwami młodych swych dworaków czuł się na siłach nietylko walczyć, ale i zgnieść największego wodza swego czasu. Bitwa pod Austerlitz i skutki, jakie za sobą pociągnęła, należą do historii, przytoczę tu tylko kilka szczegółów.

Armią rosyjską dowodził generał Kutuzow. Arcyksiążę Karol z armią austryacką oddalony był od Rosyan o kilka dni drogi i miał się z nimi połączyć. Cesarz, niecierpliwy i żądny sławy i zwycięstwa, które uważał za pewne, nie chciał czekać na arcyksięcia, z obawy, aby z nim chwały nie podzielić.

Kutuzow zaś, znający trochę lepiej postać rzeczy, radził Cesarzowi czekać cierpliwie, powołując się na swe doświadczenie i zasługi wojenne, rzucił się nawet do kolan Cesarza, lecz Aleksander był nie-

wzruszony. Wtedy Kutuzow oznajmił, że zrzeka się dowództwa i służyć będzie jako ochotnik.

Nazajutrz bitwa została wydana i naturalnie przegrana. Kutuzow raniony w głowę.

Trudno opisać nieład, jaki zapanował w wojsku, Cesarz, nieumiejący rządzić taką masą ludzi, stracił od pierwszej chwili głowę, a jenerałowie znów, nie otrzymując rozkazów, każdy rządził, jak chciał. Ztąd powstało to wielkie zamieszanie, z którego Napoleon nie omieszkał skorzystać i odniósł wielkie i łatwe zwycięstwo. Mógł był łatwo bardzo wytepić całą armię, lecz ją oszczędził, ponieważ polityczny głęboki zmysł nie pozwalał mu zniszczyć nieprzyjaciela, względem którego knuł zamiary na przyszłość; zadowolił się tylko zwycięstwem i dozwolił na odwrót Rosyan, przepisując im drogę, której się trzymać mają i dzień odwrotu.

Jakież było wtedy położenie Cesarza Aleksandra? Rano pełen dumy i zapału, podziwiał swą olbrzymią i liczną armię, zaścielającą dolinę i poruszającą się pod pięknem słońcem Austerlitzkiem, wieczorem widział pułki rozbite i rozsypane, uciekające z tejże samej doliny, która była sceną śmierci i tylu okropności. On sam pozbawiony swych powozów, bez adjutanta, bez świty błądził po tem polu zniszczenia w towarzystwie jedynie doktora Vylie, który mu zawsze towarzyszył. Nie znając miejscowości, bał się wpaść w ręce patroli nieprzyjacielskich i tylko dzięki ciemnościom zdołał oddalić się z pola walki i natknął na jakąś opuszczoną chałupę, gdzie się zatrzymał.

Nieszczęście, zmęczenie, wrażenia, jakim podlegał Cesarz, sprowadziły nań silny atak febry. Rzucił się na garstkę słomy, która wypadkiem się znajdowała, a doktor Vylie mógł tylko butelkę lemoniady ofiarować swemu potężnemu towarzyszowi. Po nocy pełnej niepokoju i cierpień, oddalili się o świcie z tych miejsc niebezpiecznych, zagrażających im ze

wszystkich stron. Przejechawszy cztery mile, natrafili nareszcie na pierwsze oddziały wojsk rosyjskich.

Bitwa ta, jak również późniejsze pod Eylau i Friedlandem uśmierzyły trochę zarozumiałość Cesarza, zamieniając ją w obawę przed Napoleonem. Pokój w Tylży został zawarty, lecz przyjaźń ta pełna była wzajemnej nieufności, choć wydawało się, że spotkanie w Erfurcie węzły jej zacieśniło. Choć łączył ich wspólny interes, szczeroci pomiędzy nimi być nie mogło, jeden z nich nie kładł kresu swej ambicyi, drugi obawiał się być jej ofiarą. Napoleon wnosił ze sobą do związku chwałę swych zwycięstw, chytróść swej polityki, cały urok swego geniuszu; Aleksander zaś w porównaniu z nim był małym i starał się tylko finezyą nie okazać niższym od siebie. Napoleon starał się go wciągnąć w swą politykę, jak to udało mu się z Cesarzem Pawłem, lecz Aleksander rozumiał niebezpieczeństwo tej polityki i nie chciał stać się pośrednikiem między Anglią i Francją. Napoleon odezwał się raz o nim, że to najchytrzejszy z władców, który wszystkich potrafi oszukać.

Korespondencya między nimi była częstą i obfitą, listy ich nie przechodziły przez ręce ambasadorów, lecz dostawały się wprost przez osobnych, zaufanych kuryerów. Aleksander miał specjalną skrytkę na listy Napoleona, od której klucz zawsze nosił przy sobie. Tyle ostrożności i taka tajemnica intrygowały dworaków, którzy cierpieli nad tem, że Cesarz nie dopuszcza ich do sekretu. Napoleon myślał właśnie wtedy o związku, któryby umocnił go w polityce i zamierzał poszukać sobie żony w rodzinie cesarskiej. Polecił panu de Caulaincourt wybadać zręcznie Cesarza, co o tem myśli. Wielka Księżniczka Katarzyna, pełna cnót i zalet, najwięcej z sióstr ukochana przez Cesarza, została wybraną przez Napoleona, lecz trzeba było wielkiej zręczności, aby się nie narazić na

odmowę. Wielka Księżniczka ubóstwiała ojczyznę, a imię, jakie nosiła, łączyło ją z nią jeszcze silniej, pana de Caulaincourt traktowała zimno i dumnie, podczas gdy Cesarz obchodził się z nim grzecznie i wyróżniająco.

Na jednym z dworskich balów, na którym Cesarz traktował pana de Caulaincourt jeszcze łaskawiej, niż zwykle, postanowił ten ostatni napomknąć kilka słów o swej misyi. Cesarz, zdziwiony, sucho odpowiedział ambasadorowi, że ani miejsce, ani chwila nie są odpowiednie do traktowania o tak poważnym przedmiocie. Wielki Książę Konstanty, który znajdował się na sali, widząc zmianę na obliczu brata, zbliżył się do niego, pytając, co się stało.

— Co myślisz o propozycyi tego pyszałka de Caulaincourt—rzekł Cesarz—który ośmielił się mówić mi tu o małżeństwie pana swego z naszą siostrą Katarzyną?

— Co myślę? — odpowiedział książę ze zwykłą swą otwartością—oto myślę, że w rodzinie naszej nie ma kobiet na sprzedaż.

Wielka Księżniczka tegoż jeszcze wieczoru zawiadomioną została o propozycyi pana de Caulaincourt, ażeby zaś oszczędzić nieprzyjemnej odmowy, poświęciła się poślubić ks. Oldenburskiego, o którym nie myślała nigdy i który nie był dla niej żadną partya.

Książę ten był podówczas w Petersburgu i rzecz całą załatwiono w przeciągu trzech dni, tak nie chciało się narazić na skutki odmowy. Książę Oldenburski nie cieszył się zbyt długo niespodziewanem swem szczęściem, gdyż wkrótce po ślubie umarł. Wdowa po nim, pomimo oporu Wielkiego Księcia Konstantego, wyszła za króla Wirtemberskiego.

Tymczasem Napoleon zaczął roić coraz to obszerniejsze zamiary. Postanowił naprzód zamknąć przed Anglikami wszystkie porty na kontynencie, a następnie zaatakować tego niebezpiecznego rywala

w Bengalu. Położony tak daleko od tej krainy, stanowiącej najdroższą prowincję Wielkiej Brytanii, potrzebował do pomocy Rosyi, a ponieważ ta nie podzielała tych projektów, postanowił zmusić ją do parcia swych zamiarów.

Zaatakowanie Rosyi w jej własnem państwie było przedsięwzięciem conajmniej lekkomyślnem, ponieważ, chcąc je zwycięzko przeprowadzić, potrzebne były na to siły przynajmniej całego kontynentu.

Cesarz, pomimo ufności w swą potęgę, na którą można było polegać, kazał zwiększyć baczność i poczynić pewne przygotowania, a dla zasięgnięcia języka, wysłał do Paryża swego adjutanta hr. Czernyszewa, człowieka młodego, dzielnego i przedsiębiorczego, który dyplomacyę swą umieścił w buduarach i tą drogą, pełną blasku i przyjemności, doszedł do celu, odkrył cały plan i udało mu się nawet otrzymać wykaz sił wojskowych, których miano użyć przeciw Rosyi. Zdobywszy tak ważne dokumenty, poświęcił dla dobra państwa piękne oczy i wabiące uśmiechy i spieszenie opuścił Paryż. Zabawa, dla której niby przyjechał, oszukać Napoleona nie mogła i policya strzegła pilnie wszystkich kroków pięknego Rosyanina. Na szczęście udało mu się ujść ich baczności i wyprzedzić pociąg o kilka godzin, ponieważ Napoleon wydał rozkaz aresztowania go.

Aleksander dopiero wtedy poznał niebezpieczeństwo, jakie mu zagrażało, lecz nie miał środków, aby je usunąć. Zebrał w pośpiechu kilkanaście pułków, które miały nie dopuścić przejścia przez Niemen, lecz manifestu o wojnie nie ogłaszał, ponieważ żywił ciągle nadzieję, że do wojny nie przyjdzie. I dopiero wtedy, gdy Napoleon przeszedł Niemen, wzywając lud po drodze do powstania, zrozumiał Aleksander, że wojny nie uniknie, opuścił Wilno, w którym wówczas bawił, a gdzie bardzo łatwo schwytać go mogły awangardy francuskie.

Pochód Napoleona początkowo był jednym wiel-

kiem zwycięstwem, opór, jaki mu stawiano, był wszędzie zgnieciony, strach zapanował w Petersburgu i Moskwie, usuwano z obu tych stolic wszystko, co korona miała najdroższego. Rozpacz ogarnęła naród, oczy wszystkich zwróciły się na jednego człowieka, który mógł uratować państwo, na generała Kutuzowa. Aleksander zmuszony był odebrać dowództwo generałowi Berklay de Tolly, a oddać je w ręce Kutuzowa, którego nie lubił, a który był człowiekiem wielkiego talentu, lecz równej dumy i mnóstwa wad, towarzyszących zawsze wygórowanej ambycyi. Znałem go dobrze i opisałem gdzieindziej, tu wspomnę tylko, że od dwóch lat zajęty był wojną z Turcyą.

W chwili, gdy Napoleon zagrażać zaczął państwu, cesarz ujrzał się zmuszonym zebrać wszystkie siły i odwołać armię, zajętą w Turcyi, lecz przedtem trzeba było zawrzeć pokój więc polecił Kutuzowowi traktować o to, lecz ten ostatni chciał nieprzyjaciela zgnieść do szczętu i dopiero dyktować mu swe warunki. Tymczasem wieści z Petersburga domagały się odwrotu armii coraz gwałtowniej, w końcu Aleksander rozgniewany powolnością generała, którego nie lubił i którego używał, będąc do tego zmuszonym, dał zupełne pełnomocnictwo generałowi Czyczakowi, który zasłynął przy przejściu przez Berezynę, do zawarcia pokoju i odebrania dowództwa Kutuzowowi.

Dowiedziawszy się jednak o zamiarach cesarza od swych szpiegów w Petersburgu, stary, chytry generał, uwinął się tak szybko, że zanim Czyczakow przybył, pokój był zawarty od dni kilku na warunkach nadzwyczaj dla kraju dogodnych, o wiele lepszych, niż spodziewać się było można. Cesarz podziękował Kutuzowowi publicznie, osobnym reskrypsem, zaprosił go do Petersburga, aby mu osobiście podziękować i wręczyć nagrodę, jakby mogła być większa nad powierzenie obrony ojczyzny w chwili, gdy bezpieczeństwo jej zagrożonem zostało. Chwilo wo Kutuzow odmówił przyjazdu do Petersburga i nie

chciał słyszeć o propozycjach, jakie mu zewsząd czyniono, dopiero gdy senat uroczyście powierzył mu ciężar obrony państwa, przystał na objęcie głównego dowództwa, lecz pod pewnymi warunkami, a mianowicie, że władzę będzie miał nieograniczoną i że ani cesarz, ani żaden książę z rodziny cesarskiej w armii znajdować się nie będzie.

Wygrana bitwa pod Moskwą nie przyniosła Napoleonowi żadnych korzyści. Kutuzow bowiem, nie chcąc narazić się na drugą bitwę, której przegranie mogłoby pozbawić go sił zupełnie, opuścił Moskwę, wydawszy tajemny rozkaz gubernatorowi Roztopczynowi spalenia miasta. Jest rzeczą niewytłómaczoną, jakim sposobem człowiek tak wielki, jak Napoleon, dał się oszukać chytremu Kutuzowowi, który zwodził go fałszywymi obietnicami pokoju do nastania surowej pory, zmuszającej do odwrotu. Ślepotą tą pochłonęła całą armię. Kutuzow miał czas zebrać potrzebne siły i szedł za nieprzyjacielem, pozostawionym na pastwę zimna i głodu. Rachował na to, że wyda ostateczną bitwę nad brzegami Berezyny i posłał Czyczakowa, aby nie dopuścił do przejścia na brzeg przeciwny. Położenie Napoleona było rozpaczliwe, za nim Kutuzow, przed nim olbrzymia armia pod wodzą Czyczakowa. Lecz zdrada, a przynajmniej nieumiejętność tego ostatniego stanęła na przeszkodzie tak doskonale ułożonemu planowi.

W błędzie, jaki popełnił cesarz francuski, trudno odnaleźć jego zwykły geniusz. Strata czasu w Moskwie, która pozwoliła Kutuzowowi zebrać potrzebne siły, mogła być powetowana odwrotem do Polski, gdzie oczekiwano Francuzów z niecierpliwością i gdzie można było przebyć zimę spokojnie.

W tym czasie właśnie przebywałem w domach polskich i dobrze poznałem usposobienie ogólne względem Napoleona. Byłby tu znalazł pomoc olbrzymią w żywności, koniach, żołnierzu, i jeżeli odezwy jego

pozostały bez skutku w Rosyi, byłoby wprost przeciwnie w dzielnicach Polski.

Od tej chwili cesarz Aleksander odgrywać zaczyna pierwszorzędną rolę w sprawach Europy. Wszystkie państwa, które w poprzedniej kampanii były jego przeciwnikami, dziś, idąc za przykładem Prus, stały się gorącymi sprzymierzeńcami. Zwycięstwo pod Lipskiem otworzyło mu wrota do Francji. Oto przykład zmienności losu: dwa lata temu Aleksander pobity ukrywać się musiał przed tym, który dziś ustępował przed nim.

Lecz Napoleon, którego przeciwności pobudzały do większej energii i którego siły w upadku zdawały się pomnażać, był jeszcze groźniejszym, niż przypuszczano, bo chociaż w obcych krajach nie znalazł pomocy, zebrał u siebie siły, które w połączeniu z jego niezwykłymi zdolnościami, nie dozwalały obcej nodze stanąć na ziemi francuskiej. Cesarz Aleksander zrozumiał, że chcąc uratować armię, cofnąć się musi. Zwołano radę wojenną celem wykazania, która droga jest najpewniejszą.

Jenerał Dybicz z mapą w ręku dowiódł, że odwrót przez Ren jest niemożliwy, ponieważ Napoleon wyprzedził ich o trzy dni, i że tylko jedna jest droga swobodna na Paryż, której używszy, cesarz Aleksander ma nad Napoleonem przewagę właśnie o owe trzy dni; jeżeli ten zamiar się uda, Napoleon ostatecznie zgniecionym zostanie, jeżeli się nie uda, zostanie wolny odwrót przez Belgię. Pomysł ten został jednogłośnie przyjętym i udał się znakomicie, a chwale i sławę, jaką cesarz Aleksander się okrył, zawdzięcza Dybiczowi, który pierwszy wpadł na tak świetną myśl, skutkiem której było zajęcie Paryża. Od tej pory zaufanie cesarza dla Dybicza granic nie miało, a cesarz Mikołaj obdarzał go niem nadal i wkrótce zobaczymy, jak to zaufanie usprawiedliwionem było. Tryumf cesarza Aleksandra byłby jeszcze większy, gdyby swą ręką zwyciężką osadził na tronie Burbonów, lecz

za silnie jeszcze tkwiły w nim wtedy zasady liberalne pana de la Harpe, który, choć zdala, ciągle wpływał na niego wywierając.

Aleksander popełnił wielki błąd, przeznaczając Napoleonowi na mieszkanie wyspę Elbę, chciał się okazać szlachetnym względem zwyciężonego nieprzyjaciela, wbrew polityce. Zmuszony w rok potem wrócić, aby zapobiedz nieszczęściu, jakie błąd ten za sobą pociągnął, przybył zapóźno, aby przyjąć czynny udział w wypadkach, które wywołał powrót Bonapartego. Usunawszy ostatecznie Napoleona, cesarz z Francji pojechał na kongres do Wiednia, na którym miały być rozstrzygnięte najważniejsze zagadnienia, dotyczące się Europy. Na kongresie tym wystąpił jako krzewiciel pokoju między książętami niemieckimi, wywierający przeważny wpływ na politykę europejską.

Uczucie zemsty względem króla saskiego, który wiernie stał przy Napoleonie, skłoniło cesarza do odebrania mu połowy państwa i oddania jej królowi pruskiemu. Wtedy już powstał projekt małżeństwa Wielkiego księcia Mikołaja z księżniczką pruską. Cesarz oprócz tego oddał królowi pruskiemu Wielkie Księstwo Poznańskie, najpiękniejszą część Polski, Toruń i Gdańsk, przez co przyczynił się do upadku handlu i przemysłu Polski, której był królem i obrońcą.

Cesarzowi Austrii oddał bogate kopalnie soli w Wieliczce, pozbawiając nową część swego państwa przedmiotu codziennego użytku i wyrzekając się milionów, które one przynosiły. Samodzielnie rozporządził losem małych państewek niemieckich, to powiększając je, to nadając im prawa, lub odmawiając racyi bytu. Z Krakowa utworzył rzeczpospolitą i wolne miasto, osadzając u progu swego państwa liberalizm i kontrabandę.

W przystępie idej liberalnych dał Polakom konstytucję, którzy ani dostatecznie przygotowani, ani

wykształceni nie byli, aby umieć dobrze skorzystać z tego rodzaju władzy. Nadał ją tylko niewielkiej części, stanowiącej państwo Polskie, pozostałe zaś prowincye przyłączył do Rosyi.

Po skończonym kongresie bezczynność stała się dla niego nieznośną, przyzwyczajony do błyszczących czynów, do odgrywania roli w sprawach całej Europy, nie mógł zrozumieć, że własne jego państwo wymagało czynnego zajęcia się sobą, że wszystko było w niem w nieporządku.

W kraju sława jego, która szczęścia narodowi nie przyniosła, straciła wiele na blasku, którym jaśniała na zewnątrz. Naród prosił tylko o dobry zarząd i porządek. Wypadki, jakie zaszły w Neapolu, Sardynii i Hiszpanii, pozwoliły raz jeszcze cesarzowi Aleksandrowi odegrać rolę na zewnątrz. Kongresy w Leybach i Weronie wmieszały go znowu w politykę, lecz gdy sprawy raz ukończone zostały, wrócił do Rosyi, której granice stały się dla niego zaciasne, a która jednak tak bardzo starań jego potrzebowała. Skutek był taki, że cesarz wpadł w apatyę z nudy i braku zajęć, nawet życie straciło dla niego urok.

Aby odzyskać dawną siłę i energię, podróżował po całym państwie, zapuszczając się nawet w dzikie krainy Azji, lecz wszystko napróżno. Był na otwarciu sejmu w Warszawie, lecz wszystko to dręczącej go nudy, jak się zdaje, głównej przyczyny trapiącej go choroby, rozwiać nie mogło, w końcu pojechał na Krym w nadziei, że znajdzie tam spokój i ukojenie i rzeczywiście znalazł, tylko, niestety, spokój ten był wiecznym. Na wiosnę 1825 roku długi czas bawił w Warszawie i wtedy to już doktor Vylie nie opuszczał go ani na chwilę, jako lekarz i przyjaciel. Pewnego razu winszowałem mu świetnego wyglądu cesarza: „Niech pan mu nie wierzy — odpowiedział mi — podtrzymuję go, jak mogę, lecz kaprys rządu, nie ja i mogą z tego wyniknąć jaknajgorsze skutki! Błagać tylko trzeba Boga, aby nie dopuścił jakiego

nowego wybryku, bo wtedy nikt już nie poradzić nie będzie mógł."

Cesarz, zamieszkawszy w Taganrogu, używał często przejażdżki konnej i spacerów po okolicy. Pomimo pięknego klimatu, powietrze Krymu jest często fatalne dla nieprzyzwyczajonych do niego, wskutek chłodnych i wilgotnych wieczorów. Mieszkańcy chodzą stale w futrach, zrzucając je tylko w domu lub w południe.

W czasie jednej ze swych przejażdżek cesarz zatrzymał się u murzy tatarskiego dłużej, niż zazwyczaj i był już wieczór, gdy pomyślał o odwrocie. Doktor Vylie chciał posłać po powóz, lecz cesarz uparł się powracać konno. Do Taganrogu przyjechali późno, cesarz zziębnięty do szpiku kości. W nocy żadne objawy niepokojące zauważyć się nie dały, ale rano pojawiła się gorączka. Vylie napróżno namawiał cesarza na zażycie lekarstwa, lecz cesarz nie chciał nawet słuchać, we wszystkim zdając się na przeznaczenie, w które ślepo wierzył. „To, co mi przeznaczone, to mnie nie minie—odpowiedział doktorowi Vylie—i żadna siła ludzka nie nie zmieni.”

Ileż to razy zdanie to słyszałem, wychodzące z ust Wielkiego księcia Konstantego, gdyż i on wierzył święcie w fatum, ciężące nad losami ludzkiemi, zdaje się, że wogóle było ono wiarą całej rodziny cesarskiej.

Tymczasem na drugi dzień objawy gorączki stały się bardzo niebezpieczne. Doktor Vylie, naprawdę zaniepokojony, rzucił się do nóg cesarza, błagając, aby pozwolił się leczyć. Wszystko napróżno, dopiero po dziesięciu dniach choroby, gdy sam zauważył, jak się szybko rozwijała, pozwolił się leczyć. „Rób sobie, co chcesz” — powiedział, lecz było już zapóźno. Cesarzowa, która była w kąpielach na Limanie Odeskim, dowiedziawszy się o chorobie, pospieszyła natychmiast do łoża męża swego. W chwili tak uroczystej, gdy najwięksi świata tego nie różnią się ni-

czem od najnędnniejszych z ludzi, prosił ją o przebaczenie za łzy, które wylała z jego powodu. Skonał na jej rękach.

Krótką tą wzmianką o cesarzu Aleksandrze może dać pojęcie o jego charakterze i panowaniu. To, co miało stać się zgubą jego, obróciło się na chwałę. Jednej rzeczy tylko usprawiedliwić nie można, to postępowania jego względem Wielkiego księcia Konstantego, który zawsze był najwierniejszym jego poddanym. W chwilach ciężkich, wymagających poświęcenia, energii, umiał posiłkować się nim, lecz nigdy miłości braterskiej mu nie okazał.

W dwa dni po rozmowie mej z Wielkim księciem, wezwany zostałem do jego gabinetu. Wielki książę oznajmił mi na wstępie, że otrzymał przysięgę na wierność od Mikołaja, a która musiała się minąć w drodze z jego przysięgą, bardzo był z tego niezadowolony, obawiając się złych skutków. Wtedy ośmieliłem się zwrócić uwagę jego, że koniecznem się stało przyspieszenie abdykacyi.

— Mogłoby się bez tego obejść — odpowiedział Wielki książę — jest to bowiem sprawa między nami, a którą wszystkie te formalności przeciągają do nieskończoności i wywołały to, że prokurator Synodu oraz kilku członków, prosili mnie o przyjęcie korony, aby położyć koniec tej niepewności. Postanowienie moje jest niewzruszone i nic go nie zmieni.

— Dlaczego Wasza Wysokość — zapytałem — nie jedzie do Petersburga, gdzie, spełniając życzenie ojca, Wasza Wysokość przyjmie koronę, aby włożyć ją potem na głowę brata? Akt ten publiczny i uroczysty dowiedzie, że abdykacja jest dobrowolną, nie wymuszoną. Z chwilą tą ustaną intrygi i na jaw wyjdzie poświęcenie Waszej Wysokości.

— Co też pan mówi — przerwał mi gniewnie Wielki książę — byłaby to scena z melodramatu.

Ton, jakim te słowa zostały wymówione, skłonił mnie do milczenia.

— Mówże pa i dalej!—zawołał Wielki książę po chwili.

— Wasza Wysokość—odpowiedziałem—przekonania moje nie podobają się Waszej Wysokości, dlatego boję się dalej wygłaszać je.

— Mów pan dalej—rzekł książę tonem o wiele łagodniejszym—proszę cię o to, gdyż nie wątpię, że rady twe biorą źródło w przywiązaniu twem do mnie.

Wtedy starałem się go przekonać, że w radzie mojej nic teatralnego nie było, prawda, że położenie obu Wielkich książąt samo przez się było dramatyczne przez skutki, jakie mogło za sobą pociągnąć, i że podług mnie jedyne wyjście z niego jest właśnie to, które mu podałem. Wspomniałem o ukazie, wydanym przez cesarza Pawła, że pierwszym jego obowiązkiem, jako syna, jest zastosowanie się do niego, że powody, które przytacza, bynajmniej nie usprawiedliwiają pozostawania jego w Warszawie i że tylko ogłoszenie solenne aktu zrzeczenia się może rzecz wyświecić.

— Zresztą—ciągnąłem z zapałem—zajmie narazie Wasza Wysokość przynależne stanowisko, gdyż dotąd uważają wszyscy Waszą Wysokość za gubernatora, przeznaczonego do rządzenia Polską i kierowania manewrami wojsk w chwili, gdy łaskawe oczy patrzeć na to zechcą.

— Lecz ja—przerwał mi książę—przyczyniam się do chwały narodu mego i nie jestem, jak wasi francuscy książęta, gnuśny i bezczynny, których życie przechodzi na zabawach i polowaniu. Nie, my wielkość naszą oddajemy na usługi ojczyzny i naszych monarchów, u nas nie zdarzy się taki wypadek, jak w Hiszpanii, gdzie królowa topiła się dlatego, że nikt nie śmiał naruszyć etykiety. Ja, książę cesarski, przedefiluję wobec tych, którym winienem subordynację i oddam im należne honory, lecz pan zrozumieć tego nie możesz, jak wogóle wszyscy

Francuzi. Czy wiesz, co mi się przytrafiło w Paryżu, gdy byłem tam z Aleksandrem? Posłuchaj! Cesarz został zaproszony na obiad do króla Ludwika XVIII, dnia tego byłem na służbie. Razem pojechaliśmy do Tuilleryów, odprowadziłem go do drzwi salonu, poczem zostałem w przedpokoju. Po skończonym obiedzie obaj monarchowie pozostali sami, z salonu wyszła księżna d'Angoulême i hr. d'Artois, który, ujrawszy mnie, spytał zdziwiony, co tu robię. Panie hrabio, odpowiedziałem, jestem na służbie Jego Cesarskiej Mości i czekam na jego rozkazy.—Ha, odpowiedział hrabia, toć to żarty, niech Wasza Wysokość idzie z nami, zabawimy się razem, monarchowie mają z sobą dużo do mówienia. Zgodziłem się, lecz pod warunkiem, że uprzedzą mnie o chwili wyjścia cesarza. Poszliśmy do księżnej d'Angoulême, gdzie czas przeszedł mi nadzwyczaj przyjemnie. Księżnę lubię bardzo za jej odwagę i nieszczęścia, lubię również i hrabiego d'Artois za prawosć charakteru. W chwili, gdy powiedziano mi, że brat wychodzi, przerwałem przyjemną rozmowę, śpiesząc tam, gdzie obowiązek mnie wołał.

Po tej przerwie, zupełnie w guście Wielkiego księcia, rozmowę podjęliśmy nanowo, a trwała ona do późnej nocy. Pomimo mych rad, Warszawy stanowczo opuścić nie chciał.

W kilka dni potem przyjechał prezes synodu w towarzystwie kilkunastu członków, którym Wielki książę raz jeszcze stanowczo powiedział, że panować nie chce i na tem skończyło się ich postąnictwo.

Kazał zwołać cały garnizon, stojący w Warszawie, na plac Saski i głosem donośnym przeczytał akt abdykacyi, w którym oprócz wielu innych powodów, podał i ten, że nie czuje się na siłach, nie czuje w sobie zdolności odpowiednich do rządzenia tak wielkiem państwem i dlatego zrzeka się tronu na rzecz brata Mikołaja. Po odczytaniu aktu złożył przy-

sięgę na wierność Mikołajowi, a za nim powtórzyło ją wojsko.

Akt ten, wyrzeczony przez usta samego Księcia, wywołał wielkie zdziwienie i smutek wśród osób przywiązanych do niego.

Wracając do Belwederu, Wielki Książę był bardzo wesoły:

— Nareszcie — rzekł, zacierając ręce — sprawa załatwiona, nareszcie odzyskam spokój.

Lecz w czasie obiadu, pomimo widocznego panowania nad sobą, nie mógł ukryć niepokoju. Wszyscy byli również pomieszani. Obiad trwał niedługo, a Wielki Książę poszedł, jak zwykle, odpocząć, lecz wątpię, czy tego dnia sen skleił mu powieki.

Gdy wybuchnęło powstanie w Petersburgu, zrozumiał Wielki Książę jak nieroztropnie postąpił, nie jadąc do stolicy, gdzie obecność jego uśmierzyłaby wszelkie podejrzenia. Lecz Wielki Książę do błędu się nie przyznał.

Wpółśród rozruchów, jakie wybuchnęły w wielu miejscach cesarstwa, Wielki Książę z zadowoleniem zauważył, że Polacy udziału w nich nie brali wcale, wierzył, że zanadto mu ufają, aby coś przeciw niemu przedsięwziąć; lecz wkrótce drobny na pozór wypadek zburzył to jego mniemanie, zamieniając je w gwałtowny gniew. Nieszczęśliwy, który zabił generała Miłoradowicza w czasie rozruchów w Petersburgu, zdołał ująć i skrył się w Warszawie, lecz tu, poznany przypadkiem, został schwytany i odesłany do Petersburga, gdzie go rozstrzelano.

Zdarzenie to wzbudziło podejrzenie, zaczęto robić poszukiwania, które wykryły, że istnieją rozgałęzione stosunki między spiskowcami obu stolic. Wielki Książę, zirytowany, że zdradzono jego zaufanie, upokorzony, że uszło to jego bacności, nie powstrzymywał wcale wybuchu swego gniewu, zaczęły się rewizye, aresztowania po całym Królestwie. Ponieważ

policyi zabrakło do tropienia spiskowców, Wielki Książę użył do tego wojska, a nawet adjutantów. Wszystkie więzienia zostały przepełnione.

Wielki Książę, chcąc w tych aresztowaniach zachować cień sprawiedliwości, utworzył trybunał, złożony z 12-tu członków: sześciu jeneratów rosyjskich, sześciu ze szlachty polskiej, na którego czele sam stanął i przystąpił do sądzenia. Niewielka garstka, których niewinność zanadto woczy biła, została uwolniona, pozostali zaś skazani na dłuższe lub krótsze więzienie.

Dodam tu tylko na zakończenie, że sprawa powyższa w dwa lata potem rozpatrywaną była przez sąd sejmowy Królestwa i że większość wobec braku dowodów została uwolniona; lecz Wielki Książę niezadowolony z takiego rozstrzygnięcia sprawy przesłał ją do Petersburga, wyrok jednak wypadł i tu taki sam prawie, jak i w Warszawie. Lecz wracam do toku opowiadania.

Wojna Grecyi z Turcyą skłoniła w końcu większe państwa do czynnego wmieszania się w nią, dla przerwania tego potoku krwi. Rosya naturalnie udział w tem wzięła. Gdy się o tem Wielki Książę dowiedział, niezadowolony swego ukryć nie mógł.

Pobył księstwa za granicą trwał sześć tygodni, a ze względu na spóźnioną porę roku, była to raczej podróż dla przyjemności, niż dla zdrowia. Wielki książę po powrocie raz jeszcze podziękował mi za dotrzymanie słowa i oznajmił, że do końca życia pensyę mam pobierać, spodziewając się, że nazawsze przy nim zostanę. Jenerał Kuruta powiedział mi później, że dyspozycye co do tego zostały już dawno wydane.

Ojciec księżnej Łowickiej, Grudziński, przyjechał odwiedzić córkę podczas lata. Był to zacny i dzielny człowiek i bynajmniej nie chwalił się nigdy tem, że córka jego wyszła za Wielkiego Księcia. Rozwiódłszy się ze swą pierwszą żoną, żył zda-

la od świata na wsi, ożeniwszy się powtórnie. Był to człowiek pozbawiony najzupełniej ambicji, nieprzyjaciel wielkości i nigdy o nic nie prosił Wielkiego Księcia, który traktował go dobrze, a od którego, gdyby był chciał, mógłby uzyskać wiele. Sposób postępowania z nim Wielkiego Księcia był bardzo ciekawy, nazywał go zawsze ojcem, przy stole sadzał między sobą i żoną, wogóle zachowywał się jak mieszczanin, który kocha i poważa swego rodzica. Widok ten sprawiał mi prawdziwą przyjemność. Pewnego razu księżna Łowicka spytała się, czy nie zauważyłem u jej ojca objawów, zdradzających pomieszanie zmysłów. Gdyby pytanie postawione mi było przez kogoś postronnego, uczciwość nie pozwałałaby odpowiedzieć dwuznacznie, lecz w stanie umysłu, w jakim była księżna Łowicka, uczynić tego nie mogłem i odpowiedziałem jej, że niczego podobnego nie zauważyłem.

— Tem lepiej — odrzekła — gdyż zapewne pan nie wie, że ojciec mój dość długo przebywał w domu zdrowia, gdzie obchodzono się z nim niegodziwie, boję się bardzo, aby choroba ta się nie powtórzyła.

Zaufanie to zdziwiło mnie do najwyższego stopnia, lecz przypomniawszy sobie o jej chorobie przed ślubem, pomyślałem, że są choroby dziedziczne.

Czas schodził nam bardzo spokojnie i nie ważnego nie zaszło.

Jesień zbliżała się, a z nią i długie wieczory. Wielki Książę był coraz pochmurniejszy, rozdenerwowany i domagał się, abym wieczory spędzał w Belwederze. Zanadto dużo czułem dla niego wdzięczności i przywiązania, abym mu mógł odmówić i pomimo nudnych rozpraw politycznych, nieśmiertelnego tematu naszych rozmów, poświęcałem mu z przyjemnością każdą chwilę, z której chciał skorzystać. Brak ważniejszych wypadków i obawa, że materiału do opowiadania mi zabraknie, zmusza mnie do przerywania w tem miejscu trzeciej części mych pamiętników.

CZĘŚĆ IV.

(1830—1833).

Rzut oka na historję Polski. — Cesarz Aleksander i Polska. — Rządy Wielkiego Księcia Konstantego. — Przyczyny powstania. — Przywódcy. — Napad na Belweder. — Zachowanie się Wielkiego Księcia. — Dyktator Chłopicki. — Warszawa w r. 1831. — Wyjazd do Wrocławia. — Niepowodzenie. — Śmierć Wielkiego Księcia Konstantego. — Jego charakter. — Powrót do Paryża. — Przyczyna niełaski. — Usprawiedliwienie i obrona.

Opuszczając Polskę, płonącą i ciekącą krwią, w chwili, gdy pod stopami memi utworzyła się naraz przepaść, która pochłonać miała moje szczęście, moje nadzieje i uczucia moje, znalazłem schronienie, o którym nigdy w życiu nie myślałem, a gdzie opisywać zacząłem wszystko, co widziałem, co przecierpiałem, nie widząc kresu mych kłopotów. Zanim do nich powrócę, uważam za stosowne przedstawić obraz Polski w chwilach dawniejszych, poprzedzających nowe powstanie.

Polacy napróżno błagali Napoleona, ażeby wrócił im dawną niepodległość, przedstawiając mu całą niesprawiedliwość podziałów, i konieczność przywrócenia Europy do dawnego stanu, jednym słowem, przytaczali wszystkie argumenty, jakie wynałeżć mogli. Dla cesarza, który trząsł całym kontynentem, było to rzeczą bardzo łatwą; lecz projekty jego były inne, uczynił im tylko kilka płonnych nadziei, nie mając zamiaru nigdy ich dotrzy-

mać. Nadzieje przyszłości i obietnice, których im nie szczędził, stały się powodem, że szli przelewać swą krew bohaterską dla sławy tego, który ich oszukiwał, bo Napoleon nie miał nigdy zamiaru wskrzeszenia Polski, a posługując się siłą narodu, nie poczuwał się do żadnych obowiązków względem niego. Lecz w głębi zdarzeń, które przygotowywały upadek Napoleona, zaczął świtać dzionek jasny na ciemnym horyzoncie Polski. Cóż to była za gwiazda dobroczynna, rozsyłająca swe promienie? Kto był ten, co mając tylko powody do zemsty, chciał przywołać ich do życia i szczęścia? Był to samowładca rosyjski, który z tronu swego starał się wszystkimi siłami powołać do życia kraj politycznie umarły. Lecz zamiary te wielkie i szlachetne wydały smutne skutki, sprowadziły wiele cierpień i nieszczęść.

Potęga Aleksandra po zgnieceniu Napoleona nie miała równej sobie. Lecz jeżeli potęga Napoleona, zdobyta walką, zniszczeniem, krwią i pożogą, wzbudzała strach i przerażenie, potęga Cesarza Rosyi budziła ufność, otoczona nimbem sprawiedliwości i pochłaniała, miała jedynie na celu zaprowadzenie ogólnego pokoju do głębi wzburzonego przez Napoleona. To był cel, do którego dążył Aleksander, a który przebijając się już jasno zaczął na kongresie w Wiedniu, cel ten pobudził do życia Święte Przymierze, którego pomysł powstał w Belwederze; projekt sam przez się wielki, lecz ponieważ wykonanie jego leżało w rękach śmiertelnych, nie obiecywało długiego trwania.

Aleksander zwycięzca, dawca pokoju, godzący króli, chciał jeszcze do tych tytułów dołączyć tytuł prawodawcy. Przejęty duchem liberalizmu, który mu w młodości tak usilnie był wpajany, a na co przy końcu życia skarżył się, odebrał Wielkie Księstwo Warszawskie królowi saskiemu, zrobił zeń Królestwo Polskie, siebie ogłaszając jego królem. Ogólny polskłask towarzyszył temu znamiennemu wypadkowi

dziejowemu. Okazał w tym czynie, takie było zdanie ogólne, wielki rozum polityczny, a zarazem naprawił winę Katarzyny, innym monarchom dał dzielny przykład sprawiedliwości, w której ślady zmuszeni byli powoli wstępować. Prawda, że nie złączył jeszcze wszystkich dawniejszych dzielnic Polski, lecz obiecał to uczynić, a szlachetny charakter jego dawał gwarancję, że spełni to, co obiecał.

W rzeczywistości Aleksander popełnił wielki błąd, wskrzeszając Polskę, o której istnieniu prawie już zapomniano. Nie zadowoliło to nikogo, nawet Polaków, którzy pragnęli otrzymać odrazu niepodległość dawniejszą. Część, która tworzyła Królestwo, z początku była oszołomiona radością i nadzieją, lecz potem zaczęto dochodzić do przekonania, że większe prawa powinny były im być nadane.

Zaiste, kres pragnień ludzkich nie ma granic! Polacy w prowincjach rosyjskich skarżyli się, że los ich różni się od braci z za Niemna, oni, którzy nawet wezwanie Napoleona obojętnie przyjęli, czyż nie zasługiwali na los lepszy? Jedni i drudzy zaczęli się łączyć z sobą, tworząc uludne nadzieje, których spełnienie zależało od szlachetności Cesarza, tworzyć zamiary ukryte w głębi duszy, a nieprzychylnie Rosyi, której dobrodziejstwa stały się ciężarem, a przewaga—męczarnią. Tym to sposobem poruszone zostały popioły, które rozżarzyć miał patryotyzm. Co ja mówię? Rzucano w nie zarzewie, które, poruszone niezręcznemi rękoma, wybuchnęło i roznieciło pożar, który pochłonał tyle ofiar, tyle nadziei, tyle dostatków, a który w swym niepowstrzymanym pędzie mógł pochłonać i całą Europę.

Aleksander popełnił jeszcze i drugi błąd, nadając Polakom konstytucję liberalniejszą od tej, jaką sami ułożyli. Jak się to stało, że sam nie rozumiał niebezpieczeństwa podobnej instytucji w sąsiedztwie państwa absolutnego, w sąsiedztwie Austrii i Prus, których monarchowie obawiać się mogli roz-

szerzającego się w masach pojęcia swobody i wolności? Prawda, że w owych czasach Cesarz nosił się z myślą nadania konstytucyi swemu państwu i projekt podobnej ustawy powierzony został Francuzowi Deschamps, sekretarzowi poufnemu Nowosilcowa, komisarzowi cesarskiemu w Warszawie.

Projekt ten widziałem, w którym wiele nawet paragrafów podpisanych było własną ręką Cesarza. Lecz rozumniejsi potrafili przekonać Cesarza, że chwila nie jest odpowiednią na wprowadzenie tej ustawy i z czasem, na szczęście, myśl jej zaniechana została zupełnie.

Lecz przywrócenie Królestwa nie rozwiązywało kwestyi, potrzebną była ręka, któraby pomogła Polsce wydobyć się z grobu. Kraj wyniszczony przez wojny, przez kontrybucye, przemarsze tylu wojsk, nie miał odpowiednich funduszków na zaprowadzenie tylu nowych reform. Lecz Cesarz Aleksander myślał o wszystkim. Wielu Polaków służyło w szeregach Francyi i oni to po upadku Napoleona dali początek armii polskiej. Oficerowie, którzy chcieli w niej pozostać i którzy zasługiwali na to, zatrzymywali swe stopnie i mogli zaciągać żołnierzy na koszt Cesarza.

Wielkiemu Księżciu Konstantemu powierzył Cesarz główne dowództwo. Wybór nie mógł być lepszy i Wielki Książę wywiązał się zeń świetnie. Armia czynna składała się z 30-tu tysięcy ludzi, których liczba stosunkowo do potrzeb Królestwa była zbyt wielką, a dla której 15 tysięcy żołnierza zupełnie dostatecznem było.

Następnie trzeba było uzbroić i umundurować tę wielką armię. Magazyny cesarskie otworzono, liczną i silną artylerję przysłano do Polski, tak, że wkrótce za staraniem Wielkiego Księcia armia z niesłychaną szybkością zorganizowana została. Namiętnością Księcia było wojsko, to też armia jego była wzorem dyscypliny i wyćwiczenia. Niestety! wkrótce armia

ta obrócić broń swą miała przeciw swym dobroczyńcom, zdolności swe obrócić na tych, co je wydoskonalili, i zdrada była wskutek tego niebezpieczniejszą, a powstanie straszniejsze. Wielki Książę otrzymał tytuł jenerała dywizyi armii polskiej, a prócz tego dowództwo nad korpusem Litewskim, składającym się na papierze z 80-ciu tysięcy, w rzeczywistości zaś składał się on tylko z połowy tej liczby. Zresztą to samo spostrzegać się daje we wszystkich pułkach rosyjskich, których siła na papierze jest wielka, lecz rzeczywistość daleka od prawdy. Wiele instytucyi pozakładano. Był i minister spraw wewnętrznych, minister finansów, oświaty i sztuki. Utworzono z Polski państwo w miniaturze, lecz wszystkie te reformy wymagały pieniędzy, a kraj dostarczyć ich nie mógł. Armia sama pochłaniała trzy czwarte dochodów, nie licząc tego, co Cesarz wydał na jej utworzenie.

Dlatego skreśliłem ten obraz Polski, aby dać pojęcie o jej położeniu w chwili wstąpienia Aleksandra na tron.

Wieśniacy, obciążeni mniej lub więcej pracą, pogrążeni w nędzy i niewoli, byli raczej bydłętami, niż ludźmi, gorzej lub lepiej traktowani, zależnie od zapatrywania ich panów. Rolnictwo było zaniedbane, prowadzone bez żadnej kultury, wydobywano z ziemi, co się dało i eksploatowano ją strasznie. Handel nie istniał wcale, sprzedawano tylko przedmioty codziennego użytku, wykonywane przez chłopów i mieszczan. Niewielkie operacye handlowe prowadzone były przez Żydów, którzy w Polsce znaleźli drugą ojczyznę i którzy wyciągali z niej złoto i srebro, co się tylko dało. Wsie — był to zbiór nędznych chałup, a raczej lepianek, godnych mieszkań nędzy i nieszczęścia. Miasta, niegdyś wielkie, przedstawiały dziś ruinę dawnej wielkości, a te, które zachowały swą nazwę miasta, odrażały widokiem żydostwa, nędzy i brudu.

Stolica brudna i zabłocona, miała tylko kilka brukowanych ulic, kilkanaście pałacy, których okropne formy zewnętrzne nie zapowiadały znajdujących się wewnątrz bogactw. Ani architektury, ani smaku nie było w budynkach Warszawy, w których wszystko mówiło o średniowiecznej mieszaninie przepychu i barbarzyństwa, o częstych rozruchach, które nie dały rozwinąć się sztukom. Kilka pałaców, wzniesionych przez Stanisława Augusta po za miastem, mówiło o dobrych intencjach tego króla, który mógłby być wprowadzić naród na wyżyny sztuki, gdyby się były temu okoliczności nie sprzeciwiły.

Kraj pozbawiony był dróg, szos, traktów, nie miał ani fabryk, ani warsztatów, które wzbogacają naród, jednym słowem, nic dla dobra publicznego zrobione nie było.

Taką była Polska w chwili przyłączenia jej do Rosyi, a pobyt mój prawie 30-letni w różnych jej częściach pozwolił mi ją dobrze poznać.

Z chwilą ustanowienia królestwa konstytucyjnego stolica upiększać się zaczęła, budowano nowe ulice, gmachy olbrzymie wznoszono, czy to rządowe, czy prywatne. Pałace ministrów, giełda wspaniała, teatr, być może że zbyt piękny nawet, wszystko to jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej zamieniło Warszawę na jedno z piękniejszych miast w Europie. Liczny garnizon, wielu wyższych urzędników cywilnych i wojskowych, dwór Wielkiego Księcia nadawały miastu ruch życie i pozór zamożności.

Polacy sami stolicy poznać nie mogli. Wkrótce kraj przecięty został licznymi drogami, które ułatwiały komunikację i zadziwiały podróznego swą lekkością, a solidną budową. Rozwinął się handel, zawiązano stosunki handlowe z zagranicą, zakładano fabryki, sprowadzano z Francyi, Niemiec i Anglii zdolnych majstrów, a rząd otaczał opieką wszystkie zakłady przemysłowe. Został założony bank, w którym kupcy korzystać z kredytu mogli, tak, że wkrótce War-

szawa zajęła jeden z ważniejszych punktów w Europie. Nigdy jeszcze kraj w tak krótkim przeciągu czasu nie wzrósł tak dalece w potęgę, bogactwo i handel, i nigdy nie miał tak świetnych widoków na przyszłość.

I niestety! dwustu spiskowców, bez naczelnika, pieniędzy, bez wybitniejszych jednostek, zniszczyło dobrobyt kraju i zachwiało egzystencją narodu, prowadzając ruinę.

Łachmany rewolucyjne zatknięte na zniszczoną pikę obwołano sztandarem narodowym, a ogień ten, który w zaraniu przytłumić można było bardzo łatwo, wkrótce stał się niszczącym pożarem.

Wracam teraz do dalszego ciągu mego opowiadania, przerwanego tym ustępem, lecz który uważałem za konieczny.

Po powrocie z Reinerz stan rzeczy w Warszawie zastałem takim, jakim go zostawiłem, to jest wszystko zdawało się spoczywać w spokoju, Wielki Książę żył jeszcze bardziej osamotniony, niż dawniej.

W jakiś czas po mojem przybyciu zdarzył się wypadek, który zajął bardzo publiczność. Prezydent miasta w biały dzień został napadnięty przez jakąś osobistość i obity. Oburzyło to ogromnie Wielkiego Księcia i kazał sprawcę aresztować. Był to stary dymisjonowany oficer, którego postępowanie było zawsze bez zarzutu. Otrzymał on kiedyś list rekomendacyjny od Wielkiego Księcia, chcąc przejść na służbę cywilną, a który wręczył prezydentowi miasta. Prezydent obiecał przyjąć go, lecz minęło trzy lata na oczekiwaniu; wtedy raz jeszcze zwrócił się do Wielkiego Księcia, a ten napisał list, polecając, aby pierwsze wakujące miejsce jemu było dane. List ten wywołał wybuch gniewu, oddawca wyrzucony został za drzwi, a miejsce w magistracie otrzymał krewny prezydenta.

Biedny, zrozpaczony oficer postanowił się zemścić, hańbiąc tego, który mu tyle złego wyrządził,

a co mu się w zupełności udało. Sąd, rozstrzygający podług praw polskich, skazał go na kilka dni aresztu i kilka grzywien kary, lecz Wielki Książę, niezadowolony z łagodnego wyroku, odesłał sprawę przed inny trybunał, który potwierdził wyrok pierwszego.

Tak się zakończyła sprawa, ku wielkiemu niezadowoleniu partji lubiącej skandale, sprawa, która rzuciła wiele światła na stan umysłów. Obity prezydent, otrzymawszy wynagrodzenie, pojechał do swych majątków ukryć wstyd i hańbę. Laski, wyrabiane na wzór tej, którą posiłkował się oficer, stały się modne i nosiły nazwę obitego prezydenta (Wojdówki).

Zaczęły pojawiać się proklamacye, rozlepiane w nocy na pierwszorzędnych ulicach, a głównie w okolicach kwater wojskowych. Nawoływano w nich do powstania w słowach nadzwyczaj nieprzychylnych rządowi i w imię patryotyzmu. Wiele z tych proklamacyj zjawilo się nawet na murach Belwederu, aby odebrać Wielkiemu Księciu ostateczne złudzenie. Policya całemi dniami uganiała się, niszcząc te świstki, lecz autorów ich wykryć nie mogła.

Na początku listopada aresztowano kilkunastu akademików, oskarżonych o podżeganie ludu. Zauważono stosunki ich ze szkołą podchorążych i dowiedziano się, że odbywali tajne narady. Wielki Książę, widząc wtem tylko brak karności, sprawę oddał wręce profesorów, którzy, przekonawszy się o niebezpieczeństwie tych schadzek, oznajmili, że sądzić ich nie mogą i sprawę powierzyli trybunałowi.

Podchorążowie, oburzeni aresztowaniem swych współników, coraz głośniejszemu szemrać zaczęli do tego stopnia, że Wielki Książę kazał uwięzić dwudziestu więcej winnych i oddać ich pod sąd wojenny. Objawy te zbyt alarmującemi nie były, z uwagi na małą liczbę winnych.

Wielki Książę obawiał się brać na siebie odpowiedzialności i używał tylko półśrodków. Był albo źle poinformowanym, albo też nie przypuszczał, aby rzeczy tak daleko zaszły.

A jednak pomimo wesołości, jaką okazywał, niepokój jego wzrastał z dniem każdym. Znałem go zanadto dobrze, aby wesołość ta mogła mnie zwieść. Wiedziałem, że codziennie prawie w nocy jeździł sam jeden po mieście, narażając się, dla sprawdzenia posterunków i że spał w ubraniu z przygotowaną bronią. Ileż to razy napróżno starałem się wykazać ich niebezpieczeństwo i nieużyteczność, lecz wszystko na nic.

Wspominałem o tem często księżnej Łowickiej, która mi odpowiadała zawsze, że wszelkie uwagi, jakie Wielkiemu Księciu robi, pozostają bez skutku, jednem słowem, że trzeba pozostawić go losowi. W taki sposób doczekaliśmy się nieszczęsnego dnia 29-go listopada.

Spiskowcy, wybierając ten dzień, przyspieszyli wybuch, ponieważ chwila jego nie była jeszcze ostatecznie oznaczoną. Pilnowani i strzeżeni na każdym kroku, obawiali się, aby później nie odebrano im możliwości działania, z drugiej zaś strony bali się, ażeby towarzysze ich aresztowani nie poczynili jakich wyznań. Otoczeni ze wszystkich stron, postanowili ryzykować na los szczęścia, tembardziej, że zaczęli, mając bardzo mało szans powodzenia. Było dwunastu oficerów gwardyi i to takich, którzy niewielki wpływ mieli na żołnierzy, była to setka podchorążych.

Dodać tu muszę, iż żaden z oficerów w stopniu kapitana nie przyjmował udziału w pierwszych ruchach. Garstka żołnierzy, którą się posiłkowano, nie wiedziała, czego chcą od niej, gdy kilku podoficerów rozkazało im wziąć broń i wyjść z koszar. Dopiero później rozdano im naboje, zapewniając, że cała armia powstała. Spiskowcy nie mieli sprzymierzeńców w sferze wyższej, nawet między mieszczaństwem, nie mieli ani pieniędzy, ani pomocy, ani dowódcy i tylko przypadek nimi kierował.

Dnia tego obiadałem w Belwederze. Do stołu

zasiedliśmy we troje — Księstwo i ja. Paweł był na służbie w koszarach, o kilkaset kroków od pałacu. Obiad przeszedł nam bardzo wesoło. Wielki Książę, był w doskonałym humorze i żartował sobie ze „świństw” (*cochonneries*) — (było to jego wyrażenie, którego używał, gdy był z czego niezadowolonym), jakie się działy w mieście.

Po obiedzie rozmawiał jeszcze czas jakiś z nami, a następnie, tłumacząc się, że jest bardzo zmęczony, poszedł odpocząć, do godziny 7-mej, o której mieli przybyć wice-prezydent i generał Gendre. Podał mi rękę na pożegnanie, prosząc, abym przyjechał znów niezadługo. Niestety! ani się spodziewałem wypadków, które za chwilę miały wybuchnąć.

Księżna Łowicka, jak to zwykle czyniła, zaprosiła mnie, abym z nią został i rozmowa nasza przeciągnęła się do godziny 7-ej, wtedy pożegnałem ją i odjechałem. W pół godziny potem przejechałbym już nie mógł, lecz teraz droga była jeszcze pustą i cichą, jak zwykle, i dostałem się do domu, nie zauważwszy nic podejrzanego. Na wieczór zaprosił mnie do siebie stary mój przyjaciel, pułkownik, dowodzący szwadronem kirasyerów, a który mieszkał niedaleko mnie w alei Belwederskiej. Udałem się do niego zaraz.

Zaledwie zdążyłem usiąść, gdy wpadł przerażony lokaj, wołając, że przysłali z koszar po pułkownika. Ubrać się, siąść na koń i pogalopować — było dziełem jednej chwili. Zdziwiony tą gwałtownością starałem się uspokoić jego żonę, która dostała ataku nerwowego, mówiąc, co i sam przypuszczałem, że prawdopodobnie ogień wybuchnął w koszarach. Dla przekonania posłałem nawet na górę, aby zobaczono, czy nie widać łuny. Służący wrócił z wiadomością, że ognia nie widać, lecz słychać wystrzały.

Wyjrzałem oknem na ulicę. W stronie Belwederu ujrzałem światło, które zwiększało się coraz bardziej, zwiastując pożar ogromny. Był to ogień,

który podłożono na końcu miasta, dając tem hasło do powstania, jak się o tem dowiedziałem później. W kilka minut potem przebiegło około dwudziestu żołnierzy, śpieszących w nieładzie w stronę Belwederu. Przy blasku księżyca rozpoznałem, że należeli do 4-go pułku, ulubionego przez Wielkiego Księcia. Część ta miasta po sa tem była spokojną i nie mogliśmy od nikogo otrzymać żadnej wiadomości. Konsul francuski przyjechał do nas, również nic nie wiedząc.

O godzinie 9-ej, nie doczekawszy się żadnych wieści, wróciłem do siebie. Chociaż odgłosy strzałów do tej dość oddalonej części miasta nie dochodziły, cisza panowała tu ogromna i nic jej przez noc całą nie naruszyło. Dopiero nazajutrz ślady rewolucyi zaczęły na mieście się pojawiać. Oto, czego się dowiedziałem:

O godzinie 7-ej podchorążowie polscy, rozbroiwszy Rosyan, którym nie dowierzali, poszli do koszar ułanów i kirasyerów gwardyi. Ten niespodziewany napad wywołał popłoch. Oficerowie na służbie starali się sprowadzić porządek napróżno, nie wiadziano, kto napadł i w jakiej liczbie. Trudno przypuścić, ażeby dwudziestu ludzi napadło na trzy pułki kawaleryi, wynoszące prawie 4,000 ludzi. Dowódcy mieszkali w mieście, jedni byli w teatrze, inni gdzieś w gościnie, nie wielu tylko zastano w domu, gdy posłano po nich, tak, że popłoch rozszerzał się, gdyż nikt nie wiedział, czego ma się trzymać.

W tym samym czasie około dwunastu szaleńców poszło do Belwederu, aby zamordować Wielkiego Księcia. Poinformowani byli doskonale o jego zwyczajach i znali rozkład mieszkania, suchwalcy ci byli zamaskowani (?), między nimi było wiele uczącej się młodzieży.

Przybywszy do bram pałacu, pilnowanego przez dwóch weteranów, uzbrojonych w pałasze, zmusili ich wkrótce do ucieczki i bez przeszkody weszli do pałacu, do którego wejście było zawsze wolne. W przed-

pokoju znajdowało się dwóch lokaj, z których jednego zamordowano, a drugiego śmiertelnie raniono.

Wielki Książę mieszkał na piętrze, schody prowadziły do wielkiego przedpokoju, pustego zawsze wieczorem, a z którego wchodziło się do mniejszego, gdzie zwykle czekali interesanci. Pokój ten oddzielony był od sypialni małym pokoikiem, w którym stale przebywał lokaj, gotów na rozkazy Wielkiego Księcia.

Spiskowcy przeszli schody, dostali się do dużego przedpokoju. Jenerał Gendre i wice-prezydent Lubowicki w drugim — czekali na Wielkiego Księcia.

Jenerał Gendre, usłyszawszy podejrzany hałas w drugim pokoju, wyszedł i natknął się na spiskowców, z których jeden uderzył go pistoletem w głowę, a następnie stehórzył i uciekł przez tylne pokoje, zajmowane przez służbę. Jenerał podobny był bardzo z postawy do Wielkiego Księcia, a szczególnie zarost nosił taki sam, jak Wielki Książę. Napastnicy, przypuszczając, że zamordowali Wielkiego Księcia, opuścili pałac, pozostali zaś spiskowcy rzucili się w głąb mieszkania. Podczas tego biedny Lubowicki wszedł do pokoiku, o którym wspominałem, zamknął drzwi, trzymając je z całej siły, a lokaja posłał po Wielkiego Księcia, który w koszuli wyskoczył z łóżka i skrył się w dalszych apartamentach, dzięki oporowi, jaki stawiał Lubowicki, lecz trwać on długo nie mógł, drzwi zostały wyważone, a on przebity.

Mordercy, nie znalazłszy nikogo w pokoju Wielkiego Księcia, oszukani przez tych, którym się zdało, że zabili Wielkiego Księcia, obawiali się pozostać dłużej w Belwederze i uciekli przez ogród. — Wszystko to działo się w tym samym czasie co i atak na koszary. Paweł na czele plutonu jazdy przybiegł na pomoc ojcu, lecz już było po wszystkim.

Podchorążym nie udało się podłożyć ognia, lecz zadowoleni popłochem, zamachem na Wielkiego Księcia i wybuchem, jaki powinien był nastąpić w mie-

ście, ruszyli do niego, lecz ułani gonili ich i wkrótce otoczyli. Wtedy utworzywszy czworobok, strzelając starali się przebić przez ułanów, którzy bez wodza, bez rozkazów, nie wiedzieli, co robić i ułatwili ucieczkę nieprzyjacielowi.

Tymczasem liczba powstańców zwiększała się ciągle, nadzieja łupów, wódka, którą im rozdano, namowy spiskowców, a szczególnie brak siły, któraby ich powstrzymała, wszystko to zwiększało ich odwagę. Motłoch przyłączył się do wojska, rozbito niestrzeżony wcale arsenał, broń rozechwytało i rozdano wszystkim. Leżało tam 40,000 nowych karabinów i odpowiednia liczba pałaszy i pistoletów.

Wpółśród tego popłochu, którego przyczyna ogólnie nie była jeszcze wiadomą, napróżno kilku generałów starało się zaprowadzić porządek, lecz po temu mieli tylko słowa, a co słowa zdziałać mogą na tłum pijany i rozwścieczony? Jenerał Blumer, dowodzący dywizją, otrzymał sześć kul od własnych żołnierzy. Minister wojny, hr. Hauke, zabity został, jadąc powozem z pułkownikiem Meciszewskim; jenerał dywizyi, hr. Potocki, raniony, zmarł nazajutrz; jenerał Nowicki, wracający najspokojniej w świecie z teatru—zabity; jenerał Siemiątkowski, który odmówił dowództwa nad zbuntowanym tłumem—zabity; jenerał Trembiński—dowodzący korpusem podchorążych—zakłuty został.

Dodać muszę, że ofiarami dnia tego po większej części byli Polacy. Tłum, kogo napotkał po drodze, a kto nie chciał z nimi iść, zabijał. Z trudem uratowano bank od rozbicia, przyczem zginęło wiele osób (?).

Co Wielki Książę porabiał przez ten czas? Gdy przyszli ułani, kirasyerzy i huzarzy ustawił ich w szeregu bojowym i zaczął wypytywać się przybywających, wysyłając co chwila po wiadomości do miasta. Pułkownik Zan, wysłany po wieści, śmierć poniósł; inni wrócili z niczem. I zresztą cóż mogli przynieść za

wiadomości? Wybuch tymczasem, nie napotykając oporu, zwiększał się co chwila.

Napróżno kilku generałów, którym udało się dostać do Wielkiego Księcia zachęcało, go do czynnego wystąpienia, upewniając nie bez racyi, że wystarczy kilka oddziałów kawaleryi dla zaprowadzenia porządku, że arsenał odbiorą i że zawezwawszy dwa pułki piesze, stojące w drugiej stronie miasta zgniotą do szczętu buntownicze tłumy, lecz wszystko to nie wpłynęło na Wielkiego Księcia. Powtarzał tylko: *Les belles cochonneries! les belles cochonneries!* Tak przeszła noc.

Ranek 30-go listopada przedstawił smutny obraz rewolucyi, pozostawionej samej sobie, a która jeszcze zamiarów swych jasno nie sformułowała. Motłoch, najgorsze wyrzutki społeczeństwa, kobiety, dzieci, wszystko to uzbrojone przebiegało miasto, napępniało szynkownie, wstrętny był to widok zdeprawowanej natury ludzkiej. Rozbito kasę wojskową rosyjską, rozwalając prawie dom, w którym się ona mieściła. Inne gmachy rządowe uległy temuż samemu losowi.

Wiele osób, obawiających się ukarania w pierwszych chwilach wybuchu, wielu wojskowych, widząc, że nic mu na przeszkodzie nie staje i że zaczyna się rozszerzać, przyłączyło się do powstania. Od tej chwili zaczęło ono nabierać znaczenia, ponieważ należeli do niego i ludzie wybitniejsi i z każdym dniem coraz trudniej było je Wielkiemu Księciu uśmierzyć. Chwila dogodna minęła. Powstanie, z początku chwiejne i niepewne, w jednej chwili wybuchnęło płomieniem. Wojsko otwarcie przeszło na jego stronę, a Wielki Książę został opuszczony przez żołnierzy, na których tak liczył, a których tak źle znał. Trzeba było jednak powstrzymać wybuch, utworzono w ratuzi rząd tymczasowy, którego pierwszym zadaniem było zorganizowanie wojska. Lecz czyż można było bez podpory, jedności, siły zaprowadzić porządek, tam gdzie tylko siła skoncentrowana i energiczna mogła

dać sobie radę. Oczy wszystkich w tej chwili niedoli zwróciły się na generała Chłopickiego. Oficer ten służył w armii francuskiej i łączył z talentem wojskowym wielkie zdolności administracyjne. Z chwilą utworzenia armii w Królestwie Polskiem Wielki Książę dołożył wszelkich starań, aby ściągnąć doń tak znakomitego żołnierza, dając mu przynależny stopień w wojsku, a zarazem otaczając poważaniem. Cesarz Aleksander obdarzył go orderem Św. Anny i nie zaniedbano niczego, aby uczynić z niego wiernego i przywiązanego poddanego. Lecz szczerłość, niekiedy zbyt ostra generała Chłopickiego, jego zapatrywanie na rzeczy zbyt szerokie obejmujące horyzonty, nie zgadzały się z pojęciem dyscypliny Wielkiego Księcia. Pewnego razu, gdy Wielki Książę czynił mu wymówki, że Polacy maszerują ociężałe, tak odpowiedział:

— Dlatego, że nieprzyjaciela nie widzą przed sobą.

Dwa te charaktery żyć w zgodzie obok siebie nie mogły i Chłopicki poprosił wkrótce o dymisyę. Wielki Książę odmówił. W rok potem ponowił ją znowu, a Wielki Książę znów mu odmówił. Wtedy generał udał chorego i choć był najzdrowszym, w ciągu dwóch lat na służbie nie był ani razu.

W końcu Wielki Książę musiał przystać na jego prośbę i Chłopicki uwolniony został od służby. Odtąd żył w spokoju, nie łączył się wcale, choć zagorzały patriota, ze spiskowcami, gdyż był zanadto rozumny, aby nie widzieć istotnego stanu rzeczy.

Takim był człowiek, którego głos narodu powołał do władzy w tych chwilach krytycznych i groźnych, a który w chwili wybuchu, nie dzieląc go, skrył się.

Przyjaciele zdradzili miejsce jego pobytu. Prawie na klęczkach błagano go o przyjęcie zarządu. Trzeba było wiele rozwagi, aby zapewnić bezpieczeństwo ogólne i zadowolić współobywateli i dlatego postanowił przyjąć zarząd z warunkiem, że, otrzyma

tytuł dyktatora, a z nim władzę nieograniczoną. Rozumiał dobrze, że taka władza konieczną była dla zaprowadzenia porządku, przyczem oznajmił, że odda ją w ręce sejmu, skoro ten zwołanym zostanie.

Gdy zgodę jego ogłoszono, szal ogarnął wszystkich. Chłopicki kazał zwołać wszystkie wojska na pole Marsowe i tu w paradnym stroju, ze wstążeczką Św. Anny na mundurze, przyjmował przysięgę na wierność i posłuszeństwo. Natychmiast potem przystąpił do zaprowadzenia spokoju. Utworzył gwardyę narodową, po mieście rozesał patrole z rozkazem rozbijania ludu i zwołał sejm. Powoli porządek zaczął powracać. Sklepy pootwierano i ruch na mieście stał się swobodnym.

To wszystko zdziałała energia jednego człowieka i nowy przykład, że ludzie, chcąc żyć w spokoju, potrzebują koniecznie nad sobą mieć pana.

Wielki Księżę z niewielką garstką wiernych żołnierzy pozostawał jeszcze w Belwederze. Nie zdziaławszy nic w najważniejszej chwili, domyślać się łatwo można było, że i nadal nie zdecyduje się na walkę. Przez trzy dni siedział w Belwederze ¹⁾ dla powodów, które trudno zrozumieć, w końcu wyjechał do Brześcia Litewskiego, na granicy Królestwa, Wołynia i Litwy bocznymi drogami, bojąc się jechać główną drogą przed napadem zbuntowanych tłumów. I z pewnością pogoń byłaby nastąpiła, gdyby dyktator nie przedsięwziął wszelkich środków dla zabezpieczenia odwrotu Wielkiego Księcia.

Dzięki zabiegom dyktatora zapanował porządek w Warszawie, lecz jeżeli zaprowadzenie to cieszyło obywateli, rzecz inaczej się miała z pospólstwem. Utworzył się związek rewolucjonistów o dażnościach bardzo gwałtownych, mających na celu obalenie dy-

¹⁾ Nie w Belwederze, lecz w Wierzbnie.

(Przyp. tłóm.).

ktatora, który dowiedziawszy się o tem, udał się na posiedzenie związku, gdzie miał mowę z tak wielkiem przejęciem się, że krew uderzyła mu do głowy i dostał ataku apoplektycznego ¹⁾). Puszczono mu krew zaraz i niebezpieczeństwo minęło, związek został skasowany, lecz na jego miejsce powstały inne, którym rady dać nie mógł.

Jenerałowie i oficerowie rosyjscy, których zatrzymano, przeprowadzeni zostali do zamku, gdzie dodano im silną straż, przeznaczając wygodne pomieszczenie, obfitą żywność, jednym słowem, okazywano im wszelkie możliwe względy w ich położeniu. Dyktator ogłosił, że wszyscy Rosyanie mogą być spokojni o siebie, że oblecuje im opiekę gwardyi narodowej.

Prócz nich pozostawała jeszcze wielka liczba ludzi, będących w służbie u Wielkiego Księcia, a którzy zajmowali pałac Brühlowski. Wogóle w pierwszych chwilach powstania nie prześladowano Rosyan.

Dyktatora znałem tylko ze słyszenia, lecz blisko żyłem z jego przyjacielem, jenerałem Schwerinem, a przez to nie byłem dla niego zupełnie obcym. Udałem się do jenerała zaraz nazajutrz po wybuchu. W kilka dni potem oznajmił mi dyktator przez Schwerrina, że chciałby się widzieć ze mną. Gdy mu winszował zaufania publicznego i wyniesienia, odrzekł mi, że przyjął to stanowisko tylko dlatego, że spodziewa się przez nie przynieść krajowi pożytek, że choć jest gorącym patryotą, zapatruje się na stan rzeczy inaczej, niż jego ziomkowie, że naród rzeczywiście miał powody do niezadowolenia, lecz jest to naród o umysłach gorących i zapalnych, któremi bar-

¹⁾ Autor słyszał, że dzwonią, ale nie wie, w którym kościele. Chłopicki nie chodził na żadne posiedzenia związkowych; dostał ataku apoplektycznego po rozmowie z posłami sejmowymi, zwłazcza z Ledóchowskim.

(Przyp. tłóm.).

dzo trudno jest rządzić, że umieją tylko wybuchać, a zastanowienie uważają za słabość, umiarkowanie za zdradę, a stałość za despotyzm, i że chociaż gotów życie swe poświęcić dla sprawy, nie wierzy w jej powodzenie, że nadzieję ma jeszcze w sejmie, lecz jeżeli on nie zgodzi się z jego przekonaniem, wtedy użyje swej władzy, na którą się zgodził z niechęcią. Mniej więcej to mi powiedział w długiej rozmowie, jaką mieliśmy z sobą. Dodał, że nie rozumie powodów, jakimi Wielki Książę kierował się w chwili swego odjazdu, że wydał natychmiast rozkaz, aby droga dla niego do samego Brześcia była swobodną i że papiery niebezpieczniejsze usunął, aby nikogo nie narazić. Z rozmowy tej wyniosłem najlepsze przekonanie o zacności i szlachetności dyktatora, jak również i o jego zdolnościach administracyjnych.

Lecz zkąd to pragnienie widzenia się ze mną i ta szczerość w rozmowie, tem dziwniejsza, że wiedział, jak w blizkich stosunkach żyję z Wielkim Księciem? Powód wytłómaczyć można łatwo. Znał mnie z opowiadania jenerała Schwerina i wiedział, że zaufania jego nie zawiodę, zresztą chciał mieć świadka swego szlachetnego zapatrywania i niechęci dla wybryków powstania i przywiązania swego do zasad porządku i sprawiedliwości. Dał mi do zrozumienia, że życzeniem jego jest możliwe otrzymanie zadosyć uczynienia żądaniom słusznym narodu i że to może być uskutecznione tylko przez posłuchanie u cesarza, lecz że pragnienie to pozostanie tajemnicą, dopóki umysłów nie przygotuje do niego i dlatego powoli zaczyna je wpajać w głowy światlejsze, a które mogłyby później świadczyć o jego dobrych chęciach, gdy źle go sądzić będą, a co wkrótce nastąpiło.

Ślady nieporządku zostały prawie wszędzie usunięte. Dyktator wydał paszporty Rosyanom, czy to za granicę, czy do Rosyi. Kobiety mogły jechać za mężami, którzy wymaszerowali z Wielkim Księciem,

a nawet dał pomoc tym, które jej potrzebowały. Służba otrzymała swe rzeczy i pozwolenie wyjazdu za Wielkim Księciem. Powoli zawiązywać się zaczęła komunikacja między Brześciem i Warszawą.

Dyktator myślał o wszystkim. Zarząd cały odbywał się w imię cesarza, które to imię ukazywało się we wszystkich rozporządzeniach, jednym słowem, rząd odbywał się pod władzą cesarską. Postępowanie rozumne i umiarkowane zadowoliło światlejszą część społeczeństwa, która widziała w niem nadzieję uniknięcia nieszczęść; lecz głowy zapalone wyrażały swe niezadowolenie, a związki, które tworzyły się ciągle, podburzały lud. Dyktator rozwiązywał je, jak mógł, i czekał tylko na otwarcie sejmu, aby władza jego była ostatecznie utrwaloną. Pewnego razu Schwerin powiedział mi, że jeżeli chcę pisać do Wielkiego Księcia, to mi dyktator ułatwi odesłanie listu z zapewnieniem, że dojdzie do rąk Wielkiego księcia nienaruszony. Skorzystałem z pośpiechem z tej okazji i doniosłem Wielkiemu księciu o wszystkim, co się działo od chwili jego wyjazdu, o stanie umysłów publiczności, a głównie wojska, o tem, co myślą o całej katastrofie, przyczem w gorących słowach wychwalałem Chłopickiego, jego rządu i szlachetność uczuć. List ten oddałem Schwerinowi z tym warunkiem, że zanim odejdzie, treść jego pozna dyktator. Otwartość, z jaką pisałem, powinna była podobać się mu, gdyż zdanie moje o nim było prawdziwe i pochlebne. Zdaje mi się, że wspólne nasze życzenie listem tym się spełniło. List doszedł, gdyż wkrótce otrzymałem odpowiedź Wielkiego Księcia.

Tymczasem nie zaniedbano niczego, aby w razie potrzeby siłą domagać się swych praw. Zaczęto umacniać forty na Pradze, a ponieważ do szału entuzjazmu przyłącza się zawsze śmieszność, widzieć można było piękne i eleganckie Polki, ciągnące taczki, Jedna z nich, słynna ze swego patryotyzmu i skąpstwa, usłyszała takie słowa od swego towarzysza pracy:

„Lepiejby pani zrobiła, najawwszy i zapłaciwszy dobrze pięćdziesięciu robotników, którymby pani chleb w rękę dała, niż wystawiać na widowisko swą bezpożyteczną działalność.”

Wielu młodych chłopców, których zmuszono wsiąść na konia, przebiegało miasto. Uzbrojeni byli w pistolety tak wielkie, jak i oni, i pałasze, które wlokły im się po ziemi. Uczniowie, porzuciwszy szkoły, utworzyli korpus kawaleryi, który wzbudzał śmiech u patrzących się na nich. Nie tracono ani chwili, aby wzmocnić swe siły i korzystano z czasu, jaki mieli przed sobą, zanim Rosyanie wystąpią. Środki te, wzmocnione naturalnem mężstwem narodowem i fanatyzmem, który z dniem każdym się rozwijał, zapowiadały walkę krwawą i długą.

Sejm zwołano niespodziewanie. Dyktator przyspieszył zdać rachunek ze swego postępowania i zakomunikował zamiary swe na przyszłość, które większością głosów potępione zostały, a co wywołało nowy atak apoplektyczny, lecz nie tak silny, jak pierwszy. Dyktator prosił o dymisyę, lecz ponieważ był potrzebnym, błagać go zaczęto, aby ojczyzny w niebezpieczeństwie nie opuszczał, zgodzono się na niektóre jego warunki i Chłopicki cofnął swą dymisyę. Lecz doświadczenie uczy, jak nie można polegać na objawach zachwytu lub nienawiści tłumów, które dziś uwielbiają, aby jutro zamordowce. Któż tego nie pojmuje, gdy od lat 40 rewolucya niszczy świat cały? Nie można się było niczego spodziewać po obradach sejmowych. Poprzednie sejmy nie wykazały ani jednej wybitnej zdolności, żadnego człowieka, na którym można było pokładać nadzieje. Ani w Anglii, ani we Francyi, a tembardziej w Polsce nie było odpowiednich zakładów, w których przygotowywanoby polityków, przyszłych mówców i kierowników państwa. Polacy na sejmy, które dziś potrzebowały więcej niż kiedykolwiek i światła i zdolności, przybywali bez żadnego przygotowania i wyboru, inaczej zresztą

być nie mogło. Izba wyższa składała się przeważnie ze szlachty nieoświeconej, nic nieznaczącej, lecz zawsze dumnej i pysznej, izba niższa z krzykaczy, którym się zdawało, że tak, jak i dawniej krzykiem przeprowadzą wszystko, lub też z obywateli ziemskich, którzy politykę znali tylko z gazet. Czegoż można się było spodziewać po takich deputowanych, którzy przepełnieni byli zasadami rewolucyjnymi i niszczącym patryotyzmem.

Dyktator zanadto trzeźwo patrzył się na rzeczy, aby nie przeczuć ogólnego powstania i przyznał mi się, że wątpi, czy długo będzie mógł utrzymać swą władzę.

Miałem szczerą ochotę opuścić Warszawę, której stan codzienn bardziej mnie niepokoił. Horyzont zaciemniał się powoli, chmury czarne zapowiadały nieszczęście, a karygodny zapach ogarniał wszystkich. Położenie było nieznośne i użyłem wszelkich sposobów, aby wyrwać się z niego. Pieniądzy mi zabrakło, ponieważ, polegając na zapewnieniach Wielkiego Księcia, nie robiłem oszczędności. Musiałem sprzedać meble, lecz ponieważ czyniłem to zbyt pośpiesznie, zbyłem je żydom za bezcen. W kilka dni potem poszedłem do Chłopskiego dowiedzieć się, czy rzeczywiście podał się do dymisyi. Przyznał mi się pod sekretem, że jest to prawda i wydał rozkaz, aby dano mi paszport. Podziękowałem mu wzruszony i pożegnałem się z nim. Pojechałem do Wrocławia, gdzie już oddawna miałem zamiar zamieszkać. Lecz i po za granicami Polski niepokój, co się ze mną stanie, nie opuścił mnie wcale, ponieważ traciłem tak wiele. Zostałem pozbawiony łaski i opieki Wielkiego księcia i słabą miałem nadzieję, abym mógł z nich kiedykolwiek korzystać, gdyż nie przypuszczałem możliwości powrotu do Polski.

We Wrocławiu spotkałem wielu Rosyan, pomiędzy nimi i Lubowidzkiego, który cudem uszedł śmierci. Opowiadał mi o tem, co zaszło w Belwederze do

chwili, gdy stracił przytomność pod razami morderców. Dowiedziałem się od niego, że napróżno starał się Wielkiemu Księżciu otworzyć oczy na kilka dni przed wybuchem, ponieważ nikt lepiej od niego, szefa policyi, nie mógł Wielkiego Księcia oświecić o stanie rzeczy, a choć Wielki Książę považał go i lubił, pod tym względem był głuchy na wszystko. Zapytany kiedyś o stan umysłów Polaków, Lubowidzki odpowiedział, że mieszczaństwo i pospólstwo obawy nie wzbudza, lecz wojsko jest bardzo niebezpieczne.

Wielki Książę oburzył się bardzo na to podejrzenie i o niczem więcej słyszeć nie chciał, a o tem zaślepieniu sam nieraz miałem sposobność przekonać się.

Po przybyciu do Wrocławia napisałem do Wielkiego Księcia i na list mój otrzymałem odpowiedź, na 4-ch stronicach, napisaną własną ręką.

Kampania rosyjska z powodu wojny z Turcją rozpocząć się mogła bardzo późno, tembardziej, że puszczenie lodów na Wiśle wstrzymało marszałka Dybicza, którego siły i tak nie były zbyt wielkie, aby mógł uderzyć odrazu. Traktowano powstanie zbyt lekko, nie oddając sprawiedliwości męztwu Polaków, na którą zasługiwało. Błąd ten pociągnął za sobą mnóstwo ofiar, zwiększył zapał nieprzyjaciół i ich odwagę. Ztąd zajęcie się nimi Europy, tembardziej, że zapomniano już o Grecyi.

Marsze wojsk i cholera przerwały wkrótce komunikację z Rosyą, a ja nie otrzymałem wiadomości od Wielkiego Księcia, o którym wiedziałem tylko tyle, że się przeniósł do Białegostoku.

Spędziwszy zimę we Wrocławiu, na początku czerwca pojechałem do Reinerz, gdzie bezpieczny przynajmniej byłem od cholery, która rozszerzała się z niesłychaną siłą. pomimo przedsiębranych ostrożności, smutne następstwa powstania polskiego, które do

nieszczęść, jakie sprowadziły na Polskę, dołączyć miały nieszczęście, któremu uległa Europa.

Wiadomości, jakie otrzymałem, nie bardzo mnie pocieszały.

Dowiedziałem się o śmierci marszałka Dybicza, a która wskutek swej nagłości i gwałtowności dała powód do rozmaitych podejrzeń. Był to człowiek mały, otyły, twarz miał zawsze zaczerwienioną, a głowę w ramionach. Budowa ta przy gwałtowności charakteru łatwo sprowadzić mogła apopleksyę, której też stał się ofiarą.

Nie do mnie należy sąd o jego zdolnościach wojskowych, które sprawiły na mnie wrażenie raczej ślepej determinacji, niż głębokiego rozumowania. To samo zdanie słyszałem później z ust jego towarzyszków broni. Wszyscy przyznawali mu świetne i energiczne wykonywanie planów innych, lecz nikt tak, jak on, nie potrzebował podpory w chwili decydowania się, czego ostatnia turecka wojna najlepszym jest dowodem.

Wiadomem jest powszechnie, że pierwsza wojna turecka nie była zbyt pomyslną. Jenerał Dybicz, krępowany obecnością Cesarza, nie mógł rozwinąć dostatecznie swych awanturniczych zdolności, lecz z chwilą, gdy został sam jeden, postać rzeczy się zmieniła, atakował nieprzyjaciela wszędzie, nie zważając na nic.

Pomimo niezbyt odpowiedniej pory roku przeszedł Bałkany, zkąd doszedł do Adryanopola, napętniając przerażeniem sułtana.

Od tej chwili pochód jego był jednym zwycięstwem. Nieprzyjaciół zmusił do zawarcia pokoju, który tyle chwały przyniósł Rosyi, a imię jego uczynił nieśmiertelnem.

Tymczasem położenie jego w Adryanopolu było dość krytyczne, pozbawiony amunicyi, prowizyi, jednem słowem wszystkiego, przed nim nieprzyjaciel, za nim Bałkany, utrudniające mu odwrót, a w razie

popłochu, czyniący go prawie niemożliwym. Niebezpieczeństwo było wielkie, ale z pomocą Rosyi przyszło zaślepienie Turków, ich ciemnota i brak znajomości cywilizacji europejskiej. Mając przed sobą nieprzyjaciela oświeconego, mniej przerażonego, nie tak ślepo wierzącego w fatalizm, generał Dybicz zostałby rozbity zupełnie.

Jenerał Dybicz wysłany przeciw Polakom okazał się innym.

Zdawało mu się, że walkę będzie tu mógł tak prowadzić, jak w Turcyi. Polacy wyćwiczeni, znający wojnę dobrze, zapaleni i mężni, byli innymi nieprzyjaciółmi, niż ogłupieni Osmanowie. Następnie pora roku i niedostateczne siły nie pozwoliły jenerałowi na wydanie ostatecznej bitwy i jeżeli jego następcą, ktokolwiekby on był, nie miał większych środków, spodziewać się można było, że walka się przeciągnie, pokrywając krwią nieszczęśliwą Polskę.

Naraz, jak grom, uderzyła mnie wieść o śmierci Wielkiego Księcia. Zupełnie niespodziewana, szybka jak błyskawica, druzgocąca jak piorun, wieść ta przeraziła mnie strasznie. Nadzieje moje, a raczej me serce nie dawały jej wiary, dopiero urzędowa wiadomość nie pozwalała mi wątpić o mem nieszczęściu.

Oto szczegóły.

Wielki Książę, przejeżdżając z miejca na miejsce, osiadł w końcu w Witebsku, gdzie przeżył smutne bardzo chwile, lecz, jak zwykle w podobnych razach, okazywał wielką wesołość i cieszył się doskonałym zdrowiem. Środki ostrożności, dyeta i sposób życia bardzo umiarkowany, zdawały się nie dopuszczać nawet możliwości zarazy. Wieczór ostatni w swem życiu spędził na tarasie w pałacu gubernatora, gdzie pił herbatę, śmiał się i dowcipkował.

Załatwiwszy korespondencję położył się spać, zupełnie zdrow, wkrótce jednak zrobiło mu się niedobrze, dostał strasznych boleści i wezwał lokaja, ten

dał panu swemu jakieś lekarstwo, które mu Wielki Książę wskazał z własnej podręcznej apteczki, ponieważ lubił się sam leczyć bez pomocy doktora, Lecz bóle nie ustały, obudzono wszystkich, przybiegła księżna, za nią doktor, Niemiec. Pomimo najróżnorodniejszych środków, bóle nie ustępowały i Wielki Książę skończył życie koło godziny dziesiątej rano.

Tak zmarł Wielki Książę Konstanty w kwiecie wieku, a któremu budowa atletyczna, regularny i umiarkowany sposób życia zapowiadały długie życie.

Wielki Książę Konstanty nie odgrywał nigdy roli politycznej w całym znaczeniu tego słowa. Gorąco przywiązany do ojczyzny, dla której marzył o sławie i szczęściu, najwierniejszy poddany, kochający bardzo swych braci, od początku dowiódł, że ambitny nie jest wcale. Podejrzanie, że abdykacja jego wymuszona została, siłą obalił w chwili śmierci Aleksandra, gdy cała Rosya u stóp jego leżała i gdy naród i wojsko mieć go chciało cesarzem. Postępowanie jego było zawsze prawe. Lubił bardzo władzę, lecz czując, że na wielką skalę sprostać jej nie będzie mógł, zadowolił się niewielkimi jej rozmiarami. Powstanie polskie odebrało mu ją i postawiło w nieprzyjemnem położeniu.

W zwykłych warunkach kontrasty, jakie przedstawiał charakter Wielkiego Księcia, zadziwiać musiałyby jego otoczenie, a cóż dopiero mówić, gdy znajdował się na tak wysokiem stanowisku. Gwałtowny i spokojny, energiczny i pełen wahanja, skąpy i rozrzutny, unoszący się i cierpliwy, surowy i słaby, twardy i czuły, wzbudzający przestrach lub uwielbienie, były to wszystko jego przymioty.

Lecz prawość, stałość, miłość prawdy i sprawiedliwości, nigdy na sekundę nie uległy zmianie. Lecz te drogocenne zalety charakteru wpośród ciągłych przeciwności moralnych nie mogły, niestety, zająć w całej pełni i to stało się przyczyną, że ten

nieszczęśliwy książę stał się łupem tylu oszczerstw i podejrzeń bezsensownych. Ludzie tylko, którym okazywał tak wielką łaskę, że dopuszczają ich bliżej do swej osoby, którzy widzieli i obserwowali go w najrozmaitszych chwilach życia, mogą go sądzić słusznie.

Cnoty i piękne zalety charakteru były wrodzone, a jeżeli nie zawsze jaśniały w całej pełni, była to wina innych i wina okoliczności.

Nie miał prawdziwych przyjaciół, którym przywiązanie pozwalałoby wypowiedzieć szczerze zdanie przeciwne jego zdaniu, otaczał się karyerowiczami, których celem było zdobycie fortuny i stanowiska.

Jednakże doświadczenie, lata i zastanowienie się nad przeżytym czasem, który mniejszy lub większy wywiera wpływ na charakter ludzki, spowodowały wielkie zmiany w usposobieniu Wielkiego Księcia, a ci, którzy go znali w młodości, byli tą wielką zmianą uderzeni.

Lecz dobre zamiary nie wystarczały. Gdyby ten nieszczęśliwy książę nie zajmował tak wybitnego stanowiska, byłby najidealniejszym z ludzi. Księżna Łowicka często tak do mnie mówiła:

— Dopiero po śmierci Wielkiego Księcia przekonają się ludzie, ile wart był ten zacny człowiek.

Nie dlatego mówię tu o tem, abym chciał kwiatami pochlebstw zasypać grób jego, nie! szczeremi łzami skrapiam mogiłę, w której spoczywa mój największy dobroczyńca i, pominiawszy różnicę społeczną, mój najlepszy przyjaciel. Pragnę tylko w jaknajlepszym świetle przedstawić cnoty jego, zalety serca, objawy dobroci i łaski, oddać należną sprawiedliwość i odeprzeć wszelkie zarzuty, jakie czyniono jego pamięci. Ani przywiązanie, ani wdzięczność nie wpłyną na prawdę, ponieważ pochlebstwo wobec śmierci na nic mi się przydać nie może.

Ileż to razy byłem świadkiem, gdy przyszła nań chwila zastanowienia po gwałtownem uniesieniu, jak

przepraszał tych, których, zdawało mu się, że obraził. Ileż to razy widziałem, jak wyrzucał sobie mimowoli popełnioną niesprawiedliwość i przez zbytek szlachetności starał się ją naprawić i zatrzeć w pamięci! Ileż czynił dobrego dla biednych, szczególnie dla ubogich oficerów, którzy nie mieli za co umundurować się, a którym dawał na wszystko. Ileż to razy wspomagał ich z własnej szkatuły, gdy szło o poratowanie zdrowia, wysyłając ich czy to do wód, czy na wieś. Ileż to razy odwiedzał chorych, nie zważając ani na stanowisko, ani na majątek, niósł im pociechę i ojcowską pieczołowitość. Wszyscy nieszczęśliwi, jeżeli skargi ich prawdziwymi były, znajdowali u niego otwarte ręce i pomoc, a te tysiące dobrodziejstw wykazywały tylko, jak bardzo serce miał przepelnione miłością bliźnich.

I dla zadowolenia potrzeb dobroczyнного serca swego wyrzekł się wszelkiego przepychu, jaki mu się słusznie należał, bo miał tylko milion czterysta tysięcy franków dochodu. W ciągu lat czterestu, jakie spędziłem u jego boku, nie wydał ani razu balu, wieczoru, lub obiadu galowego. Do stołu zasiadało pięć do sześciu osób, pożywienie było dostatnie, lecz skromne. W dzień Wielkiejnocy i jeszcze dwa razy do roku wydawano śniadanie dla gwardyi i wtedy nawet na tych licznych zebraniach, dla uniknięcia długiego pobytu, goście jedli stojąc. Apartamenty jego osobiste umeblowane były z największą skromnością i prostotą, przypominały raczej salony mieszczkańskie, niż mieszkanie księcia cesarskiego i w nich to ubrany w stary uniform, przebywał Wielki Książę Konstanty, pogardzający wielkością, lecz za to niosący ulgę nieszczęsnym.

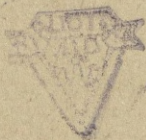
Trudno doprawdy dać wiarę, że ten, który zawsze okazywał się tak wspaniałomyślnym, dobrym, delikatnym, najczulszym ojcem, mężem, najwierniejszym przyjacielem, mógł się stać okrutnym i srogim.

Wielki Książę wzrostu był więcej, niż wysokie-

go, wspaniale zbudowany, a te kształty atlety wykazywały jego silną i żelazną budowę. Cerę, jeżeli nie był zmęczony drogą lub ćwiczeniami wojskowemi, miał nadzwyczaj świeżą. Zęby miał prześliczne, lecz nos spłaszczony o olbrzymich nozdrzach, brwi krzacaste, białe, nadawały obliczu wyraz dziki i srogi, szczególnie, gdy się cokolwiek uniósł. W chwili spokoju ta sama twarz była słodką i przyjemną, uśmiech pociągający.

Takim był Wielki Książę Konstanty.

K O N I E C.



A Nr 021712



C e n a

zł

15 gr

DK - 28 d
1.54

Wzór Jednoraz. CWD, W-wa. 15973/K
2041 - Lak - 25.11.53 - 2000 bi a 100 k.



8401
19